

**JERZY EDIGEY**

**DWIE TWARZE KRYSTYNY**

**„KB”**

**Rozdział I**

**Zakład**

Orkiestra zaczęła grać. Mały parkiet szybko zappełnił się parami, tak że o tańczeniu nie było nawet co marzyć. Tłumek usiłował do taktu muzyki przepychać się to w jedną, to w drugą stronę. Tylko od jednego stolika nikt się nie podniósł do tańca. Nic dziwnego, siedziało tu sześciu samotnych panów. A rwanie pań z innych stolików - wykluczone. Tancerki były obstawione własnymi towarzyszami. Samotni mężczyźni mieli więc dość markotne miny. Na pewno inaczej sobie wyobrażali tę wyprawę na dansing. Nie pozostawało im nic innego, jak przyglądać się tańczącym, i od czasu do czasu opróżniać kieliszki skwapliwie napełniane przez kelnera. Obsługa w tym lokalu, jak zresztą na ogół we wszystkich nadmorskich restauracjach, była dość podła. Jednakże kelner dwoił się i troił, pilnie bacząc na każde skinienie tych sześciu mężczyzn. Wiedział, że przyjechali do Międzyzdrojów z pobliskiego Międzywodzia, z domu wczasowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kto jak kto, ale kelner woli żyć w zgodzie z milicją.

Z całej szóstki najbardziej znudzoną minę miał major Janusz Kaczanowski. Uważał, że chyba jakiś diabeł go podkusił, aby przyjechać do Międzywodzia. Zamiast wypoczywać, spędzał swój urlop w gronie takich samych oficerów milicji i nolens volens rozmowa ciągle zahaczała o sprawy zawodowe. Ładny urlop! Toteż Janusz bez żalu myślał o ostatnich trzech dniach, po których skończy się ten turnus wczasowy. Pozostał mu jeszcze wolny tydzień. Pojedzie na Mazury, do znajomej leśniczówki, będzie chodził samotnie do lasu i całymi dniami leżał gdzieś pod starą sosną. No, może nie całkiem sam...

Na ogół pogoda w tym roku nad morzem dopisała. Było dużo słońca, a woda miała znośną temperaturę, bez szczykania zębami można było się w niej zanurzyć. Ale towarzystwo w domu wczasowym zawiodło. Przeważali mężczyźni, i to jak na złość właśnie prawie wszyscy z milicji. Żeby choć jakiś strażak! Panie, które tu się znalazły, były w wieku bardziej niż średnim, to znaczy od pięćdziesięciu wzwyż, a te młodsze przyjechały z mężami - i też do babek nie przystęp. Kapitan Jagodowicz od

dwóch dni agitował za zrobieniem wypadu do Międzyzdrojów, gdzie, jak opowiadał, ładne i samotne liczy się na kopy. Udało mu się. Zebrał pięciu towarzyszy i teraz cała szóstka nudziła się przy „męskim” stoliku, starając się utopić swój zawód w kieliszku jarzębiaku. Babki były, to prawda, wiele przystojnych, ale z własną obsługą.

- Coś ty, Janusz, taki markotny? - zagadnął major Kaliński. - Nawet nie pijesz. Kaczanowski podniósł kieliszek i opróżnił go jednym haustem.

- Martwi się, że za trzy dni wyjeżdża - wyjaśnił kapitan Jagodowicz.

- Właśnie - odpowiedział Janusz. - Bardzo mnie to boli, że wy tutaj zostanieie i będziecie tak szaleli codziennie jak dzisiaj.

- Nie przesadzaj w narzekaniu - porucznik Walicki pocieszał nie wiadomo czy towarzysza, czy samego siebie. - Tu jest bardzo przyjemnie. Lubię patrzeć na tańczących. Wódka względnie zimna a i zagrycha zupełnie niezła. Towarzystwo niczego sobie. Na przykład ta blondynka, która tańczy z tym łysoniem.

- Która? - zainteresowali się nagle panowie.

- Ta przy orkiestrze.

- Rzeczywiście niezła - odpowiedział Kaczanowski - Ale cóż z tego? Siedzi przy stoliku z trzema facetami. Szkoda startu.

- Ja mówię o wrażeniach estetycznych - roześmiał się porucznik - a ty byś od razu chciał rwać.

- Z Janusza pies na baby. Znam go - przytaknął Jagodowicz.

- Chyba znam tę blondynkę - włączył się pułkownik Adamik z Krakowa. - Przypominam sobie, że widziałem ją u „Noworola”.

- Wy, „krakaery”, jak zobaczycie ładną babkę, zaraz wam się zdaje, że to z Krakowa - major Kaczanowski zaoponował nie dlatego, aby mu na tym zależało, ale dla przerwania sennego nastroju.

- Na pewno z Krakowa.

- Na pewno z Warszawy. Widywałem ją w „Europie”.

- Zakład?

- Zakład!

- O co?

- O kolację.

- Ale dla nas wszystkich, jak tu siedzimy - zastrzegł się kapitan Jagodowicz.

- Naturalnie, że dla wszystkich - poparła go reszta biesiadników.

- Zgoda. Dla wszystkich - pułkownik Adamik był pewien wygranej.

- Niech będzie - Kaczanowskiego zaczynała bawić ta sprawa. Ostatecznie tej babki nigdy przedtem nie widział i nie miał pojęcia, czy ona jest naprawdę z Warszawy.

- Panowie, uspokójcie się - pułkownik Rościszewski jako najstarszy w tym gronie usiłował powstrzymać hazardystów. - Taka kolacja na sześciu to co najmniej tysiąc złotych.

- Kaczanowski wyda przynajmniej półtora - roześmiał się Adamik. - Już ja się o to postaram. Długo popamięta Międzyzdroje.

- To nie ma najmniejszego sensu - oponował Rościszewski.

- Słowo się rzekło - Adamik był uparty.

- Słowo się rzekło - powtórzył Kaczanowski.

- To będzie pożegnalna kolacja Janusza - uśmiechnął się major Kaliński - ale proponuję bez wódki. I nie w Międzyzdrojach, w tej dziurze, lecz w miejscowej restauracji w Międzywodziu.

- Z tym zastrzeżeniem to zgoda - pułkownik Rościszewski poparł kompromisową propozycję.

- A zatem zakład stoi? - Adamik wyciągnął rękę do Kaczanowskiego.

Najbliżej siedzący porucznik Walicki dokonał tradycyjnego przecięcia dłoni na znak, że zakład został zawarty formalnie i przy świadkach.

Tymczasem orkiestra przerwała grę. Nie pomogły oklaski. Muzykanci złożyli instrumenty i szykowali się do wyjścia na zaplecze, gdzie na pewno czekała na nich kolacja. Chcąc nie chcąc, pary skierowały się do swoich stolików. Obok stolika sześciu panów, dyskutujących warunki dziwnego zakładu, przechodziła blondynka i jej towarzysz. Dziewczyna miała, tak na oko, około dwudziestu pięciu lat. Szła wyprostowana, z miną lekko znudzoną, udając, że nie dostrzega zachwyconych spojrzeń męskich. Za to kroczący z tyłu łysoń nie krył swojej dumy, że tańczył z tak pięknym kotem.

Dziewczyna była więcej niż ładna. Gdyby nie zbyt grube rysy twarzy, można by ją nazwać skończoną pięknnością. Wysoka, chyba co najmniej metr sześćdziesiąt osiem centymetrów, nie za tęga i nie sama „skóra i gnaty”, o długich, szczupłych nogach, wcięta w pasie, o ładnym biuście. Ale najpiękniejsze były włosy. Tak ładnego koloru blondplatynowego nie spotyka się za często.

- Opamiętaj się, Janusz - roześmiał się major Kaliński. - Wyraźnie widzę tapczan w twoich oczach. Ale przyznaję, babeczka pierwszej klasy.

- Te włosy chyba - zrobione? - powątpiewał Jagodowicz.  
- Na pewno prawdziwe - zaprzeczył Kaczanowski.  
- Zbyt oryginalne, aby były prawdziwe - także pułkownik Adamik okazał się sceptykiem. - Teraz dobry fryzjer potrafi nawet miotłę ufarbować na żądany kolor. Gotów jestem ten warunek włączyć do zakładu.

- Przyjmuję.  
- A więc - porucznik Walicki, uważający się za arbitra sportu, sprecyzował: - Janusz twierdzi, że babka jest z Warszawy i jest naturalną blondynką. Czy tak?

- Tak - przytaknął Kaczanowski.  
- A pułkownik zakłada, że ta pani jest krakowianką i ma farbowane włosy. Prawda?

- Zgadza się.- Ale jak to sprawdzicie? - roześmiał się Jagodowicz. - Jeżeli nawet zapytacie ją o to, nie powie prawdy. Żadna kobieta nie przyzna się do farbowania włosów.

- Dlatego obydwaj panowie - Walicki w dalszym ciągu grał swoją rolę - muszą nam przedstawić niewątpliwy dowód.

- Dlaczego obydwaj? - zdziwił się Rościszewski. - Wystarczy jeden.  
- Ale który?  
- Niech losują - zaproponował Walicki. - Zgadza się?  
- Niech będzie - odpowiedzieli obaj antagoniści. Walicki wyjął z pudełka dwie zapalki. Oberwał jednej główkę:

- Który wyciągnie zapalkę bez główki, prowadzi dochodzenie.  
- Nigdy w życiu niczego nie wygrałem i teraz również nie mam szansy - roześmiał się major Kaczanowski i wyciągnął zapalkę. Nie omylił się. Drewienko nie miało siarki.

- W takim razie - porucznik nadal jako arbiter oświadczył: - Janusz musi nam w ciągu jutrzejszego dnia i najdalej do obiadu pojutrze dostarczyć przekonujących dowodów swojego twierdzenia.

- Dlaczego tak szybko? - zachnął się Kaczanowski.  
- Ba za trzy dni wyjeżdżasz i kolacja pożegnalna musi się odbyć najpóźniej pojutrze.

- Zgadzam się - Januszowi było już wszystko jedno. Nie chodziło mu przecież o to, czy wygra, czy też przegra ten wariacki zakład, ale o wynalezienie jakiejś rozrywki na tych nudnych czasach.

- A co będzie - zaniepokoił się pułkownik Rościszewski - jeżeli się okaże, że ta pani nie jest ani z Krakowa, ani z Warszawy? Kto wtedy wygra?

- To proste. O wygranej czy też przegranej zadecydują włosy. Jeżeli nie farbowane, wygra Janusz i pułkownik będzie fundatorem naszej biby.

- A jeżeli tak się zdarzy - Rościszewskiego cechowała zdolność przewidywania - że włosy są farbowane, ale babka jest warszawianką? Co wtedy?

- Wówczas zakład zakończy się remisem - stwierdził Walicki, - Obaj solidarnie i w równych częściach zapłacą naszą kolację.

- To wtedy zakład się unieważnia - zaprotestował Adamik - i każdy płaci za siebie.

- Już się Zygmunt wycofuje, ach ci krakowiacy, co za skąpy naród - roześmiał się Rościszewski.

- Niech będzie - Kaczanowski zgodził się z porucznikiem. - W razie remisu płacimy we dwóch z pułkownikiem, do spółki.

- Na pewno wygram - Adamik był zupełnie spokojny. - Głowę dałbym sobie uciąć, że babka pochodzi z Krakowa albo z naszego województwa, co na jedno wychodzi.

- O województwach nie było mowy - wszyscy panowie coraz lepiej bawili się tą sprawą. - Wyraźnie zaznaczono: Warszawa i Kraków.

- Jako arbiter uważam, że użyto tych pojęć w sensie szerszym. Jeżeli ta pani mieszka na przykład w Wieliczce lub w Wołominie, to będziemy uważali, że jest albo krakowianką, albo warszawianką. Więcej spornych kwestii nie ma?

- A jeżeli dochodzenie prowadzone przez Janusza zakończy się fiaskiem i Kaczanowski nie dostarczy nam żadnych danych dotyczących tej kobiety, co wtedy? - pułkownik Rościszewski nie darmo z wykształcenia był prawnikiem.

- Wtedy Janusz płaci - stwierdził Adamik.

,- W ten sposób ty masz więcej szans na wygranie - Rościszewski podniósł nową kwestię.

- Gdybym ja wyciągnął pustą zapalną, to Janusz miałby tę dodatkową szansę. Jego w tym głowa, żeby zdobył przekonujące dowody. Co to zresztą znaczy dla takiego asa? Na jego miejscu nie dopuściłbym do losowania, lecz zgłosił się na ochotnika.

- Nic straconego. Może pułkownik to zrobić nawet teraz.

- Nie mogę majorowi odbierać tej przyjemności.

- Jeszcze jedno - Rościszewski wyrwał się z nową sprawą. - Całe to „dochodzenie” musi być zgodne „z praworządnością”.

- Naturalnie - roześmiał się Jagodowicz. - Januszowi nie wolno znęcać się nad piękną blondynką, wrywać jej włosów czy też stosować trzeciego stopnia przesłuchania.

- Nie o to mi chodzi - tłumaczył się pułkownik. - Chciałbym tylko zwrócić uwagę, że człowiek mający w kieszeni legitymację oficera milicji korzysta z ogromnych uprawnień, a przecież ma działać prywatnie. To nie prawdziwe dochodzenie milicyjne, a niewinna zabawa nudzących się starszych panów. Dlatego nie wolno wyzyskiwać tego atutu.

- Poza pułkownikiem nikt tu się nie uważa za starszego pana - zaprotestował Adamik. - Natomiast co do legitymacji MO, zgadzam się z przedmówcą.

- Ja też - potwierdził Kaczanowski.

- A zatem, żeby było sprawiedliwie, obydwaj panowie - zarządził Walicki - jutro rano zdeponują u mnie swoje dowody.

- A ja po co? - zdziwił się Adamik.

- Tak zdecydowałem - porucznik Walicki najwidoczniej nie chciał sobie odmówić małej satysfakcji, że rozkazuje majorowi i pułkownikowi.

- Zgoda - Kaczanowski wyciągnął do Walickiego rękę z legitymacją leżącą na dłoni.

Adamikowi nie wypadało nie pójść tym śladem.

- Mogę działać już od tej chwili? - zapytał major.

- Oczywiście - zgodzili się wszyscy pozostali.

- Więc idę i spróbuję zaprosić tę panią do tańca. Właśnie orkiestra zabiera się do roboty - Kaczanowski podniósł się z krzesła i zaczął przedzierać się pomiędzy stolikami w kierunku pięknej pani.

Nim jednak dotarł do celu, muzycanci huknęli krótką przygrywkę i podjęli jakąś skoczną melodię. Sąsiad przystojnej blondynki zgiął się przed nią w ukłonie. Pani uśmiechnęła się i oboje powędrowali na parkiet. Major jak niepyszny zawrócił z drogi. Przy stoliku powitał go śmiech współbiedniaków.

- Na razie jeden zero dla mnie - tryumfował pułkownik Adamik. - Ale będę używał pojutrze! Wybieramy z karty najdroższe dania.

- Na twój koszt - Janusz robił dobrą minę do złej gry. - Do pojutrze jeszcze daleko. Ten się śmieje dobrze, kto się śmieje ostatni.

- Panowie - Rościszewski spojrział na zegarek - trzeba się stąd zbierać, bo nam ucieknie ostatni autobus do Międzywodzia. A w warunkach zakładu nie było mowy o tym, kto płaci za taksówkę.

- Jak to kto? - zdziwił się Kaczanowski. - Wiadomo, arbiter.

- Ja? A to dlaczego? - porucznik zrobił przerażoną minę.

- Kelner, rachunek proszę - pułkownik machnął ręką w stronę faceta w białym kitlu. Bez większego skutku. To dziwne, jak kelnerzy umieją patrzeć nic nie widząc. Wreszcie jednak gastronomiczny dygnitarz podszedł i zaczął wypisywać rachunek. Rościszewski zapłacił, a koledzy chcieli się z nim rozliczyć.

- To później. W Międzywodziu, bo inaczej pójdziemy pieszo.

- Noc jest ciepła i widna.

- Dziękuję. Maszerować przeszło piętnaście kilometrów? To już nie na moje nogi.

- Pułkownik tak się reklamuje ze swoim starszym wiekiem, że ktoś gotów w to uwierzyć. A komu najbardziej świeciły się oczy do tej platynowej blondynki?

- Chodźcie, chodźcie - poganiał Rościszewski kierując się ku wyjściu.

Reszta poszła za jego przykładem.

Mieli szczęście. Autobus ruszył, kiedy dobiegli do przystanku. Wskakiwali w biegu.

## **Rozdział II**

### **Fatalna fotografia**

Na drugi dzień major Janusz Kaczanowski zaraz po śniadaniu pojechał do Międzyzdrojów. Wprawdzie nie przywiązywał wagi, do pieniędzy i nie bał się wydatków, jakie pociągało przegranie zakładu, ale sprawę potraktował ambicjonalnie. Trzeba walczyć i wygrać. Zadanie nie było bynajmniej proste. Na wszelki wypadek oficer milicji zaopatrzył się zarówno w lornetkę, jak i aparat fotograficzny. Prócz tego zabrał ze sobą kostium kąpielowy i ręcznik, bo dzień zapowiadał się upalnie.

Plaża w Międzyzdrojach jest rozległa i znalezienie na niej kogoś znajomego nie jest łatwe, ale w tym dniu szczęście wiernie towarzyszyło Januszowi, poczynając od samego ranka. W razie deszczu lub chłodu byłoby znacznie trudniej sięgać po sukcesy. Na razie plaża była prawie pusta. Spacerując pod pięknymi lipami, major obserwował wczasowiczów kierujących się nad Bałtyk. Długo czekał, aż wreszcie dostrzegł piękną blondynkę. Miała na sobie barwny, kwiecisty strój, a na głowie

ogromny kapelusz. W rękę niosła torbę plażową. Szła sama. Jednakże Kaczanowski nie ryzykował próby zawarcia znajomości. Gdyby się nie udała, byłby od razu spalony, bez żadnych szans do dalszego działania.

Nie tracąc przedmiotu z oczu, podążał za blondynką w dość znacznej odległości. Młoda kobieta weszła na plażę i bez wahania skierowała się do grajdołka wielkiego jak okop z czasów drugiej wojny światowej. Tam ją już z daleka dostrzeżono. Łysy pan, który wczoraj tak szalał na dansingu, aż wybiegł na jej spotkanie.

- Pani Krysienko! - wołał - Prosimy do nas.

Krystyna kiwnęła ręką na znak pozdrowienia i za chwilę witała się z całą grupą okupujących grajdołek. Towarzystwo składało się z czterech mężczyzn i dwóch kobiet. Także przystojnych, ale żadna nie dorównywała urodą platynowej piękności. Toteż chyba niezbyt chętnie przyjęły przybyłą, która specjalnie nie zwracała na to uwagi.

Ale te małe manewry nie uszły uwadze oficera milicji. Zanotował sobie pierwszy punkt: blondynka ma na imię Krystyna. Taka informacja mogła ułatwić dalsze kroki „dochodzenia”.

Teraz Kaczanowski ulokował się możliwie najbliżej grajdołka i wcale się tego nie wstydząc usiłował podsłuchać, o czym całe towarzystwo rozmawiało. Cóż, cel bardzo często uświęca środki.

Ale tym razem nie przydało się to na nic. Rozmawiano o pogodzie, później zajęto się najmiłą zabawą, jaką jest obgadywanie nieobecnych, w końcu dyskusja zeszła na temat ostatniej mody. Pani Krystyna raczej nie brała udziału w rozmowie. Troskliwie wysmarowała się kremem i, jakby to było możliwe, starała się jeszcze mocniej opalić.

Janusz wyciągnął aparat i pod pozorem fotografowania morza zrobił kilka zdjęć całego towarzystwa. Widząc zaś i słysząc, że wybiera się ona do kąpieli, podszedł aż do brzegu wody i udało mu się złapać moment, kiedy Krystyna biegła na spotkanie fali. Piękne włosy upozowały się jak ogon komety. Kaczanowski znał się na sztuce fotografowania i uważał, że to ostatnie ujęcie udało mu się jak rzadko które.

Około godziny pierwszej po południu towarzystwo z grajdołka zaczęło się zbierać do odejścia. W domach, FWP, bez względu na pogodę, obiady wydaje się od pierwszej do drugiej. Kto chce dłużej się opalać, niech chodzi głodny. Major także się ubrał i znowu podążył - za całą grupką. Szli w jednym kierunku i wszyscy zniknęli w



domu wczasowym o nazwie „Złocien”.

Także i major uznał, że spokojnie może udać się na posiłek. Ponieważ dostanie miejsca w jakiegokolwiek jadłodajni czy restauracji o tej porze było marzeniem ściętej głowy, oficer MO musiał się zadowolić smażalnią ryb. Pocieszał się, że przymusowy post odbije sobie w czasie prośzonej kolacji na koszt pułkownika Zygmunta Adamika.

Z takim obiadem Januszowi poszło szybko. Wrócił pod „Złocien” i zajął strategiczny punkt, skąd mógł obserwować wchodzących i wychodzących z willi. Teraz przyszło mu czekać bardzo długo, bo aż do wpół do piątej po południu. Wreszcie piękna blondynka, ciągle w towarzystwie łysego dżentelmena, opuściła progi domu wczasowego.

Ta para, stwierdził Kaczanowski, poszła do kawiarni. Wiadomo, że spędzą tam przynajmniej godzinę, jeżeli nie dłużej. Można więc spokojnie działać. W kwiaciarni oficer milicji kupił trzy goździki i pomaszerował z nimi z powrotem do „Złocienia”. Śmiało wszedł do środka. W portierce siedziała pokojówka.

- Pan do kogo? - zapytała mężczyznę z kwiatami.

- Do pani Krystyny.

- Której? - uśmiechnęła się dziewczyna. - U nas jest kilka Krystyn. Ja sama także nazywam się Krystyna.

- Ba! - szczerze przyznał Kaczanowski. - Poznałem - ją wczoraj na dansingu, ale nazwiska nie dosłyszałem.

Wiem tylko, że mieszka w „Złocieniu”. Bardzo przystojna blondynka. Ma długie, platynowe włosy...

- To na pewno pani dyrektorowa Niemirowska. Nie ma pan szczęścia. Przed pół godziną wyszła. Jeśli pan chce, zaniosę kwiaty do jej pokoju. Może pan też napisać kartkę, żeby wiedziała od kogo. Ta pani dostaje dużo kwiatów. Nie od jednego. Nazywają ją „miss Międzyzdroje”.

Major zdecydował się.

- Dziękuję - powiedział. - Mam swój honor. Jak się babka umówiła ze mną o piątą, a pół godziny przedtem wyszła z innym, to pal ją sześć. Kupiłem kwiaty dla Krystyny, więc je oddam Krystynie. Pani będzie uprzejma... - to mówiąc Janusz z pięknym ukłonem wręczył kwiaty pokojówce.

- Naprawdę dla mnie? - ucieszyła się dziewczyna.

- Takie jest przeznaczenie - Kaczanowski postanowił przedłużyć rozmowę, a

tymczasem ciekawie rozglądał się po dyżurce.

Nad telefonem wisiała duża czarna tablica z numerami pokoi pensjonatu. Pod numerami przypięto kartki z imionami, nazwiskami i adresami użytkowników pokoi. Wzrokiem szukał tej z nazwiskiem „Niemirowska”.

- Bardzo panu dziękuję. Jakie piękne goździki!

- Cieszę się, że się pani podobają.

- Ale pan nie miał szczęścia:

- Przeciwnie, poznałem panią. Musi pani tu siedzieć: Dziewczyna zrobiła smutną minkę.

- Niestety, mam dzisiaj dyżur do dziesiątej. Muszę tu kamieniem siedzieć. W czasie ubiegłego turnusu koleżanka wyszła na godzinę z dyżurki, bo ją odwołali do pomocy w kuchni, i jeden pokój został okradziony. Strach, co się wtedy działo, była milicja, ale niczego nie odnalazła.

- Szkoda - Janusz powiedział to zupełnie szczerze, podwójnie zawiedziony, że milicja nie odnalazła złodzieja i że dziewczyna jest zajęta. Była niebrzydka.

- Szkoda - powtórzyła pokojówka. Jej także podobał się ten wysoki, zgrabny mężczyzna o ciemnej, opalonej, nieco pociągłej twarzy i lekko sfalowanych ciemnych włosach, przyprószonych na skroniach siwizną. A przede wszystkim te oczy. Tak bardzo niebieskie i takie młode.

- A może jutro lub pojutrze?

- Nie da rady. Pan wie, jak to jest w Międzyzdrojach w sezonie. Nie ma ludzi. U nas powinny być cztery pokojówki, a jest nas tylko dwie i jedna dochodząca na pół etatu. Wieczorem na nos upadamy ze zmęczenia. Wolnego już nie miałam od dziesięciu dni. Co z tego, że się jest nad morzem, kiedy ani razu nie byłam na plaży. Gdybym wiedziała, nigdy bym się nie zgodziła do tej pracy.

- Pani nie stąd?

- Nie. Jestem ze Szczecina. Tutaj przyjechałam na sezon. Myślałam, że dobrze zarobię i będę nad morzem. No i jestem - dziewczyna mówiła to z nutą goryczki.

- Zarobek chyba niezły?

- Nie taki znowu wielki. Pensja małutka, bo „goście dadzą”. A z tym różnie bywa. Na poprzednim turnusie, jak zrobili zbiórkę na służbę, po pięć złotych od osoby, to połowa nic nie dała. Zdarza się, że są i lepsi goście, czasem proszą, żeby coś przeprać, zwłaszcza panowie, ale panie rzadko dają zarobić.

- Dyrektorowa Niemirowska taka sama?

- Żeby pan wiedział! Pokazywała mi śliczne rajstopy. Zagraniczne. Kiedy prosiłam, żeby mi odstąpiła, to zaśpiewała cenę większą niż w komisie w Szczecinie. A sama się chwaliła, że przywiózł jej mąż z Wiednia, kiedy tam był w podróży służbowej.

- Ja także często jeżdżę służbowo. Bywam i w Szczecinie.

- Ooo! - w tonie dziewczyny wyraźnie brzmiała zachęta..

- Właśnie pod koniec września albo z początkiem października wybieram się na co najmniej tydzień do Szczecina - słowa oficera milicji były półprawdą, bo rzeczywiście Stołeczna Komenda MO prowadziła skomplikowaną sprawę zabójstwa jednego ze znanych waluciarzy. Nici tej zbrodni sięgały nad morze i Kaczanowskiego jeszcze przed urlopem naciskał jego zwierzchnik, pułkownik Adam Niemirowicz, żeby nad Odrą próbować wraz z milicją szczecińską wyjaśnienia tej sprawy. Ale wtedy majorowi udało się uniknąć tego wyjazdu, który obecnie zapowiadał się dużo bardziej obiecująco.

Dziewczyna milczała.

- Gdybym wiedział, gdzie pani szukać...

- Pracuję w „Samie” spożywczym przy ulicy Bolesława Krzywoustego. Ale do miasta wracam dopiero w październiku. „Złocien” jest czynny do końca września.

- Tak się urządzę, aby przyjechać do Szczecina w październiku. Dobrze?

- Jak pan chce - perspektywa spotkania się z przystojnym mężczyzną nie była niemiłą pannie Krysi. - A gdzie pan pracuje?

- W Ministerstwie Żeglugi - major skłamał bez mrugnięcia okiem i zmienił temat. - Jaką pani ma śliczną i oryginalną fryzurę. Świetnie pani w niej.

Pokojówka naprawdę wyglądała tak, jak gdyby przed chwilą zeszła z fotela fryzjerskiego.

- Rano, kiedy wczasowicze byli na plaży, wyskoczyłam do pana Józefa. To bardzo dobry fryzjer. Także ze Szczecina. W zimie tu same puchy. Wszystko zamknięte, a fryzjerzy i fotografowie przenoszą się do miasta.

- Teraz rozumiem, dlaczego pani Niemirowska ma tak ładnie zrobione włosy na blondynkę.

- A jednak pani Krystyna dobrze musiała zakręcić panu w głowie - roześmiała się dziewczyna.

- Iii, nie powiem, przystojna babeczka. Trochę z nią tańczyliśmy wczoraj na dansingu. Umówiła się ze mną, że wstąpię do „Złocienia”. A że nie czekała, tylko na

tym zyskałem - Janusz tak - spojrzał na dziewczynę, że pokojówka się zarumieniła. - Ale włosy to ona ma ładnie ufarbowane. Rzadko spotykany kolor.

- To nie farbowane, naturalne.

- Żartuje pani? Naturalne nie mogą być takiego koloru.

- A właśnie, że naturalne. Pokojówka dużo wie o swoich gościach. Widuje się ich w różnych sytuacjach. Przed naszym wzrokiem nic się nie ukryje.

- Niemożliwe? Taki kolor?

- A właśnie. Pani Niemirowska jest już u nas prawie dwa tygodnie. Gdyby farbowała włosy, u nasady, po odrośnięciu, miałyby inny kolor. Tego się nie da ukryć. Ja też początkowo myślałam, że ona je maluje. Nawet fryzjer, pan Józef, u którego cheszą się panie z naszego pensjonatu, przyznał, że pierwszy raz widzi taką oryginalną barwę.

Podczas tej rozmowy major stale zerkał na tablicę z nazwiskami. Odszukał tam już słowa skreślone flamastrem „Krystyna Niemirowska”, ale adresu nie udało mu się odczytać. Po prostu wypisany był zbyt drobnymi literkami, aby można go było z daleka rozszyfrować. Oficer wyjął z kieszeni notes i długopis.

- Pozwoli pani, Krysiu, że zapiszę sobie pani adres - Kaczanowski podszedł do wiszącej na ścianie tablicy i oparł o nią swój notatnik. Teraz już bez trudu przeczytał: „Krystyna Niemirowska, Warszawa, ul. Drzewieckiego 87”. - To jest „Sam” przy ulicy Bolesława Chrobrego, ale który numer?

- Nie Chrobrego, tylko Krzywoustego - poprawiła dziewczyna - Krzywoustego siedemnaście. Zresztą jedyny spożywczy „Sam” przy tej ulicy.

- Na pewno znajdę i zobaczymy się w Szczecinie - major wyciągnął rękę do dziewczyny. - Nazywam się Janusz Kaczanowski.

- Krystyna Cegiełek.

- A więc, panno Krysiu, do widzenia w Szczecinie.

- Jeżeli pan nie zapomni. A te kwiaty zaniosę do pokoju pani Niemirowskiej.

- Pięknie panią proszę, niech pani tego nie robi. I tak przecież dostały się w ręce Krystyny. Takiej miłej i ładnej. Po co tamta ma wiedzieć, że udało się jej wystawić mnie na durnia. Dobrze?

- Jeśli panu na tym zależy...

- Bardzo - Janusz pocałował dziewczynę w rękę i opuścił „Złocię”.

Postanowił, że w Szczecinie odszuka tego miłego i zgrabnego kociaka. To może być interesująca znajomość.

Potem major odnalazł zakład fryzjerski „Józef” i zanotował sobie jego adres. Wprawdzie zakład stał między dżentelmenami, ale z przyzwyczajenia zawodowego Kaczanowski gromadził żelazne dowody swojej wygranej. Uznał, że „śledztwo” zakończyło się jego pełnym sukcesem i że może spokojnie wracać do Międzywodzia. Właśnie autobus stał już na przystanku.

Na miejscu, w Międzywodziu, Janusz wstąpił do znajomego fotografa, u którego parę razy wywoływał filmy. Umówił się z nim, że nazajutrz przed południem dostanie swoje odbitki, a zdjęcie dziewczyny biegnącej do wody zrobione będzie w powiększonym formacie. Bez retuszu, na błyszczącym papierze.

Wieczorem wszyscy usiłowali się dowiedzieć rezultatu porannych poszukiwań w Międzyzdrojach. Major zrobił niezdecydowaną minę i odpowiedział, że ma czas. Na prowadzenie „dochodzenia” pozostał mu przecież jeszcze następny dzień.

Pułkownik Adamik półsłówka Kaczanowskiego wytłumaczył najkorzystniej dla siebie. Przeciwnikowi nie udało się i dlatego jest taki markotny. Krakowianin tryumfował i dokoła opowiadał, że na czym jak na czym, ale na swojej pamięci może polegać. Doskonale przypomina sobie, że przystojną blondynkę nieraz widywał w podwawelskim grodzie. Najczęściej w kawiarni Noworolskiego, a także i w „Cracovii”. Proponował też współuczestnikom zabawy, aby z góry ustalić i zamówić w restauracji odpowiednie menu na zakładową kolację.

Następnego dnia ku - zdziwieniu współpensjonariuszy Janusz Kaczanowski nie wyjechał do Międzyzdrojów, ale całym wczasowym towarzystwem powędrował na plażę. Opalał się, kąpał w nie za ciepłym morzu i na pytania o zakładzie mówił:

- Próbowałem wczoraj. Trudno, głową muru się nie przebije.

Zygmunt Adamik był w coraz lepszym humorze, tylko pułkownik Rościszewski nie dał się zwieść.

- Ty, Januszk, coś ukrywasz. Przyznaj się...

- Wszystko rozstrzygnie się jutro przy obiedzie - tajemniczo odpowiedział Kaczanowski i poszedł grać w siatkówkę.

„Wracając do pensjonatu na obiad, major wstąpił do fotografa. Odbitki były gotowe. Podając je, fachowiec pochwalił:

- To zdjęcie dziewczyny biegnącej do morza wyjątkowo się majorowi udało. Można śmiało posłać na konkurs „Najlepsze zdjęcie z wakacji”.

Rzeczywiście, na fotografii widać było piękną dziewczynę, jak uśmiechnięta,

z rozwianymi jasnymi włosami, wbiega do wody. Fala rozbija się o brzeg plaży, obryzgując bieżącą od stóp do głowy.

- To znajoma? - dopytywał fotograf.

- Nie. Jeszcze nie.

- Rozumiem.

Na drugi dzień po obiedzie porucznik Walicki zebrawszy świadków zakładu zapytał oficjalnym tonem:

- Co major Kaczanowski ma nam do zakomunikowania?

Janusz nie śpiesząc się, sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej dużą, szarą kopertę i zaczął ją otwierać. Pięć par oczu spoczęło na tym papierze. Wreszcie wy dostał z koperty zdjęcie formatu 13X18 i podał arbitrowi zakładu. Na zdjęciu roześmiana blondynka wbiegała do wody. Na odwrocie napisano „Krystyna Niemirowska, adres: Warszawa, ulica Drzewieckiego 87. Włosy naturalne. Świadców: Krystyna Cegiełek, pokojówka w pensjonacie »Złocień« oraz właściciel zakładu fryzjerskiego w Międzyzdrojach, ul. Lipowa 36, Józef Mańkowski”.

Fotografia przechodziła z rąk do rąk. Gdyby w tej chwili ktoś zrobił zdjęcie twarzy pułkownika Adamika, także miałby szansę na zajęcie dobrego miejsca w konkursie na fotkę z wakacji. Niestety, fotografa przy tym nie było.

- Piękna fotka - zauważył pułkownik Rościszewski. - Winszuję ci, Januszu.

- Babeczka ładniejsza - stwierdził major Jagodowicz. - Wygląda jak żywa. Nie wiedziałem, że mamy między sobą takiego mistrza.

- A więc? - Kaczanowski zapytał porucznika.

- Stwierdzam - zdecydował arbiter - że zakład wygrał major Kaczanowski.

Brawa dla zwycięzcy.

Zaczęto klaskać. Nawet pułkownik Adamik. Cóż miał robić, biedak?

- Jak to dobrze, Zygmysiu - zauważył Rościszewski - że z góry ustaliłeś menu dzisiejszej kolacji. W zupełności polegam na twoim guście.

- Jak też i na twojej kieszeni - dorzucił major Jagodowicz.

- Panowie - Adamik chciał pokazać, że umie przegrywać - wszystko będzie OK. Mucha nie siada, możecie być spokojni. Czekam na moich miłych gości w restauracji punktualnie o siódmej.

- Pozwoli pułkownik - Kaczanowskiemu zrobiło się trochę żal przeciwnika - że załatwimy tę sprawę wspólnie.

- Co to, to nie! - zaprotestował Adamik.

- Powiedz, Januszk - zapytał Rościszewski - jak tego dokonałeś?

- Och - major machnął ręką - nie zabrało mi więcej niż dwie godziny.

- Ale jak?

- Mój czar osobisty, panowie, ot i wszystko. - Skromny to ty nie jesteś.

- Doceniam tylko własne możliwości.

- Trzeba ci jednak przyznać, że zdjęcie udało się nad podziw.

- A jednak nie nowinieneś go robić - zauważył Jagodowicz.

- Dlaczego?

- Nie wolno fotografować lotnika udającego się w drogę i marynarza wsiadającego na statek. A także pływaka wchodzącego do wody. To przynosi nieszczęście.

- Głupi przesąd - zaproponował Adamik.

- A przecież istnieją tysiące przykładów potwierdzających, że w tym coś jest: Choćby ta sławna fotografia księcia Kentu zrobiona na minutę przed startem.

- To było na wojnie. Wtedy każdy startujący samolot był narażony na to, że nigdy nie wróci na lotnisko.

- Ale tej angielskiej maszyny nie zestrzelili Niemcy, lecz w parę minut po oderwaniu się od płyty lotniska rozbiła się o górę. Tak jakby samolot był pilotowany nie przez jednego z asów lotnictwa brytyjskiego, ale jakiegoś nowicjusza, który wyruszył do pierwszego samodzielnego lotu.

- Czyżbyś, Leonku, naprawdę był taki przesądny? - uśmiechnął się Rościszewski.

- Nie jestem przesądny, ale w tej legendzie jest jakaś odrobina prawdy. Żeby Janusz nigdy nie żałował, że zrobił to zdjęcie.

- Tym razem - bronił się Kaczanowski - jestem zupełnie spokojny. Bohaterka mojego zdjęcia pływa jak młoda foka. Zresztą widziałem, jak wróciła z kąpieli. Możecie mi wierzyć, żaden z nas nie dałby jej w wodzie rady. Ta dziewczyna chyba trenowała pływanie.

- Przypomnicie sobie, że ja ostrzegałem - upierał się Jagodowicz.

- Nie kracz, nie kracz.

Wieczór w przyjacielskim gronie upłynął bardzo przyjemnie. Wbrew zastrzeżeniom pułkownika Rościszewskiego, nie obyło się naturalnie i bez butelczyny. Zaś Adamik szybko pogodził się ze swoją klęską i bawił się równie dobrze jak jego goście. Wbrew potwarzom o skąpstwie, krakowianin nie mrugnął

nawet okiem płacąc dość słony rachunek. Nie chciał nawet słuchać Kaczanowskiego, który znowu proponował podzielenie sumy na dwie części. Także interwencja pozostałych uczestników biesiady, żeby chociaż wyodrębnić i solidarnie zapłacić za alkohole, pozostały bez skutku.

Mają swój honor krakowianie!

Ten miły koleżeński wieczór był jednocześnie ostatnim, jaki major Kaczanowski spędził w Międzywodziu. Nazajutrz rano wyjechał stamtąd pierwszym autobusem. A po spędzeniu przeszło osiemnastu godzin w podróży i rozlicznych przesiadkach wreszcie wylądował w swojej wymarzonej leśniczówce na Mazurach, niedaleko Olecka. I jak to zwykle bywa z wymarzonymi przez nas ideałami, po kilku dniach ciszy i samotności zaczął tęsknić za ruchem i gwarem nadmorskich uzdrowisk, a w końcu za swoim gabinetem pracy w Pałacu Mostowskich. Tym bardziej że tak dotychczas sprzyjająca pogoda nagle się zmieniła. Było zimno i prawie codziennie padał deszcz. Nawet zbieranie grzybów w mokrym lesie przestało być przyjemnością. A cóż dopiero leżenie pod sosną. I to samemu.

Oficer milicji powitał bez żalu koniec urlopu i z taką samą radością, z jaką wyjeżdżał z Warszawy, teraz do niej wracał. Z Olecka dostał się pociągiem do Ełku, gdzie musiał przeszło dwie godziny czekać na pociąg do Warszawy. Trochę spacerował po tym ładnym mieście, nad jeziorem w barze „Pod topielcem” wypił kufel piwa i zjadł flaczki, a do kawiarni w domu kultury wstąpił na kawę. Po drodze kupił „Gazetę Białostocką”. Teraz siedząc przy stoliku przeglądał dziennik. Aż zbladł, gdy na drugiej stronie gazety znalazł krótką notatkę:

*Ofiara własnej lekkomyślności - Pomimo ostrzeżeń, stałych dyżurów Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego morze wciąż porywa nowe ofiary. W dniu wczorajszym w Międzyzdrojach znowu zanotowano tragiczny wypadek. Kąpiąc się na dzikiej plaży w czasie sztormowej pogody utonęła Krystyna Niemirowska, mieszkanka Warszawy. Mimo długotrwałych poszukiwań dotychczas nie udało się odnaleźć zwłok ofiary własnej lekkomyślności.*

Kaczanowski sięgnął do kieszeni. Wydobył z niej fotografię. Wesoła, śmiejąca się dziewczyna, w burzy jasnych włosów, wbiega do wody. To było tak niedawno. Zaledwie przed dziewięcioma dniami. A dziś ta kobieta już nie żyje.

Majorowi przypomniał się głos Jagodowicza i jego słowa: „To przynosi nieszczęście... Żeby Janusz nigdy nie żałował, że zrobił to zdjęcie”.

Przecież to głupota - tłumaczył sobie Janusz. - Ten tragiczny wypadek nie



może mieć nic wspólnego z fotką, która tu leży na stoliku. Major Jagodowicz po prostu sobie żartował albo plótł, co mu ślina na język przyniesie. Na pewno ten doświadczony i już nie za młody oficer milicji nie wierzy w przesady czy gusa. Dlaczego on, Kaczanowski, ma przywiązywać do nich wagę?

A jednak aromatyczna kawa nagle straciła smak, zaś sierpniowe słońce, które przed chwilą świeciło, teraz jak gdyby zbladło.

### **Rozdział III**

#### **Pozdrowienia z Sokołowa Podlaskiego**

Pierwszy dzień pracy upłynął majorowi Januszowi Kaczanowskiemu tak, jak to zawsze bywa. Trzeba przywitać kolegów, dowiedzieć się, co tymczasem działo się w Komendzie Stołecznej, wysłuchać różnych plotek i zapoznać się z bieżącymi sprawami.

Naczelnik wydziału zajmującego się dochodzeniem w sprawach najcięższych zbrodni, popularnie zwanego „wydziałem zabójstw”, pułkownik Adam Niemirosz od rana uczestniczył w jakiejś konferencji w Komendzie Głównej MO, więc gdyby major nawet specjalnie „palił się do roboty”, po prostu nie wiedziałby, do czego się wziąć. Kaczanowski nigdy nie uchylał się od najtrudniejszej roboty. Tym razem jednak był zadowolony z przymusowego próżnowania. Nie ukrywał przed sobą, że tragiczna śmierć Krystyny Niemirowskiej w falach Bałtyku dziwnie go rozkleiła. Klął w żywy kamień majora Jagodowicza za jego głupią uwagę, ale to go wzięło. Czuł się tak, jak gdyby naprawdę był współwinnym tego zdarzenia.

Dopiero około trzeciej po południu pułkownik Niemirosz wrócił z Ksawerowa i major mógł się dostać do gabinetu zwierzchnika, który zresztą, choć starszy, był od wielu lat najbliższym chyba przyjacielem Janusza.

- Melduję swój powrót z urlopu - w stosunkach służbowych major zawsze używał oficjalnych form.

- Jak się masz, Januszk, siadaj - pułkownik był w wyjątkowo dobrym humorze. - Zaraz Krystia zrobi nam kawy. Znajdzie się też może jakaś odrobina winiaczku w butelczynie. Trzeba przecież uczcić twój powrót. No, opowiadaj, jak tam było? Zeszczuplałeś chyba? A opaliłeś się na Murzyna. Miałeś szczęście z urlopem w taką pogodę. A ja w maju miałem tylko deszcz i zimno.

- Znowu Krystyna - mimo woli wyrwało się Kaczanowskiemu.

- Masz uraz na tym tle? Czyżby jakaś babka wystawiła cię do wiatru? Oj

Janusz, Janusz, ciebie prędzej czy później zgubią te baby. Pamiętaj.

Niemiroch uważnie przyjrzał się przyjacielowi i dodał:

- Znam cię i widzę, że to coś poważnego.

- Ależ nie. Jestem nieco zmęczony.

- Zmęczony po urlopie? Dobre sobie! Nie bujaj. Wyglądasz niczego, ale oczy, tak jakbyś dzisiejszej nocy nie spał. Albo... Ale co ja się będę bawił w zgadywanki! No, wykładaj kawę na ławę. Mnie, starego, nie zwiedziesz.

- Kiedy naprawdę nic.

- Jakaś dziewczyna? - pułkownik nie ustępował. - Tak ci weszła w krew?

- Nie warto, o tym mówić.

- Co to za Krystyna? - nalegał Niemiroch, a tymczasem sekretarka pułkownika, panna Krysia właśnie, przyniosła dwie filiżanki kawy.

- Skąd wiesz, że Krystyna? - zdziwił się major.

- Ty nie klucz, a mów. - Kiedy mi głupio.- A mówiłem ci, że znajdzie się wreszcie ktoś, kto i ciebie przerobi. Nie wierzyłeś, a teraz ponosisz tego skutki. Dobrze ci tak. Najwyższy czas, żebyś się już ustatkował. Jest tyle ładnych, przyjemnych dziewczyn, choćby ta nasza Krysia. Nieraz widziałem, jak na ciebie ciekawie zerka. Ale ty zawsze włączysz, gdzie cię nie proszą, albo jak ten motylek z kwiatka na kwiatek. Ładny motylek z siwiejącymi skroniami i czterema krzyżykami na karku.

Kaczanowski słuchając tej perory przyjaciela wybuchnął śmiechem.

- Tym razem, drogi Adasiu, fatalnie spudłowałeś. Masz rację, mam pewnego zgryza, i to z Krystyną, alć martwą.

- Martwą? Nic nie rozumiem. Zabiłeś kogoś?

- Ja?

- Nie ty? - zdziwił się kpiąco pułkownik.

W końcu major Kaczanowski opowiedział pułkownikowi o zakładzie, jaki zawarł na dansingu w Międzyzdrojach, fotografii na plaży, uwadze majora Jagodowicza i o tragicznym wypadku bohaterki zdjęcia.

Niemiroch nie śmiał się z przyjaciela. Uważnie wysłuchał historii i stwierdził:

- Wprawdzie to zwykły przypadek, bo Jagodowicz strzelał na ślepo, ale trafił w dziesiątkę. Wyjątkowy zbieg okoliczności. Rozumiem, że cię to tak wzięło. Na twoim miejscu odczułbym to podobnie.

- Tłumaczyłem sam sobie, że jestem durniem. Nic nie pomaga. Gdybym nie

widział, jak ta dziewczyna świetnie pływa, sędzę, że to by mnie tak nie rąbnęło. Ale jak taka pływaczka mogła się utopić?

- Przecież w prasie, jak sam mówiłeś, podawano, że wówczas panował nad Bałtykiem sztorm.

- Co to jest sztorm dla takiego pływaka? Zwłaszcza, że przy sztormie fala zazwyczaj idzie do brzegu. Ta kobieta umiała nie tylko doskonale pływać, ale także i pływać w morzu. Widziałem na własne oczy, jak nurkowała pod falę.

- Może kurcz ją złapał? Nasz Bałtyk nie jest za ciepły.

- Dobry pływak wie, że w przypadku kurczu wystarczy ukłuć, się szpilką. Natychmiast ustępuje.

- Trzeba ją mieć.

- Miała wsuwki we włosach. Widać je na moim zdjęciu - Kaczanowski położył przed pułkownikiem fatalną fotografię. Niemirowich dokładnie obejrzał fotkę.

- No tak, tu widać, że dziewczyna ma coś we włosach. Ale przecież nie wtedy się utopiła. Mogła w tym fatalnym dniu zmienić uczesanie. Zawiązać włosy w węzeł lub zapleść warkoczyki, jak to często robią dziewczęta uprawiające sport. Mogła zresztą umrzeć na nagły atak serca. To się często zdarza przy pływaniu.

- Ale nie w tym wieku. Nie widzisz, że to okaz zdrowia?

- Co można wiedzieć oglądając fotografię?

- A jednak...

- Wiesz co, Janusz - zdecydował pułkownik - nie ma innego sposobu, żebyś się uspokoił, jak tylko zająć się tą sprawą.

- Jak to? Wypadek zdarzył się w Międzyzdrojach, w województwie szczecińskim. Tamtejsze władze...

- Tamtejsze władze wobec zupełnie jasnych okoliczności na pewno ograniczyły się do spisania protokołu. Co najwyżej prokurator wydał polecenie przeprowadzenia sekcji zwłok. I tak od wyjazdu do Szczecina nie wykręcisz się. Więc damy ci pismo do Komendy Wojewódzkiej, abyś przy okazji zbadał i tę sprawę. Powiem otwarcie, nie chciałbym, abyś zaniedbywał naszych waluciarzy i zajmował się wyłącznie wypadkiem tej Krystyny, jak jej tam...

- Niemirowskiej.

- Właśnie. Niemirowskiej. Wspomniałeś, że ona mieszkała w Warszawie? Można dyskretnie rozejrzeć się i na naszym terenie. Może to było samobójstwo upozorowane na wypadek? Różnie bywa. Jestem pewien, że jak dokładnie zbadasz,

uspokoisz w ten sposób swoje sumienie.

- Chyba masz rację. Naprawdę nie wiem, jak mam ci podziękować.

- No, no, pierwszy raz udało mi się usłyszeć, że major Kaczanowski dziękuje za danie mu sprawy. Bo dotychczas zawsze się wykręcałeś - roześmiał się pułkownik.

- Jutro zorientuj się, co w czasie twojej nieobecności działo w tej walutowej historii kapitan Orkisz, przejmij od niego akta i jedź do Szczecina.

- Sądzę, że wybiorę się tam w początkach października.

- Dlaczego tak późno?

- Bo wtedy będę miał nieoficjalny dostęp do osoby, która może powiedzieć mi coś o Niemirowskiej. Wolałbym nie przyznawać się, że jestem z milicji.

- Zapewne ta osoba nosi sukienkę?

- Żadna tajemnica, zbierając informacje potrzebne do wygrania zakładu, zawarłem znajomość z pewną pokojówką ze „Złocienia”. Tak nazywał się pensjonat, w którym - mieszkała Niemirowska. Dziewczyna pochodzi ze Szczecina. Pracuje w jednym ze sklepów spożywczych. Ale aż do końca września pozostanie w Międzyzdrojach. Lepiej będzie rozmawiać z nią w Szczecinie.

- Coś, Januszk, za gęsto się tłumaczysz. Trzymam zakład, że dziewczyna jest młoda i przystojna.

- To nie ma nic do rzeczy. Ale rzeczywiście nie jest brzydka.

- Oj Janusz, Janusz, ty źle skończysz. Przepowiadam ci to.

- Zmień płytę. Te przepowiednie słyszałem z tysiąc razy.

- Ale w końcu się sprawdzą. A w ogóle radzę ci zainteresować się Krysią.

- Daję słowo, że to zrobię. Dlatego właśnie jadę do Szczecina, do tej Krysi ze „Złocienia”.

- Zginiesz marnie - pułkownik rzucił nowe proroctwo i dodał już łagodniej: - życzę powodzenia w obu sprawach.

Wprawdzie po rozmowie z pułkownikiem majorowi humor nieco się poprawił, ale jego mol ciągle go jednak podgryzał. Kaczanowski postanowił spróbować, czy upartego owada nie uda się podtruc ucziwą porcją alkoholu. Z Komendy Stołecznej MO do restauracji „Hotelu Saskiego” jest najbliżej i oficer milicji tam skierował swoje kroki. Pierwszą osobą, którą zobaczył w knajpce, był mecenas Mieczysław Ruszyński.

Znakomity warszawski adwokat siedział samotnie przy stoliku, jedynie w towarzystwie ćwiartki żytniówki i potężnej golonki. Ani kawałka chleba czy

ziemniaków, bo mecenas, popularnie wśród przyjaciół zwany „Mięciem”, właśnie wymyślił i wypróbował na sobie nową rewelacyjną metodę odchudzania. Broń Boże, ziemniaki i «kasze lub chleb! Tylko coś lekkiego, jak na przykład goloneczka lub kotlet schabowy i dla lepszego trawienia ćwiarteczka, ale za to dobrze ostudzona i podparta jednym czy też dwoma kufelkami piwa.

Był czas, kiedy Kaczanowski serdecznie nie lubił adwokata. Nie zaprzeczał mu zdolności i sprytu, ale uważał, że mecenas przekracza swoje kompetencje i za bardzo wtrąca się do dochodzenia. Mało tego, nieraz usiłuje bez wiedzy milicji prowadzić prywatne śledztwo. Jednakże ta niechęć ostatnimi czasy zmaląła, a nawet chyba zupełnie zniknęła. Mieczysław Ruszyński oddał poważne usługi milicji przy prowadzeniu przez nią kilku skomplikowanych spraw i miał duży udział w wyświeceniu kilku morderstw. A poza tym przy bliższych kontaktach obaj panowie stwierdzili, że mają wiele wspólnych upodobań. Zwłaszcza bardzo cenili piękno kobiece. Z małą różnicą. Miecio wołał rude, zaś Janusz, młodszy od niego, nie przywiązywał specjalnej wagi do koloru włosów.

Teraz na widok oficera milicji mecenas uśmiechnął się przyjaźnie i uczynił gest zapraszający do stolika.

- Jestem w takim parszywym nastroju - powiedział po przywitaniach adwokat - że chociaż z zasady nigdy nie piję, postanowiłem dzisiaj kropnąć sobie jednego. Fatalnie przerzuciłem poważną sprawę. Na dobitkę pewna klientka utopiła mi się i chyba straciłem grubszą sumkę honorarium. A jeżeli nawet nie straciłem, to czekaj tatka latka. A co tam dobrego u majora?

- Także jak najgorzej.

- Nie ma innej rady, trzeba wypić - i Miecio skinął na kelnera, aby przyniósł jeszcze jeden kieliszek. Kaczanowski zamówił jakąś przekąskę i także dał się skusić na golonkę.

- Jak pech, to pech - ciągnął dalej mecenas. - Przez przeszło trzy lata prowadziłem wyjątkowo skomplikowaną sprawę spadkową. Kiedy już nareszcie wszystko zostało wyprowadzone na czyste wody i pozostało ręką sięgnąć po pieniądze, moja klientka nie miała nic lepszego do roboty, jak wybrać się do Międzyzdrojów i tam najgłupiej na świecie utonąć w morzu. Bardzo mi żal tej kobiety.

- Krystyna Niemirowska?

Miecio z wrażenia postawił trzymany w ręku kieliszek. Popatrzył na oficera

milicji jak na czarodzieja.

- Skąd major wie?! Siedzicie mnie czy co? Przecież w warszawskiej prasie nie było o tym nawet słówka. Ja dowiedziałem się od męża, którego zawiadomiła prokuratura w Szczecinie.

- Byłem w Międzywodziu na wypoczynku, a panią Niemirowska widziałem w Międzyzdrojach - wyjaśniał Kaczanowski, jednocześnie stwierdzając w myśli, że dziwne fatum prześladowuje go nadal. Nie ma siły, aby mógł choć na chwilę uwolnić się od tej topielicy.

- Co za dziwny zbieg okoliczności - stwierdził adwokat.

- To była piękna kobieta. A jakie miała prześliczne blond włosy.

- De mortuis nil nisi bene - sentencjonalnie zauważył Miecio nalewając ponownie kieliszki. - Z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Raz są blondynkami, a później są rude. Ale rzeczywiście Niemirowska była blondynką. Czy pan major wie, jak doszło do tej tragedii?

- Nie. Nie było mnie już wtedy w Międzyzdrojach.

- O wypadku przeczytałem w prasie prowincjonalnej. Pisali, że utonęła kąpiąc się na dzikiej plaży w czasie sztormu na morzu.

- To i ja słyszałam, ale niewiele więcej. Tyle tylko, że zwłok nie odnaleziono.

- Czytałem o tym, ale przypuszczałem, że morze wyrzuciło ciało.

- Powiedział mi to Niemirowski, zawiadamiając mnie o śmierci żony.

- Pan go zna dobrze?

- Raczej nie. Był dwa czy trzy razy w mojej kancelarii razem z żoną. Robi wrażenie solidnego i rzeczowego faceta. Chociaż wiem, że małżeństwo mojej klientki nie układało się najszcześliwiej. Stale posądzała go o jakieś skoki w bok. Sądzę jednak, że była to raczej chorobliwa zazdrość. Choroba, na którą często zapadają żony mające zbyt przystojnych mężów.

- Pani Niemirowska gdzieś pracowała?

- Wspominała mi, że jest chałupniczką. Wykonywała różne artystyczne przedmioty dla Cepelii.

- Plastyczka?

- Nie sądzą, aby skończyła Akademię Sztuk Pięknych. Raczej amatorka, która swoje uzdolnienia zwróciła w kierunku sztuki ludowej. Zresztą nic dziwnego. Pochodzi przecież z Kurpiów. A tam sztuka ludowa przetrwała do dzisiaj w najmniej skażonej formie. Niemirowska robiła więc to, czego się zapewne nauczyła w

ojcowskiej chacie: wycinanki, pisanki, jakieś laleczki. Kiedyś ofiarowała mi swoje pisanki. Ładna robota, efektowna, a takie przedmioty idą w Cepelii stale i nie ma problemu z ich zbytem. Toteż moja klientka nie kryła, że zarabia dobrze i że jest pod tym względem zupełnie niezależna od męża.

- A on co robi?

- Jest jednym z dyrektorów wielkiej fabryki sprzętu elektrotechnicznego.

Ostatnio awansował.

- Przypadkowo widziałem panią Niemirowską w Międzyzdrojach podczas pływania. Była doskonałą pływaczką. Czy nie sądzi pan mecenas, że to mogło być upozorowane samobójstwo?

- Samobójstwo? Ależ dlaczego? To chyba wykluczone. Nawet maniacka zazdrość nie prowadzi do samobójstwa. Już raczej do zabójstwa. A wcale nie twierdzę, że Niemirowska była na tym tle maniaczką. Powiedziałbym, jedynie przewrażliwioną kobietą, posądzającą każdą inną, że ma w jej osobie rywalkę do względów pięknego mężczyzny.

- Sama przecież także była bardzo przystojna.

- Widzę, że majorowi się podobała. Mnie nie. Mamy różne gusty.

- Wiem, wiem, mecenas tylko rude.

- Byłem świadkiem - odciał się adwokat - kiedy i major gustował w tym kolorze. Czy mam przypomnieć?

Kaczanowski roześmiał się.

- To było dawno i nieprawda. Od tej chwili, kiedy zakopaliśmy nasze topory wojenne, upłynęło wiele wody w Wiśle. Nie przypominajmy tego okresu. Jeżeli wtedy wszedłem panu w drogę, mocno żałuję.

- Ale cóż znowu! Pan przecież zna moje zasady: klientka jest tylko klientką. Choćby była ruda i tak ładna jak pani... - tu Miecio urwał, żeby nie powiedzieć zbyt wiele.

- Właśnie. A teraz znowu mamy wspólną klientkę, niestety martwą.

- Pan major naprawdę podejrzewa, że to nie zwykłe utonięcie?

- Nie wiem. Powtarzam jedynie, że trudno mi uwierzyć, aby tak doskonała pływaczka mogła znaleźć śmierć w wodzie.

- Milicja rozpoczęła dochodzenie w tej sprawie?

- Nie. Nie było powodu. Ja sam po prostu usiłuję sprawdzić moje niejasne podejrzenia.

- No cóż - powiedział po namyśle Ruszyński - znam pewne wydarzenie, które mi pani Niemirowska opowiadała w kancelarii adwokackiej, Wprawdzie nie zastrzegła tajemnicy, ale my adwokaci, jesteśmy wyczuleni na tym punkcie. O czymkolwiek mówi adwokat i klient, jak gdyby wpadło do studni bez dna. Ale Niemirowska nie żyje, zaś major ma wątpliwości. Może więc lepiej będzie, że wyjawię ten szczegół.

- Na pewno - poświadczył Kaczanowski.

- Otóż ostatnio moja klientka była bardzo zdenerwowana. Pokazywała mi pocztówkę nadaną w Sokołowie Podlaskim. Właśnie ta kartka tak ją przeraziła.

- Jakież pogróżki?

- Tak to Niemirowska odczytała, chociaż treść widokówki była zupełnie niewinna. Zaledwie kilka słów. Dlatego je zapamiętałem. Tam ktoś napisał: „Pozdrowienia z Sokołowa Podlaskiego. Żyjemy i pamiętamy o naszej drodze, Krysi sklepniczarce”. Kartka była anonimowa. Tekst pisało albo jakieś dziecko, albo ktoś, kto umyślnie zmienił charakter pisma.

- I te dwa zdania wyprowadziły ją z równowagi?

- Ja także się temu dziwiłem, ale moja klientka wytłumaczyła mi, że przed przeszło dziesięcioma laty pracowała w Sokołowie Podlaskim jako ekspedientka w jednym ze sklepów spożywczych. W tamtych stronach grasowała niebezpieczna banda „Starego Macieja”. Banda wyspecjalizowała się w napadach na plebanie, bogatych chłopów i gminne spółdzielnie. Pewnego dnia dwaj członkowie bandy zrobili, jak się później okazało na własną rękę, napad na sklep, w którym pracowała Krystyna Klamówna. Takie było jej panięńskie nazwisko. Wpadli do sklepu i sterroryzowawszy personel zażądali pieniędzy i wódki. Podając wódkę, Klamówna uderzyła butelką w głowę jednego z bandytów i z krzykiem wybiegła na ulicę. Drugi z napastników strzelił do niej, ale na szczęście chybił. Dziewczyna podniosła alarm i po krótkim pościgu milicja i przypadkowo przechodzący ulicą oficer wojska polskiego ujęli przestępców. Doszło jednak do strzelaniny i jeden z milicjantów został ciężko ranny. Postrzelony został także jakiś przechodzień, który przypadkowo znalazł się na linii strzałów. A mając w ręku dwóch bandytów, MO bez trudu zlikwidowała resztę gangu z jej hersztem „Starym Maciejem” na czele. Zapadły wysokie wyroki. Między innymi uczestnicy napadu na sklep spożywczy dostali po piętnaście lat. Krystyna Klamówna była jednym z głównych świadków oskarżenia. Podobno bandyci odgrzali się, że po wyjściu z więzienia zrobią z nią koniec.



- Właśnie mogli wyjść na wolność. Były w tym czasie dwie amnestie. Za dobre zachowanie też mogli im coś zdjąć.

- To samo twierdziła Niemirowska. Dlatego tak się przestraszyła tej pocztówki.

- Mało prawdopodobna jest taka zemsta.

- I mnie się tak zdaje - przyznał adwokat. - Starąłem się wytłumaczyć to mojej klientce. Taki bandzior po odsiedzeniu dziesięciu czy też jedenastu lat albo decyduje się zerwać z poprzednim trybem życia, albo próbuje realizować plany nowych przestępstw, wydumane wraz z towarzyszami „pod celą”. Zemsta mu nie w głowie. Ręcej zachowałby anse do prokuratora czy sędziego albo do milicji, która go ujęła. Ale rzadko zdarza się taka reakcja. Osobiście słyzałem zaledwie o dwóch takich wypadkach.

- A jednak się zdarzają. Wyjątki potwierdzają regułę i dlatego nie można pominąć tego śladu. Miałem szczęście, że spotkałem mecenasa i uzyskałem tak cenne wiadomości. Mało prawdopodobne, ale ostatecznie możliwe, że w Międzyzdrojach ktoś śledził Niemirowska i zauważywszy ją na pustej plaży dokonał morderstwa. Ale co się stało ze zwłokami?

- Po prostu morze je zabrało.

- Czy mecenas ma tę pocztówkę?

- Nie. Klientka mi ją pokazała, ale nie zostawiła.

- Szkoda, że nie zwróciła się do nas.

- Rozmawiając z nią nadmieniłem, że mogę ją skontaktować z kimś z milicji.

Jednakże, przyznaję, nie traktowałem poważnie tej kartki. Uważałem, że ktoś znający Niemirowska najzwyczajniej w świecie pozwolił sobie na głupi dowcip. Mógł to zrobić nawet jeden z tych przestępców, jeżeli rzeczywiście już ich zwolniono z więzienia. Ale od napisania paru słów do zabójstwa jeszcze daleka droga.

- Poszłaka bardzo wąta, spróbuję jednak zająć się nią.

- Zawsze pan major może liczyć na moją pomoc.

- A ten spadek? Już prędzej widziałbym kogoś, kto chce pozbyć się jednego ze spadkobierców dużego spadku.

- Muszę majora rozczarować. To spadek po ciotce staruszce. Składa się on z domu, a raczej rozwalającej się rudery w Siedlcach i paru placów. W sumie nie przedstawia to większej wartości niż maksymalnie trzysta tysięcy złotych.

Komplikacje wynikały po prostu z faktu dużych zaniedbań prawnych. Ciotka pani

Niemirowskiej była właścicielką tych placów razem z mężem, który zginął w czasie okupacji. Wtedy nie zrobiono postępowania spadkowego. Teraz trzeba było to naprawiać. Poza tym brat pani Krystyny mieszka w Stanach Zjednoczonych, a on także ma swój udział w spadku. To wszystko skomplikowało sprawę i przeciągnęło ją aż na kilka lat.

- No tak, dla takiej sumy nikt nie będzie mordował.
- Tym bardziej że ten, kto by skorzystał z tej śmierci, przebywa w Ameryce.
- A więc - zapytał major - jakie wnioski mecenasa?
- Tylu ludzi rokrocznie topi się w czasie sezonu. Po prostu jeden wypadek więcej.
- A jednak w tym coś musi być. Widziałem ją, jak pływała. Nie mogła się utopić.

## **Rozdział IV**

### **Gdzie jest dowód osobisty?**

- Na kiego grzyba potrzebne wam są akta tej topielicy? - dziwił się major Rochacz w Szczecinie, zresztą stary znajomy Janusza Kaczanowskiego.
- Babka należała do naszej parafii. Chcemy sprawdzić, czy wszystko OK.
- Nic tam nie znajdziesz. Notatka kierownika posterunku MO w Międzyzdrojach z zawiadomieniem o zniknięciu Krystyny Niemirowskiej, druga notatka o zarządzonych poszukiwaniach i o znalezieniu ubrania. Spis rzeczy oraz protokół z poszukiwania zwłok. Prokurator wobec całkowicie jasnej sprawy wydał decyzję umorzenia śledztwa. Gmina wystawiła akt zgonu.
- Chciałbym jednak te dokumenty zobaczyć na własne oczy - upierał się Kaczanowski.

Rochacz polecił przynieść teczkę w tekturowej obwolucie. Było w niej zaledwie kilka papierków.

- Masz, niewierny Tomasz - szczeciniak podsunął akta koledze.

Major przeglądał kartki. Pierwsza z nich to, krótka notatka kierownika posterunku MO w Międzyzdrojach. O godzinie szesnastej minut czternaście osobiście przyjął telefon obywatelki Janiny Markowskiej, kierowniczką domu wypoczynkowego „Złocień”, że jedna z wczasowiczek, Krystyna Niemirowska, wyszła z domu o godzinie dziesiątej rano mówiąc, że idzie kąpać się i do tej por# nie wróciła do pensjonatu.

Starszy sierżant, Mikołaj Galbarczyk, zaznaczył w swojej notatce, że tego dnia morze było bardzo wzburzone i ratownicy wywiesili na maszcie czarną chorągiew, bezwzględny zakaz kąpiel. Było chłodno, parę razy w Międzyzdrojach padało i ludzi na plaży nie było. Ratownicy dyżurowali do godziny dwunastej i nie zauważyli nikogo kąpiącego się. Potem, wobec stale pogarszającej się pogody, dyżur na plaży został zwinięty.

Kierownik posterunku wysłał dwóch milicjantów, aby przeszli się wzdłuż plaży w jedną i drugą stronę, zaczynając od mola. Obaj milicjanci wrócili z obchodu. Nikogo i niczego nie zauważyli. W czasie badania plaży cały czas padał deszcz.

- Nie bardzo się ten sierżant wysilił w poszukiwaniach - zauważył Kaczanowski.

- Co ty chcesz? - oburzył się major Rochacz. - W Międzyzdrojach w ogóle jest pięciu ludzi na posterunku. A wczasowiczów przeszło dwadzieścia tysięcy. Nie myśl, że milicjanci siedzą z założonymi rękoma. To, że zdołał wysłać na poszukiwania dwóch swoich podkomendnych, najlepiej dowodzi, że nie zlekceważył meldunku. A przecież tam na porządku dziennym zdarza się, że jakaś babka ginie i odnajduje się po dwóch, trzech dniach w innym pensjonacie i w innym łóżku albo nawet w Szczecinie. Nie przywiązywali do takiego meldunku większego znaczenia. Nieraz zarządzano pełny alarm, mobilizowano statki ratunkowe i kutry rybackie dla poszukiwania zwłok, a po paru dniach delikwent zjawiał się z niewinną miną i oświadczał, że wybrał się na małą wycieczkę z

45 przyjaciółmi. Galbarczyk miał prawo przypuszczać, że tak się stało i tym razem. Zwłaszcza że wtedy w Międzyzdrojach panowała pogoda, iż psa na plażę by nie wygnał.

- Może i masz rację - zgodził się Kaczanowski i wrócił do studiowania zapisków starszego sierżanta.

Galbarczyk meldował, że kiedy następnego ranka Krystyna Niemirowska nie zjawiała się w „Złocieniu”, nakazał ponowne przeszukanie plaży, mobilizując do pomocy ratowników, członków ORMO i harcerzy biwakujących w pobliskim obozie. Tym razem poszukiwania przyniosły rezultat. Dwaj harcerze: Jan Gałązka i Henryk Lipień znaleźli na wydmach koło plaży, w odległości mniej więcej trzech kilometrów od mola w Międzyzdrojach, zawiniątko z damską odzieżą. Sierżant Galbarczyk wykonał szkic terenu i zaznaczył, gdzie leżało ubranie.

Ze znalezionych w damskiej torebce zapisków i dokumentów nie ulegało

wątpliwości, że ubranie należało do Krystyny Niemirowskiej. Potwierdzili to zresztą i pracownicy domu wczasowego „Złocień”. Spis wyliczał dokładnie: damska torebka koloru brązowego, pantofle brązowe, płaszcz przeciwdeszczowy z folii, duża torba plażowa niebieska w kwiaty, sukienka brązowa i duży włochaty ręcznik kąpielowy. W torebce znaleziono list adresowany do Krystyny Niemirowskiej, nadany z Warszawy przez Stanisława Niemirowskiego, kartę biblioteki w Międzyzdrojach na nazwisko Krystyny Niemirowskiej, chusteczkę do nosa, puderniczkę, dwie pomadki do ust, długopis, portmonetkę z bilonem, razem czterdzieści sześć złotych, siedemdziesiąt groszy, portfel skórzany brązowy zawierający banknoty o łącznej wartości siedemset dwadzieścia złotych. Poza tym znajdowała się tam paczka papierosów Carmen oraz zapalniczka gazowa. W małym woreczku celofanowym trochę waty i papieru toaletowego.

- Nie widzę tutaj bielizny osobistej - zauważył Kaczanowski. - Przecież musiała mieć majtki i biustonosz.

- Nie czepiaj się, stary. Wyszła z domu, żeby się wykapać. Miała więc na sobie kostium kąpielowy, na który włożyła sukienkę.

- Wtedy było zimno. Niezbyt odpowiedni czas, aby wracać do pensjonatu w mokrym kostiumie. Szła na dziką plażę i w krzakach mogła spokojnie się przebrać.

- Równie dobrze mogłaby tam ściągnąć kostium kąpielowy, wytrzeć się ręcznikiem i włożyć sukienkę na gołe ciało. Do „Złocienia” od tego miejsca jest nie więcej niż dwa kilometry. A ty, widzę, szukasz dziury w całym.

Kaczanowski nadal czytał akta. Starszy sierżant po znalezieniu rzeczy zaginionej polecił natychmiast zawiadomić o wypadku męża Niemirowskiej i zarządził poszukiwanie ciała. Przez trzy dni kutry rybackie bezskutecznie zarzucały sieci. Zwłok nie znaleziono.

W dokumentach znajdował się także obszerny spis przedmiotów znalezionych w pokoju Krystyny Niemirowskiej. Bielizna, sukienki, sweterki, różne damskie fatałaszki, a także spora ilość pieniędzy, bo przeszło trzy tysiące złotych. Spis sporządzono w obecności kierowniczkę pensjonatu. Pod spisem było pokwitowanie Stanisława Niemirowskiego, któremu wydano garderobę zmarłej, jak również rzeczy znalezione na plaży. Poza tym tylko adnotacja o wystawieniu świadectwa zgonu Niemirowskiej - i wręczeniu go mężowi - z zaznaczeniem, że zwłok nie odnaleziono, oraz decyzja prokuratora umarzająca śledztwo.

- Jednego nie mogę zrozumieć - zauważył major Kaczanowski. - Osiem

kutrów rybackich i statek ratowniczy ze Świnoujścia trałowało morze, a ciała nie znaleziono.

- Mówisz jak laik, który nie zna Bałtyku - oburzył się major Rochacz. - Wtedy wiał silny wschodni wiatr. Przez kilka dni. W takiej sytuacji powstaje wzdłuż brzegu prąd w kierunku zachodnim. Porwał zwłoki i zaniósł je daleko na zachód. Gdzieś pod wyspę Uznam czy Rugię albo jeszcze dalej.

- Powinniście więc zbadać, czy tam nie wyrzuciło ciała.

- Dziękuję za dobre rady - Rochacz był coraz bardziej wściekły na przyjaciela.

- Po raz pierwszy mamy do czynienia z takim wypadkiem i zupełnie nie wiedzieliśmy, jak się zachować! To masz na myśli, prawda? Naturalnie, że natychmiast porozumieliśmy się z milicją i służbą graniczną Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Daliśmy znać i policji RFN, a także władzom duńskim.

- I co?

- I nic. Mamy od nich cotygodniowe meldunki, że na zachodnim brzegu Bałtyku nie znaleziono żadnych zwłok. Ale to także nic dziwnego. Czy ty wiesz, ile wraków leży na przybrzeżnych wodach? Jakie tam są zawirowania i wędrujące ławice piasku? Często Bałtyk wcale nie wydaje swoich ofiar.

Major Kaczanowski powrócił do studiowania spisu przedmiotów znalezionych na plaży i tych, które następnie spisano jako znajdujące się w pokoju Niemirowskiej.

- Ale wytłumacz mi - zwrócił się do przyjaciela - dlaczego nigdzie nie widzę wzmianki o dowodzie osobistym zaginionej?

- Jak to? - zawołał Rochacz. - Nie ma?

- Sam obejrzyj. Spis zrobiono bardzo dokładnie. Nie pominięto w nim nawet tak drobnego szczegółu, jak dwa pudełka zapalek leżących na nocnym stoliku w pensjonacie. I nagle zapomniano o tak ważnym dokumencie, jakim jest dowód osobisty. Czy to nie jest dziwne?

Oficer Komendy Wojewódzkiej w Szczecinie przejrzał podane mu przez Kaczanowskiego spisy.

- Rzeczywiście, tutaj nie ma wzmianki o dowodzie osobistym. Może Niemirowska w ogóle nie wzięła go ze sobą?

- Chyba żartujesz? Kobieta jedzie do miejscowości położonej tuż nad granicą i nie bierze ze sobą dowodu osobistego? A jak ją w takim razie zameldowali? Już nie mówiąc o tym, że nie wyobrażam sobie, aby jakiś wczasowicz bawiący w

Międzyzdrojach nie wybrał się choć na parę godzin do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Przecież na tę wycieczkę potrzebny jest właśnie tylko dowód osobisty z odpowiednim stemplem.

- Ostatecznie mogli ją zameldować na podstawie legitymacji służbowej.

- Nie miała żadnej legitymacji służbowej, była chałupniczką wykonującą prace dla Cepelii. Zresztą w spisie rzeczy nie ma żadnej wzmianki o jakiegokolwiek legitymacji poza kartą biblioteczną. Na podstawie takiego dokumentu, myślę, nawet w Międzyzdrojach nikogo nie zameldują.

- Dziękuję ci za to „nawet w Międzyzdrojach”. Sądziś więc, że Niemirowska zamordowana dla zrabowania dowodu osobistego albo też dowód ten skradziono po tragicznym wypadku? Przecież złodziej wziąłby także pieniądze.

- Nic nie sądzę. Stwierdzam brak dowodu, a także zegarka. Sam widziałem na ręku Niemirowskiej mały zgrabny zegareczek. Złoty albo przynajmniej złoty. Chciałbym, żeby ta sprawa została wyjaśniona. To wy prowadziliście dochodzenie?

- Posterunek MO w Międzyzdrojach.

- Podległy służbowo Komendzie Powiatowej w Wolinie i Komendzie Wojewódzkiej w Szczecinie. Dziwiłeś się, że chcę przejrzeć akta sprawy. A jednak miałem nosa. Są w niej niejasności i zaniedbania. Nie mogę mieć pretensji do kierownika posterunku w Międzyzdrojach. Zrobił to, co do niego należało. Ale wyższe szczeble nie najpiękniej się spisały, bo nie zwróciły uwagi na te niedociągnięcia.

-: Myślisz, że mamy czas dokładnie studiować tak proste sprawy, jak te, że ktoś się utopił? Może u was, w stolicy, jest w komendzie tylu ludzi, że stać was na taką zabawę.

- Czasem z zabawy robią się bardzo poważne sprawy. Choćby i teraz. Pozornie prosty wypadek, a zjawily się niejasności, które jeśli nie podważają hipotezy o utonięciu w czasie sztormu, to w każdym razie rzucają na nią poważny cień.

- Jaki? - major Rochacz rozzłościł się nie na żarty. - Nie wiem - przyznał szczerze Kaczanowski. - Może będę wiedział, kiedy mi wytłumaczysz ten brak zegarka i dowodu osobistego.

- Zegarek mógł ktoś ukraść z pokoju Niemirowskiej, kiedy już rozeszła się pogłoska o jej utopieniu się. Choćby pokojówka. Kto idzie się kąpać, nie bierze ze sobą zegarka.

- To może być prawdą - przyznał warszawianin. - Ale wątpię, żeby ukradła

pokojówka czy ktoś inny ze służby w pensjonacie. A poza tym widziałem panią Niemirowska dwa razy w życiu. Raz na dansingu, a drugi raz właśnie na plaży. Zawsze zegarek znajdował się na jej opalanej ręce. Czy i dowód też ukradli? A dlaczego kradnąc zegarek nie wzięli z tego samego pokoju przeszło trzech tysięcy złotych?

- Może osoba dokonująca spisu rzeczy przez pomyłkę pominęła dowód osobisty?

- I zegarek - zakpił Kaczanowski. - Dziwne przeoczenie funkcjonariusza milicji.

Zamiast odpowiedzi major Rochacz ujął słuchawkę telefoniczną i poprosił o jak najszybsze połączenie go z posterunkiem milicji w Międzyzdrojach. Miał szczęście, bo rozmowę otrzymał prawie natychmiast, a kierownik posterunku był w swoim biurze.

- Słuchajcie, sierżancie - zapytał Rochacz - kto robił spis rzeczy tej topielicy? Niemirowskiej?

- Melduję obywatelu majorze, że ja osobiście.

- A kto pisał na maszynie?

- Tak samo ja. Nie mamy maszynistki. Jak trzeba coś wystukać, sam to robię.

- Pamiętacie, czy w waszych notatkach nie było zegarka i dowodu osobistego? Może zapomnieliście to włączyć do spisu?

- Na pewno, obywatelu majorze, nie było ani zegarka, ani dowodu osobistego. Ta kobieta mogła mieć zegarek wodoszczelny albo zapomniała go zdjąć z ręki wchodząc do morza. U nas w Międzyzdrojach, w czasie sezonu, aż trzech zegarmistrzów tylko właśnie takie wykąpane zegarki naprawia. Bardzo sobie chwałą - meldował starszy sierżant.

- A czy ona miała w ogóle dowód osobisty?

- Musiała mieć - stwierdził sierżant. - Przecież by jej nie zameldowali. Jeżeli obywatel major chciałby wiedzieć, sprawdzę numer i serię tego dowodu. Przedzwoniłbym za pół godziny.

- Dobrze! - ucieszył się Rochacz. - Sprawdźcie, a także poszukajcie, może ten dowód jest u kierownika domu wczasowego „Złocięń” lub służba znalazła go później, już po wypadku? Na przykład przy sprzątanii pokoju:

Za godzinę posterunek MO w Międzyzdrojach zgłosił się telefonicznie do Komendy Wojewódzkiej. Kierownik posterunku zameldował, że Krystyna

Niemirska miała dowód osobisty serii „AP”. Wystawiony przez KM MO w Warszawie i tego dowodu w „Złocieniu” nie znaleziono.

Major Rochacz podziękował starszemu sierżantowi, położył słuchawkę na widełki, ale nie miał zadowolonej miny.

- Psiakrew! - zaklął. - Zabiłeś nam klina tym zegarkiem i dowodem osobistym.

- Zegarek to pół biedy - pocieszył go Kaczanowski, - jego brak można tłumaczyć rozmaicie. Choćby tak jak ty czy tak jak to zrobił kierownik posterunku. Ale dowód, sam przyznasz, sprawa poważniejsza.

- Czy naprawdę sądzisz, że to nie wypadek, lecz zbrodnia?

- Podejrzewam to - poważnie odparł major Kaczanowski. - Podejrzewałem zresztą od samego początku, od momentu kiedy przeczytałem w prasie krótką wzmiankę o utonięciu Niemirskiej. Sam dobrze pływać, był czas, kiedy trochę trenowałem ten sport, znam się na tym. Wierzaj mi, dziewczyna, która tak pływała jak ta babka, nie mogła się utopić jedynie dlatego, że fala była trochę większa niż zwykle.

- Wtedy fala naprawdę była duża. Mamy komunikat meteorologiczny.

- Pływak oswojony z wodą i umiejący pływać w morzu albo w ogóle nie wejdzie do wody, albo się w niej nie utopi, jeśli uzna, że może się jednak kąpać. Nie mów mi o kurczu, o ewentualnym ataku serca i tym podobnych „siłach wyższych”. Widziałem tę kobietę w wodzie i nikt mnie nie przekona, że mogła utonąć tuż przy brzegu. Wtedy, jak sam powiedziałaś, wiał wschodni wiatr. Przy nawet minimalnym wysiłku pływaka takie prądy zawsze wyrzucą go na brzeg.

- Mogła ją fala podciąć, zachłusnęła się wodą i straciła przytomność.

- To mogło spotkać każdego innego, ale nie tak doświadczoną pływaczkę.

- Więc sądzisz, że ją zamordowano dla zdobycia dowodu osobistego?

- Powiedziałem ci, że ja nic nie sądzę. Po prostu ta historia wydaje mi się coraz bardziej niejasna.

- Chcesz, żebyśmy wznowili dochodzenie i szukali tego przeklętego dowodu osobistego?

- Nie - zaprzeczył Kaczanowski. - To nie ma najmniejszego sensu. Nic nie znajdziecie. Dowód osobisty, jeżeli jego zdobycie nie było głównym motywem zbrodni, dawno został zniszczony. Jeśli to dla niego zamordowano tę kobietę, ani mordercy, ani tej zielonej książeczki nie ma teraz w Międzyzdrojach, nie ma na terenie całego województwa szczecińskiego. Zbrodniarzy i powodów zbrodni,



zakładając, że mamy do czynienia ze zbrodnią, należy szukać gdzie indziej. Będę to robił.

- Jeżeli chcesz, to dam ci te akta. Przyślesz mi później z Warszawy formalne zawiadomienie, że przejmujecie sprawę w swoje ręce.

Kaczanowski chwilę się zastanawiał.

- Te papierki na nic mi się nie zdadzą. Byłyby potrzebne, gdyby odnaleziono zwłoki. Przypuszczam jednak, że do tego nigdy nie dojdzie. Naturalnie ciągle zakładając, że to jest zbrodnia, a nie tragiczny wypadek.

- Z morzem nigdy nic nie wiadomo - major Rochacz wołał być ostrożny w formułowaniu sądów. - Zdarza się, że; Bałtyk wyrzuca ciało nawet po kilku miesiącach.

- Jeśli Krystynę Niemirowska zamordowano, to na pewno nie spoczywa na dnie Bałtyku.

- Skąd ta pewność?

- Sam się zastanów. W czasie sztormu na pustej plaży zamordowałeś kogoś. Co zrobisz ze zwłokami? Wrzucisz je do morza? Fala dochodząca do dwóch metrów nie ułatwi ci zadania.

- Rzeczywiście, masz rację. Raczej odciągnąłbym ciało gdzieś na wydmy i tam bym je zakopał. Jeżeli chcesz, zarządzę ponowne poszukiwania już pod tym kątem widzenia.

- Nie widzę żadnych szans. Łatwiej chyba znaleźć igłę w stogu siana. Plaża ciągnie się aż do Dziwnowa. Przestępca wcale nie musiał zakopywać zwłok na wydmach. Obok jest las i szosa. A może miał samochód i odjechał z dziesięć kilometrów dalej i tam w gęstym lesie porzucił lub ukrył zwłoki? Trzeba znaleźć motyw zbrodni, odszukać mordercę, a wtedy wszystko inne stanie się jasne. Gdzie podział się zegarek i dowód osobisty i gdzie pochowano Niemirowska.

- To prawda. A masz te motywy?

- W ogóle nie wiem jeszcze, czy to morderstwo, czy wypadek. Szukam po omacku. Od was dowiedziałem się ważnego szczegółu o dowodzie osobistym. Może także w Szczecinie dowiem się od pewnej młodej osoby czegoś więcej o zaginionej. Na razie za wszystko musi mi wystarczyć mój nos. Nieładnie mi pachnie ta sprawa - tymi słowami Janusz Kaczanowski pożegnał swojego szczecińskiego kolegę i prosto z Komendy Wojewódzkiej MO udał się na ulicę Krzywoustego, aby odszukać pewien samoobsługowy sklep spożywczy. Zaopatrzony w koszyczek, przekroczył barierkę i

od razu spotkał dawną pokojówkę ze „Złocienia”.

- Pan naprawdę przyjechał do Szczecina - ucieszyła się dziewczyna.

- Jak pani widzi. W Międzyzdrojach dostałem kosza, może tutaj mi się lepiej poszczęści.

- Może... - w głosie brzmiała zachęta.

- Do której pani musi tu sterczeć?

- Dzisiaj aż do siódmej wieczorem.

- A więc przyjdę o siódmej. Pójdziemy do „Kaskady”? Albo do „Orbisu”?

- To już wolę do „Orbisu”. Do „Kaskady” chodzą marynarze i same...

- Będę o siódmej przed sklepem.

- Nie! - zaprotestowała dziewczyna. - Niech pan na mnie czeka o ósmej wieczorem przed Bramą Portową. Do hotelu „Orbisu” stamtąd parę kroków. Wie pan, gdzie to jest?

- Naturalnie.

- A więc o ósmej - dziewczyna chciała, aby ten przystojny mężczyzna jak najszybciej wyszedł ze sklepu. Już i tak koleżanki ciekawie zerkały na Krysie, a pani kierowniczką siedząca przy kasie także zainteresowała się tą wizytą. Major zorientował się w sytuacji, skłonił się i szybko opuścił „Sam”.

Dziewczyna spóźniła się zaledwie dziesięć minut, to jest akurat tyle, ile wypada spóźnić się kobiecie na randkę. Żeby mężczyzna wiedział, że nie leci na niego, ale jednak trochę jej na nim zależy.

W restauracji szczęśliwie znalazł się wolny stolik, Kaczanowski zadysponował menu. Zauważył, że jego partnerka skorzystała z tej godziny pomiędzy zamknięciem sklepu a randką, aby się przebrać i poprawić fryzurę. Miała teraz jakąś ciemną, gustowną sukienkę. Umalowana była dyskretnie. Z przyjemnością Janusz stwierdził, że z panną Krystyną Cegiełek można się pokazać w każdym lokalu. Była naprawdę przystojna, więc majorowi humor zdecydowanie się poprawił.

Na razie dziewczyny o nic nie wypytywał. Opowiadał za to dużo o swoim wyjeździe na Mazury, włączędze kajakiem po jeziorach i sukcesach wędkarskich. To ostatnie było wierutną błągą, bo Kaczanowski trzymał wędkę kilka razy w życiu i poza jakąś skromną ukleją niczego więcej nie złowił. Kelner przyniósł zakąski, napełnił kieliszki, dopiero wtedy major skierował rozmowę na interesujący go temat.

- A jak tam pani pracowało się w „Złocieniu”? Czy pogoda do końca sezonu dopisała? Bo na Mazurach było pięknie. To zresztą widać po mojej opaleniznie -

blagował major. - Za to pani bledziutka. Było się nad morzem i plaży się nie, widziało

- Dobrze mi tak - stwierdziła dziewczyna. - Połakomiłam się na parę groszy dodatkowego zarobku. A mogłam przecież jechać na wczasy. Również nad morze, do Łeby. Naharowałam się, że ręce urobiłam po łokcie.

A z zarobkami nie wyszło najlepiej. Już nigdy tak nie zmarnuję swojego urlopu. Przecież jeszcze dwa miesiące bezpłatnego wzięłam. Powiem panu, wyszłam na tym jak Zabłocki na mydle. A co się przykrości najadłam? Nawet milicja mnie przesłuchiwała.

- Co pani powie? - obłudnie zdziwił się Kaczanowski.

- A żeby pan wiedział. Wszystko przez tę Niemirowską.

- Jaką Niemirowską?

- No tę blondynkę, co się tak panu podobała. Kwiaty to znosił, a teraz udaje, że jej nie zna. Wszyscy mężczyźni są jednakowi.

- Zupełnie mi wyleciało z pamięci. Przecież kiedy przyniosłem te goździki, pamiętałem jedynie, że ma na imię Krystyna. Nazwisko sama pani mi powiedziała. Zresztą nie mam pamięci do nazwisk. To co, ta Niemirowska okazała się złodziejką?

- Gorzej! Utopiła się.

- Co pani powie? - Janusz udając zdumienie odstawił trzymany w ręku kieliszek.

- Utopiła się w parę dni po tym, jak pan przyniósł te kwiaty. Jakby ją kara spotkała, że wtedy nie zaczekała na pana.

- Panno Krysiu, pani żartuje - Kaczanowskiemu nie w smak były słowa dziewczyny. Widocznie cały świat uparł się łączyć śmierć Niemirowskiej z osobą oficera milicji. - Raz w życiu ją widziałem i zaraz miałaby ją za to kara spotkać?

- Poszła się kąpać i więcej nie wróciła. Panowie, z którymi siedziała przy stole, kiedy jej zabrakło przy obiedzie, zrobili raban. Kierowniczka odczekała jeszcze zedwie godziny i zaalarmowała milicję. Szukali ciała, ale na plaży znaleźli tylko ubranie. Wtedy była zła pogoda. Morze już poprzedniej nocy tak huczało, że nie mogłam zmrużyć oka.

- Przecież ona mi opowiadała, że doskonale pływa. Chwaliła się, że zdobywała za to nagrody.

- Wszyscy w „Złocieniu” dziwili się, że taka pływaczka mogła się utopić. Ale wtedy fale miały chyba ze trzy metry. Cała plaża aż do wydm była zalewana. Przy takiej pogodzie - powiedziała z przekonaniem dziewczyna - najlepszy pływak pójdzie

pod wodę.

Major nie dyskutował na ten temat z panną Krysią. Grając rolę nie wtajemniczonego, zapytał:

- Ona się utopiła, to dlaczego panią milicja przesłuchiwała?

- Bo podobno ja byłam ostatnią osobą, która rozmawiała z panią Niemirowską.

- Była pani z nią na plaży?

- Pogoda była okropna. Najgorsza, jaką sobie mogą wyobrazić pracownicy pensjonatu. Trzeba szybko sprzątać pokoje, a goście snują się jak błędni po całym domu albo po prostu nie wstają z łóżek. A potem pretensje, że do obiadu pokój nie sprzątnięty. Wzięłam się za froterowanie salonu i holu. A wtedy zjawiła się pani Niemirowska z wielką torbą plażową w ręku. Pozdrowiła mnie i mówi, że idzie się kąpać. No to ja, że zimna woda, fala zalewa plażę i zaraz będzie deszcz. A ona się roześmiała, że po wejściu do morza żaden deszcz nie jest straszny. Powiedziałam jeszcze, że na maszcie wisi czarna chorągiew, to znaczy, że kąpać się nie wolno. A ona „to pójdę na dziką plażę w stronę Wisielki, tam mi nikt nie zabroni”. Tak ją ostrzegałam, jak gdybym coś przeczuwała.

- I poszła mimo wszystko. Po własną śmierć. Nigdy nie wiadomo, co człowiekowi sądzone.

- Ma pan rację. To było jej sądzone. Kiedy tak rozmawialiśmy, nadszedł inżynier Rudnicki. Taki łysy. Na pewno musiał go pan zauważyć, bo on się stale koło tej babki kręcił. Bardzo mu przypadła do gustu. Ale chyba nic u niej nie zarobił, w ogóle pani Niemirowska była wesola, ale mężczyzn trzymała z daleka od swojego pokoju. Kiedy ten inżynier zobaczył ją ubraną do wyjścia, od razu z propozycjami: „Pani Krysienka sama? Może pójdziemy razem?” A ona: „Bardzo chętnie, panie Wiktorze, ale po obiedzie. Teraz mam parę babskich sprawunków do załatwienia”. Machnęła mu ręką na pożegnanie i już jej nie było.

- Jak to? - major poruszył się na krześle. - Pani powiedziała, że idzie na plażę kąpać się, a temu Rudzińskiemu nie przyznała się do tego?

- Właśnie. Przecież gdyby mu nie skłamała, poszedłby z nią i nie doszłoby do - nieszczęścia. A potem, kiedy znaleźli jej rzeczy, przyszła milicja. Przesłuchiwano nas wszystkich, a jej pokój rewidowano.

- Czego mogli szukać?

- Niczego nie szukali. Wypytywali mnie, jak była ubrana pani Niemirowska,

kiedy wychodziła z domu. Kazali mi poznawać, czy sukienka i płaszcz znalezione na plaży rzeczywiście należą do niej. Spisali te rzeczy, które znajdowały się w pokoju, a później je spakowałam. Z Warszawy przyjechał mąż pani Niemirowskiej i zabrał te dwie walizki. Bardzo go żałowałam. Taki miły, przystojny pan. Nie płakał, ale widać było, że zrozpaczony. Całe cztery dni siedział na posterunku milicji. Rybakom obiecywał dziesięć tysięcy złotych za odnalezienie ciała.

- Znaleźli?

- Gdzie tam! Kilka łodzi rybackich od rana do wieczora zarzucało sieci.

Przypłynął także statek ratunkowy ze Świnoujścia i ciągnął trał. Ale morze często nie wydaje swoich ofiar. Co roku w Międzyzdrojach kilka osób się topi. Jeżeli ratownicy natychmiast nie wyciągną ofiary z wody, później już jej nie znajdują.

- To i tak szczęście w nieszczęściu, że znaleźli te rzeczy na plaży. Przecież mógł je ktoś ukraść i nie wiadomo by, co się z Niemirowską stało.

- Zimno było, nikt po wydmach nie chodził, to i nie znalazł.

- Pewnie ona nie chciała, żeby jej ten inżynier towarzyszył, bo w taką pogodę szkoda moczyć kostium kąpielowy, a można się kąpać bez niego.

- Ee, pani Niemirowska na pewno nie kąpała się na golasa. To była bardzo elegancka pani. Wyszła z domu z dobrze wyładowaną torbą plażową. Musiała tam mieć kostium.

- Czy w pokoju znaleźliście wtedy kostium kąpielowy? - Kaczanowski zapomniał o konieczności zachowania ostrożności i zadawał dziewczynie pytania, jak gdyby ją przesłuchiwał. Ale panna Kryśka, przejęta dramatem Niemirowskiej, nie zastanawiała się nad przyczyną dociekliwości swojego znajomego.

- Naturalnie - odpowiedziała. - Aż dwa kostiumy. Pani Niemirowska miała dużo eleganckich rzeczy. Sukienki, sweterki, piękną bieliznę. W życiu takiej nie widziałam. Mówiła, że mąż jeździ za granicę i jej przywozi. I na co jej to wszystko teraz - zakończyła filozoficznie dziewczyna. - Leży w piasku, na dnie Bałtyku.

- Nie mówmy o tej tragicznej historii - Kaczanowski zmienił temat. - Dobrą orkiestrę tu mają. Pani lubi tańczyć?

- Bardzo.

- To dlaczego siedzimy i tracimy czas? - major poderwał się z miejsca.

I on lubił tańczyć, dziewczyna była ładna i zgrabna, a także okazała się dobrą tancerką.

Reszta wieczoru obojgu upłynęła przyjemnie. Oficer milicji już nie wracał w

rozmowie do nieszczęśliwego wypadku w Międzyzdrojach. Wiedział, że niczego więcej się nie dowie i całkowicie poświęcił się flirtowi z przystojną szczecinianką. Ale około jedenastej dziewczyna oświadczyła:

- Muszę wracać do domu. Mieszkam z koleżanką. Nie lubi, kiedy ją budzę zbyt późnym powrotem. A mieszkam dość daleko, na Pogodnem.

- Mieszkam tutaj i mam w pokoju dwa wygodne łóżka.

- Nie, nie - protestowała. - Za kogo pan mnie bierze?

- Ależ panno Krysiu! Ja po koleżeńsku proponuję: po co przerywać zabawę i tłuc się gdzieś na drugi koniec miasta?

- Nie, nie...

Janusz zrezygnował z dalszych namów. Skinął na kelnera i poprosił o rachunek. Kiedy już szli do szatni, ponownie spróbował.

- A może?

- Nie - tym razem dziewczyna protestowała znacznie słabiej. - Za mało się znamy. Drugi raz się widzimy. Może jutro...

Tak się złożyło, że sprawa waluciarzy, która była głównym powodem przyjazdu oficera do Szczecina, okazała się nie tak prosta, jak to się początkowo zdawało. Janusz Kaczanowski musiał więc zostać w mieście nad Odrą jeszcze kilka dni.

## **Rozdział V**

### **Mecenas contra oficer MO**

Po powrocie ze Szczecina major Janusz Kaczanowski zameldował się u swojego zwierzchnika, pułkownika Adama Niemirocha. Zdał szefowi sprawozdanie z wyników dochodzenia w sprawie morderstwa waluciarza warszawskiego, co było głównym celem wyjazdu oficera milicji nad Odrę, a wtedy „stary” zapytał:

- Jak tam twoja topielica? Ta z fotografii. Już ci przeszło? Dowiedziałeś się szczegółów wypadku?

- Nic mi nie przeszło. Zebrałem trochę informacji zarówno tutaj, jak i w Szczecinie i nadal twierdzę, że sprawa jest tajemnicza. W tej sytuacji głupie gadanie kapitana Jagodowicza o pechowym zdjęciu mniej mnie teraz obchodzi. Jestem mu nawet wdzięczny za to. Bo, moim zdaniem, w tej historii jest wiele niejasności i nie wszystko jest takie proste, jak wynika z meldunku posterunku MO w Międzyzdrojach, że to tylko zwykły wypadek nad morzem, które pochłonęło następną

ofiare - i Kaczanowski powtórzył szefowi rozmowę z mecenasem Mieczysławem Ruszyńskim oraz wiadomości przywiezione ze Szczecina.

Pułkownik zastanowił się.

- Rzeczywiście - przyznał po chwili. - Masz zgryza. Wszystkie poszlaki, którymi dysponujesz, wprawdzie podważają prawdziwość nieszczęśliwego wypadku w Międzyzdrojach, ale nie odpowiadają na główne pytanie: komu i w jakim celu potrzebny był dowód Niemirowskiej? I to tak bardzo potrzebny, że nie cofnięto się przed dokonaniem zbrodni.

- Tak - przytaknął Janusz. - Ta poszlaka jest moją najsilniejszą bronią, a jednocześnie najbardziej bodaj absurdalną. Toteż jeżeli na plaży w Międzyzdrojach naprawdę popełniono zbrodnię, na pewno nie chodziło o ten nieszczęsny dowód. Zginął, bo morderca sądził, że może on stanowić dokument obciążający zabójcę.

- Ale w jaki sposób? Przecież dane personalne Krystyny Niemirowskiej możemy bez najmniejszego trudu otrzymać w Biurze Dowodów Osobistych. Odtworzenie tej zielonej książeczki zgodnie z oryginałem nie stanowi najmniejszego problemu. O tym każdy wie. Po co więc połączono się na ten dowód osobisty?

- Dane personalne Krystyny Niemirowskiej zebrałem jeszcze przed wyjazdem do Szczecina. Nie ma tam żadnych tajemnic czy też niejasności. Urodzona pod Myszyńcem w jednej z kurpiowskich wiosek. Ojciec miał dość spore gospodarstwo rolne. Ale w myszyńskim ziemia licha. Piaski, kwaśne łąki i brzoźowe laski. Pomimo to w pewnym okresie starego Piotra Klamę uważano za „kułaka”, co zmarnowało całą gospodarkę. Krystyna Klamówna ma dwóch braci. Starszy nie wrócił po wojnie do kraju. Osiedlił się w Stanach Zjednoczonych, gdzieś w Kalifornii. Nie powodzi mu się zbyt dobrze. Jest robotnikiem w warsztacie samochodowym. Drugi brat, Czesław Klama, skończył szkołę przysposobienia rolniczego, przejął po ojcu ziemię i nastawiając się na wypas młodego bydła rzeźnego, postawił gospodarstwo na nogi.

Obecnie uchodzi za przodującego rolnika w całym powiecie. Nazywają go „kowbojem”, bo na wiosnę skupuje cielaki i wypasa je do późnej jesieni na swoich łąkach. Tego bydła pilnuje wraz z dwoma synami, najczęściej na koniach. Stąd to przyzwisko. Czesław Klama jest zamożny. Wybudował nowy dom, a właściwie nowoczesną willę kompletnie skanalizowaną. Ma samochód osobowy i ciężarówkę, przystosowaną do transportu zwierząt. Kiedy umarła w Siedlcach jego ciotka, zrzekł się spadku na rzecz pozostałego rodzeństwa. To chyba najlepiej świadczy o jego

zamożności, i o tym, że nie był zainteresowany materialnie śmiercią siostry. Zresztą, sprawdziłem i to, ma niepodważalne alibi na dzień dwudziestego ósmego sierpnia, datę rzekomego utonięcia Krystyny. - A Niemirowska?

- Dziewczynę po ukończeniu miejscowej szkoły pod - - stawowej zabrała do Siedlec jej ciotka. Wdowa po rzeźniku, zajmująca się krawiectwem. Chciała przyuczyć siostrzenicę do tego fachu. W Siedlcach Klamówna skończyła liceum handlowe, lecz ani nie chciała wracać do rodzinnej wioski, ani zarabiać igłą na swoje utrzymanie. Została ekspedientką w sklepie spożywczym w pobliskim Sokołowie. Tam też zachowała się bohatersko podczas napadu na sklep i przyczyniła się do ujęcia bandytów oraz do zlikwidowania całej bandy „Starego Macieja”. Otrzymała od ministra handlu wewnętrznego wysoką nagrodę pieniężną, a od milicji dyplom i specjalne podziękowanie. A także masę pogroźek od rodzin ujętych przestępców. Wywierano na nią presję, aby w sądzie zeznawała jak najkorzystniej dla oskarżonych. Klamówna nie dała się jednak sterroryzować, ale po procesie i wyroku skazującym bandytów wolała opuścić Sokołów Podlaski.

- Ile miała lat?

- Wtedy, podczas napadu, zaledwie dwadzieścia dwa. Obecnie zaś trzydzieści trzy. Byłem nawet tym zaskoczony, bo wyglądała znacznie młodziej. Widocznie sprawiła to opalenizna i te piękne jasne włosy. Nie dziwię się jednak, że młoda dziewczyna po tych przeżyciach w małym mieście pragnęła całkowicie zmienić otoczenie i wynieść się możliwie najdalej od Sokołowa. Wylądowała aż we Wrocławiu, gdzie parę lat pracowała w Politechnice Wrocławskiej. No... Nie jako naukowiec, lecz była urzędniczką w Rektoracie. Tam poznała inżyniera Stanisława Niemirowskiego i wyszła za niego za mąż. Młode małżeństwo osiedliło się początkowo w Elblągu, gdzie oboje pracowali. On w fabryce turbin, ona w Miejskiej Radzie Narodowej. Potem przenoszą się do Gdańska. On awansuje i widzimy go na poważnym stanowisku w Stoczni Gdańskiej, Ona jest ciągle maszynistką, tym razem w jakiejś spółdzielni. Wreszcie kolejny awans Niemirowskiego. Teraz przenoszą się do Warszawy. On zostaje dyrektorem w zakładach elektrotechnicznych. W stolicy pani Krystyna nie podejmuje pracy zawodowej. Może uznała, że „dyrektorowej” nie wypada stukać na maszynie? Postanawia wyzyskać to, czego się nauczyła za młodu w rodzinnej wiosce. Jest chałupniczką Cepelii, której dostarcza pisanki i wycinanki kurpiowskie. Jak się przekonałem, to artystyczne zajęcie przynosiło jej znacznie większe dochody, niżby mogła je wyciągnąć z maszyny do pisania.



- Nie miała jakichś zatargów z prawem? - zauważył pułkownik. - Od czasów bohaterskich wyczynów w Sokołowie mogło się przecież dużo zmienić.

- Zasadniczo nie miała. Wprawdzie jej konto obciążone jest grzywną dziesięciu tysięcy złotych, nałożoną w postępowaniu karno-administracyjnym, ale grzywnę tę później umorzono z tytułu amnestii.

- Co przeskrobała? Pewnie jakiś przemyt?

- Zgadłeś. Było to jeszcze przed liberalizacją przepisów o turystyce zagranicznej. Jechała na Węgry czy też do Rumunii i usiłowała „zahandlować”. Na granicy celnik stwierdził, że nie wszystko, co wywozi, jest zgodne z deklaracją celną. Nie badałem dokładnie tej sprawy, bo zbyt błaha, żeby po tylu latach grzebać w archiwach. Pewnie chodziło o prześcieradła lub ręczniki masowo wówczas wywożone do Budapesztu. Po tym incydencie Niemirowska już nigdy nie wyjeżdżała z kraju.

- Chyba zabrano jej wtedy wkładkę paszportową?

- Jeszcze wówczas nie było stałych wkładek, ale jako karana za przemyt nie otrzymałaby prawa wyjazdu co najmniej przez trzy lata. Potem, kiedy Ministerstwo Finansów złagodziło przepisy dewizowe, tamte stare zastrzeżenia straciły swoją moc, jednakże Niemirowskiej widocznie raz na zawsze przeszła ochota na turystykę zagraniczną. Jak ustaliłem, nawet nie stemplowała swojego dowodu osobistego, co by jej pozwoliło na wyjazdy do Niemieckiej Republiki Demokratycznej i za zwykłą przepustką za JO złotych do Czechosłowacji w strefie przygranicznej.

- A mąż? Jak tam z jego alibi?

- Sam wiesz, że kiedy zostaje popełniona taka zbrodnia, zawsze jednym z podejrzanych może być mąż. Wprawdzie ten rodzaj pozbycia się żony dzisiaj jest już trochę przestarzały, niemniej nie można wykluczyć i takiej ewentualności. Dlatego sprawdziłem i jego alibi. Dyrektor Niemirowski rozmawiał telefonicznie z żoną wieczorem w przeddzień wypadku. Telefon zamawiała żona. Podobno była bardzo zazdrosna, może więc chciała upewnić się, czy małżonek spędza czas we własnym mieszkaniu. W tragicznym dla Krystyny dniu Stanisław Niemirowski miał całodzienną naradę w ministerstwie. Trudno o lepszy dowód niewinności. Zresztą dyskretny wywiad nie potwierdził, żeby ten człowiek miał jakieś „boczki”. Zazdrość Niemirowskiej była raczej nieuzasadniona.

- Reasumując? - pułkownik Niemirowicz spojrzął na zegarek. Narada z podwładnym przeciągała się. Naczelnik wydziału nie może się zajmować tylko jedną,

bardzo hipotetyczną sprawą.

- Rozporządzam następującymi danymi - odpowiedział major:

1) Zaginął dowód osobisty Krystyny Niemirowskiej.

2) Pomimo bardzo dokładnych poszukiwań nie” znaleziono ciała.

3) Niemirowska” była doskonałą pływaczką. Uczestniczyła w zawodach pływackich i przepowiadano jej dużą przyszłość w tej dziedzinie sportu. Fakt, że; się utopiła, jest co najmniej dziwny.

4) Ta kobieta otrzymała ostatnio list z Sokołowa. List, który mimo niewinnej treści, pisany był tak, aby ukryć charakter pisma nadawcy. List ten mógł być odczytany jako zawołowana groźba zemsty dawnych bandytów „Starego Macieja”.

5) Udając się na plażę, Krystyna Niemirowska wprowadziła w błąd jednego ze swoich wielbicieli, twierdząc, że idzie na zakupy. To by świadczyło, że pod pozorem kąpieli ma jakieś umówione spotkanie na plaży i chce pozbyć się świadków.

6) Kobieta ta, jak oświadczył adwokat Ruszyński, była bardzo zazdrosna o swojego męża.

7) Otrzymała lub była w przededniu załatwienia ostatecznych formalności spadkowych. Spadek wynosił 300 tysięcy złotych, z czego Krystynie Niemirowskiej przypadła połowa.

Pułkownik machnął ręką.

- Drogi Januszk, sam wiesz, jak cię cenię i lubię. Z krzywdą dla innych oficerów tobie oddaję wszystkie najpoważniejsze i najtrudniejsze dochodzenia, żebyś się mógł wykazać. Nie raz i nie dwa zwracano mi uwagę na to dziwne uprzywilejowanie majora Kaczanowskiego Przez przyjaźń dla ciebie ciągle się narażam...

- Co za człowiek! - przerwał Janusz. - Ja cię chyba kiedyś zamorduję i każdy sąd mnie uniewinni. Zawsze mnie wrabiasz w jakąś paskudną sprawę, której nikt dobrowolnie nie chce się podjąć, i śmiesz jeszcze deklamować o przyjaźni. To już szczyt!

- Tym razem jednak - Niemirowicz nie zwrócił uwagi na słowa przyjaciela - as naszej służby dochodzeniowej wyraźnie przesadził. Ze wszystkich dowodów, jakie przytoczyłeś przed chwilą, jedynie ta pocztówka może mieć jakieś znaczenie. Reszta to ciepła woda. Na tej podstawie prokurator nie podejmie śledztwa, a ja, chociaż tak cię poważam, nie podpiszę decyzji o wznowieniu dochodzenia.

- Może każdy z tych moich dowodów pojedynczo jest nieważny, ale w sumie

wskazują, że ze zgonem Niemirowskiej sprawa nie jest zupełnie jasna.

- Mój Boże, nie powiedziała, że idzie się kąpać! Bo po prostu miała dosyć ciągłego narzucania się tego łyska. Zwłok nie znaleziono? Corocznie w Polsce topi się prze-

69szło tysiąc osób. Wiele z nich obywa się bez „chrześcijańskiego pogrzebu”. Dowód osobisty mógł się gdzieś zapodziać albo Niemirowska zgubiła go jeszcze przedtem, choćby w grajdołku na plaży. Mógł go nawet buchnąć i schować dla żartu ten jej łysy adorator, a później, już po tragedii, bał się do tego przyznać.

- Więc co, mam wszystko rzucić? - major z lekka się zirytował naganą zwierzchnika. Naganą, musiał to w duchu przyznać, najzupełniej słuszną.

- Gdybym ci nawet kazał, sądzę, że tego byś nie zrobił i w tajemnicy przede mną popychałbyś sprawę. Wiem przecież, jak krnąbrnych i nieposłusznych mam podwładnych. A niestety major Kaczanowski zajmuje wśród nich pierwsze miejsce. Z drugiej strony, jeżeli tak patentowany leń z dobrej woli bierze się za robotę, nie mam serca zniechęcać go do niej. Dochodzenia nie wznowię, ale pozwałam ci zajmować się tym wypadkiem. Trzeba pójść tropem ludzi z bandy „Starego Macieja”. Musisz się także więcej wywiedzieć o Krystynie Niemirowskiej, o jej mężu i ich otoczeniu. Sądzę, że w tym mecenas Ruszyński okaże się nieocenionym informatorem. Ten człowiek naprawdę zna masę ludzi.

- Szczególnie młode dziwy i takich samych jak on playboyów.

- Nie tylko, nie tylko. Przypomnij sobie, jakie nie ocenione usługi oddał nam choćby w sprawie testamentu tego fabrykanta dewocjonalii lub zaginionego chłopczyka.

- Tę sprawę małego Januszka jednak ja rozwiązałem - zaprotestował Kaczanowski.

- Bardzo dobrze, że tak się wszystko skończyło. Byłoby dla nas naprawdę dużą kompromitacją, aby nasze do chodzenia rozwiązywali adwokaci, a nie oficerowie MO. Niemniej w obu tych przypadkach zasługi Ruszyńskiego są poważne. Nie można o tym zapominać.

- Wiem, wiem, że ten pieścuch Warszawki jest twoim ulubieńcem. Dobrze, zobaczę się z nim. Choćby jutro. „Starego Macieja” mam na uwadze. Zwróciłem się do Komendy Wojewódzkiej MO o wyciągnięcie z archiwum tych akt. Będę je miał lada dzień. Porozmawiam także z mężem. Miałem od początku ten zamiar, ale chciałem przedtem zebrać więcej materiałów. Zarówno o nim, jak i o zmarłej.

- Ciszę się, że mamy jednakowe zdanie - pułkownik ponownie zerknął na zegarek.

Kaczanowski słusznie uznał to za koniec „audiencji” i opuścił gabinet „starego”. A po powrocie do swojego pokoju zatelefonował do mecenasa Ruszyńskiego. Miał szczęście, bo zastał go w pokoju adwokackim w Sądzie Wojewódzkim i zapowiedział swoje odwiedziny dzisiejszego popołudnia w zespole adwokackim.

Mecenas Ruszyński przyjmował w sto czwartym zespole adwokackim. Dostanie się do tak wybitnego prawnika nie było bynajmniej łatwe. Adwokata znano z tego, że przyjmował nie każdą sprawę i nie pomagały przemyślnie wybiegi klientów, takie, jak na przykład wpłacenie grubszej zaliczki w kasie w czasie nieobecności mecenasa czy powoływanie się na polecenia znajomych. Ale mimo to, a może właśnie dzięki temu, w poczekalni zawsze było pełno. Miecio załatwiał klientów błyskawicznie i żeby tam pioruny strzelały, zawsze punktualnie o szóstej wieczorem opuszczał lokal zespołu.

Wiedząc o tych zwyczajach adwokata, major Kaczanowski zjawił się w kancelarii adwokackiej za kwadrans szósta. To była najlepsza pora, nie za długo czekać i nie pozwolić Ruszyńskiemu, aby zwił oficerowi milicji przed samym nosem. Wprawdzie można by adwokata bez większego trudu znaleźć w którymś z pobliskich lokali, najczęściej w ulubionym „Szanghaju”, ale wtedy zazwyczaj mecenas nie był sam i mało chętny do odpowiadania na pytania milicji.

Totumfacki adwokata, stary woźny Franciszek, dobrze znał majora. Chciał też zameldować go prawnikowi poza kolejką. Jednakże Janusz sprzeciwił się temu. Wiedział, ile złej krwi wywołałby wśród czekających na choćby parominutową rozmowę ze sławnym jurystą. Wołał nie ryzykować awantury i jedynie poprosił:

- Pan Franciszek szepnie mecenasowi, że będę tu czekał na niego. Niech spokojnie przyjmie wszystkich klientów. Mam czas.

Ledwie jednak minęła szósta, w drzwiach prowadzących na korytarz, służący w sto czwartym zespole jako poczekalnia dla klientów, ukazał się adwokat z ręcznikiem w ręku. Z daleka kiwnął głową oficerowi milicji.

- Już służę majorowi, tylko się trochę uporządczę i zmyję brudy, które mi dzisiaj zniesiono z całej Warszawy. Za minutkę będę gotów.

- Pójdziemy do jakiejś knajpy - zaproponował Ruszyński po powrocie z łazienki. - W tym naszym lokalu można byłoby zorganizować inny, nie całkiem

prywatny dom, ale porozmawiać z kimś w cztery oczy jest bardzo trudno.

Rzeczywiście, członkowie sto czwartego zespołu przyjmowali klientów w wielkiej sali podzielonej drewnianymi przepierzeniami na malutkie klitki. Podobno w Ameryce Południowej są takie lokale, nie służą one jednak adwokatom.

- Może wstąpimy do „Szanghaju”? - podsunął major znający zwyczaje Mięcia. - Dawno już tam nie byłem.

- Nie znoszę tej wstrętnej dziury.

- Świetny lokal - bronił Kaczanowski. - Wiem, że należał do pana ulubionych.

- To było dawno i nieprawda.

- Na dole bywają ładne dziewczyny. Przechodząc tędy niedawno zauważyłem tam ślicznego rudego kota. Może i dziś go spotkamy?

- Diabła tam! - adwokat nie dał się przekonać. - One wszystkie farbują się, na jakie chcą kolory, i dopiero w ostatnim momencie człowiek przekonuje się, że został oszukany. A obsługa tam teraz prawie całkowicie się zmieniła. Kucharz też. Dawniej sandacz „a la rouge” to był sandacz, dzisiaj nie można wziąć do ust.

Kaczanowski zorientował się, że Miécio niedawno poniósł w „Szanghaju” jakąś porażkę. Na pewno nie kucharz i nie kelner byli temu winni, a raczej szósty krzyżyk, który coraz bezczelniej wlaził adwokatowi na kark. Więc nie nalegał więcej, a zapytał:

- To dokąd pójdziemy?

- Chodźmy do „Habany”. Wcale przyzwoita knajpa i bez bab pętających się na parterze w poszukiwaniu fartu.

Kiedy obydwaj panowie, jak przystało na prawdziwych znawców, obejrzeni całe towarzystwo zebrane w restauracji, wybrali stolik i omówili z kelnerem szczegóły zamówienia, mecenas zagadnął:

- Nie przypuszczam, żeby major tak się za mną stęsknił i tylko chęć zobaczenia mojego pięknego oblicza była powodem dzisiejszej jego miłej wizyty.

Czym mogę służyć? Czy nie chodzi o panią Krystynę Niemirowską?

- Nie będę przed panem ukrywał, że tak jest. Chodzi o nią.

- Co majora interesuje?

- Chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć o mężu zmarłej.

- Domyśliłem się i tego. Z tych względów przed paru dniami przeprowadziłem maleńki prywatny wywiad w tej sprawie. Jestem daleki od wchodzenia milicji w drogę, ale skoro wiem, że interesuje się pan śmiercią Niemirowskiej, postanowiłem

zebrać, trochę informacji o jej mężu.

„Cholera - zaklął w duchu major - ten siwy playboy znowu wchodzi mi w paradę. Usiłuje się bawić w prowadzącego dochodzenie. Dam ja ci jeszcze po łapach”. Tak pomyślał, a powiedział z najmiłszym uśmiechem, na jaki mógł się zdobyć:

- Podziwiam przenikliwość pana mecenasa. Do czegoż pan doszedł?

- Jeśli tak słynny oficer milicji rozpoczyna dochodzenie, poddając w wątpliwość naturalną śmierć czyjejs żony, to mąż powinien być jednym z podejrzanych. Zresztą mnie samego zaciekawiła postać Stanisława Niemirowskiego, choćby dlatego, że mam nie zakończone rachunki w sprawie spadkowej. A może kroi się i następna, o spadek po zmarłej Krystynie? A że niedawno coś załatwiałem jednemu z inżynierów fabryki, w której dyrekturuje pan Niemirowski, postanowiłem pociągnąć mojego klienta za język. O tym, że mąż zmarłej ma na ten tragiczny dzień niepodważalne alibi, major już wie?

„Prowadzi, drań, dochodzenie - upewnił się Kaczanowski. - Inaczej nie sprawdzałby alibi Niemirowskiego.”

- Mecenas jest wprost genialny - powiedział głośno. - Co byśmy zrobili bez pańskiej pomocy? Znamy to alibi, ale czego ciekawego dowiedział się pan jeszcze?

- Mój znajomy twierdzi, że Stanisław Niemirowski nie jest orłem, jeśli chodzi o fachowość. Ale przyznaje mu duży talent organizacyjny. Toteż dyrektor nie wtrąca się do szczegółów produkcji ani też nie ma ambicji racjonalizatorskich, natomiast znakomicie przyczynił się do zwiększenia produkcji, usunięcia najrozmaitszych trudności i powiększenia eksportu. Dzięki jego staraniom fabryka regularnie wykonuje plany i obecnie uchodzi za czołowy zakład w swojej dziedzinie. „Góra” dyrektora ceni, a z „dołami” nie ma większych zatargów, bo dzięki niemu ludzie lepiej zarabiają. Natomiast kadra inżynierska raczej go lekceważy, na co zresztą Niemirowski nie zwraca większej uwagi.

- A materialnie?

- Pensja dyrektorska i specjalne nagrody ministra to na pewno niemało. Prócz tego takie stanowisko daje możliwość dodatkowych, najzupełniej legalnych zarobków. Częste wyjazdy zagraniczne także są atrakcją, również pod względem finansowym. Żona zarabiała nie najgorzej. Małżonkowie dorobili się samochodu i domku jednorodzinnego na Okęciu.

- To wszystko z tej pensji dyrektorskiej?

- Nie wiem - przyznał Ruszyński. - Tak dalece się nie interesowałem ani nie wyliczałem ich budżetu. Ale pani Krystyna parę razy wspominała mi, że jej brat obejmując gospodarkę po ojcu coś siostrze odpałił ciepłą ręką.

- Stary Klama nie żyje?

- Żyją oboje. I ojciec, i matka Niemirowskiej. Ale to ludzie w podeszłym wieku i panującym na wsi zwyczajem są, jak to się mówi, „na wycugu”, czyli zastrzegli sobie dożywocie, a gospodarstwo przekazali synowi. To teraz zamożny człowiek i nie sprawiło mu większej trudności pomóc siostrze w budowie domku. Domy te budowała fabryka dla swoich pracowników i spółdzielców, taniej to kosztowało. A na samochód dyrektor otrzymał przydział, pożyczkę z zakładu pracy i odpowiedni „kilometraż”.

- Jednym słowem ten człowiek umiał się w życiu urządzać.

- To nie ulega kwestii. Tym bardziej więc nie wchodzi w rachubę jako ewentualny podejrzany.

- Mecenasie, ja w ogóle nie wiem, czy popełniono zbrodnię. Badam sprawę, szukam powodów, buduję różne hipotezy - oficer milicji podzielił się z prawnikiem rezultatami swojego wyjazdu do Szczecina.

- Rozumiem, rozumiem - przytaknął adwokat. - Z tego, co ja wiem, Niemirowscy nie prowadzili jakiegoś wielkiego życia towarzyskiego. Może temu przeszkadzała zazdrość pani Krystyny, która w każdej kobiecie widziała rywalkę do względów męża? Kiedyś, kiedy użalała mi się na ten temat, powiedziałem jej, że gdyby małżonek był rzeczywiście takim „dziwkarzem”, to przecież mógłby się bez większych przeszkód rozwieść z żoną lub odejść bez rozwodu, bo dzieci nie mieli i raczej już się na nie zanosilo. Ale moja klientka podkreśliła z naciskiem, że nie boi się rozwodu.

- To jasne. Drugiej tak pięknej i reprezentacyjnej żony dyrektor łatwo by nie znalazł.

- Sądzę, że raczej liczyła na swoją pozycję materialną. O ile wiem, ten domek jest zapisany na jej nazwisko, co oczywiście z punktu widzenia prawnego nie ma większego znaczenia, bo jest to przecież „majątek dorobkowy” obojga małżonków.

- No tak - przyznał Kaczanowski.

- Co ciekawsze, jak to twierdzi mój znajomy, Niemirowski wcale nie był takim psem na kobiety, jak to przedstawiała żona. W fabryce, gdzie personel żeński stanowi co najmniej trzy czwarte załogi i gdzie nie brakuje przystojnych dziewczyn,

chętnych do nawiązania małego flirtu z wszechwładnym dyrektorem, nic się nie wspominało o jakichkolwiek miłosstkach Niemirowskiego. Chociaż z zasady nie przesiaduję w lokalach, to kilkakrotnie udało mi się spotkać męża pani Krystyny, ale nigdy w jakimś czułym „a deux”.

- Może tak zrećźnie się maskował?

- Jeśli umiał się maskować przed osobami postronnymi, to tym bardziej i przed żoną. Sądzę, że ta zazdrość była raczej chorobliwą cechą Krystyny.

- Musiało to chłopu dobrze obrzydzać życie.

- Czy ja wiem? Oceniałem ich jako przeciętne małżeństwo. Ani lepsze, ani gorsze od setek tysięcy im podobnych.

- A ten list, właściwie pocztówka z Sokołowa, czy Niemirowska bardzo się przestraszyła? Poważnie potraktowała tę groźbę?

- Bardzo poważnie. Była po prostu przerażona. Natychmiast przybiegła do mnie do zespołu z tą kartką. W rozmowie parokrotnie powtarzała: „Oni mnie zabiją. Pan nie zna tych ludzi”. Tłumaczyłem kobiecie, że na pewno chodzi o jakiś figiel albo są to rzeczywiście zwykłe pozdrowienia od znajomych. Twierdziła, że nie ma żadnych takich znajomych w Sokołowie, z nikim tam nie utrzymuje korespondencji i że to pisał - któryś z bandytów. Sama się zorientowała, że piszący specjalnie zmienił charakter pisma.

- Szkoda, że nie zostawiła panu tej kartki.

- Nie chciała. Obstawała przy tym, że musi ją jeszcze raz pokazać mężowi i przekonać go do opuszczenia Warszawy albo nawet kraju. Staralem się uspokoić panią Krystynę, wytłumaczyć jej, że to nie ma najmniejszego sensu i jeżeli rzeczywiście tak się obawia zemsty bandytów, skomunikuję ją z milicją. Ona jednak nie miała zaufania do was. Pamiętam, że powiedziała: „Co milicja może zrobić? Przecież nie będą stale za mną chodzili ani nie wystawią posterunku przed moim domem. A on przyjdzie i mnie zabije”. Wreszcie jakoś uspokoiłem moją klientkę obietnicą zdobycia informacji, czy członkowie bandy „Starego Macieja” już są na wolności i co się z nimi dzieje. Telefonowałem do mojego przyjaciela, adwokata z Sokołowa, ale był na urlopie. A za kilka dni znowu przyszła do mnie Niemirowska i oświadczyła, że wyjeżdża na wczasy, nad morze. Mąż załatwił jej skierowanie i nikt poza mną nie będzie wiedział, dokąd wyjechała.

- Więc wyjazd do Międzyzdrojów był czymś w rodzaju ucieczki?

- Tak to traktowała. Ponownie zobowiązałem się do skomunikowania z



Sokołowem...

- Czy pani Niemirowska kiedykolwiek wspominała panu o swoich sukcesach pływackich? O tym, że trenowała tę dyscyplinę sportu?

- Nie. Nigdy nie rozmawialiśmy o żadnym sporcie.

Pan przecież wie, że z klientami staram się rozmawiać krótko i rzeczowo. Gdybym się bawił w najrozmaitsze pogaduszki, wychodziłbym z zespołu późno w nocy.

- Niewiele dowiedziałem się od mecenasa - w głosie Kaczanowskiego zabrzmiało rozczarowanie.

- Przykro mi bardzo, ale może się poprawię.

„A łotr - pomyślał Kaczanowski. - Znowu coś knuje i szykuje nam jakiś kawał. Dam ja ci...” - i w jak najbardziej serdecznych słowach major podziękował mecenasowi za „niezwykle cenną pomoc”, jaką milicja zawsze otrzymuje od sławnego prawnika.

Obydwaj panowie solidarnie uregulowali bynajmniej niemały rachunek i pozornie w najlepszej zgodzie rozeszli się w przeciwne strony. Każdy jednak w duchu obiecywał drugiemu wypłatać figła.

Stara wojna pomiędzy oficerem milicji i adwokatem rozgorzała od nowa. Tym ostrzejsza, że zawoalowana pozorami przyjaźni i wzajemnego szacunku.

## **Rozdział VI**

### **W małym domku na Okęciu**

Przed wizytą u dyrektora Stanisława Niemirowskiego major Janusz Kaczanowski dokładnie obejrzał całą kolonię domków jednorodzinnych, zbudowanych na Okęciu. Dom zamieszkały przez męża Krystyny stanowił segment - jedną trzecią piętrowego budynku. Z zewnątrz wyglądało na to, że lokal składa się z trzech pokoi i kuchni. W podziemiu mieścił się garaż. Sąsiedzi, mający zapewne liczniejsze rodziny, zamieniali strych na dodatkowe pomieszczenia mieszkalne, ale Niemirowscy najwidoczniej uznali, że dla dwóch osób trzy pokoje wystarczą. Z tyłu, za domem, każdy ze spółdzielców miał maleńki ogródek.

Natychmiast po naciśnięciu dzwonka drzwi wejściowe otworzyły się. Widocznie Niemirowski, uprzedzony telefonicznie przez majora o tej wizycie, obserwował ulicę przez okno i już wcześniej zauważył nieznajomego idącego w stronę domku.

- Proszę, panie majorze, proszę.

- Dziękuję - oficer milicji wszedł do małego przedpokoju i ciekawym wzrokiem obrzucił przede wszystkim człowieka, z którym miał rozmawiać.

Dyrektor wyglądał na dobiegającego czterdziestki. Major oczywiście wiedział, że jego rozmówca jest młodszy o cztery lata. Był to mężczyzna trochę wyższy niż średniego wzrostu, o opalonej twarzy i siwych, prawie białych włosach; zaczesane do góry, spadały mu aż na kołnierz marynarki. Równie bujne i szerokie baki dochodziły niemal do dolnej szczęki. Bardzo przystojny, typ urody określanej mianem „piękniś”. Ubrany nienagannie na czarno, jak przystało mężowi, który przed niespełna dwoma miesiącami stracił żonę.

Kiedy Kaczanowski zdjął płaszcz i powiesił go w szafie wmurowanej w ścianę, dyrektor gestem ręki wskazał jedne z dwojga drzwi. Były one półprzymknięte i prowadziły do dużego pokoju urządzonego na „living room” - pomieszczenia służącego jednocześnie za jadalny, gabinet pana domu i pokój do przyjmowania gości, słuchania radia i oglądania telewizji.

- Proszę - powtórzył Niemirowski. - Sądzę, że przy tym stoliczku będzie nam najwygodniej.

Major zajął miejsce w fotelu i rozejrzał się po pokoju. Meble były skromne, ale funkcjonalne. Na ścianach wisiało parę obrazków i barwne wycinanki, zapewne dzieło gospodyni. Największą osobliwością tego pokoju była nisza powstała na skutek tego, że z całego pomieszczenia architekt „wyciął” przedpokój, a w niszy umieścił kręcone schody wiodące na górę.

Widząc zdziwione spojrzenie oficera milicji, Niemirowski wyjaśnił:

- Z tymi schodami to nie najszcześniejsze rozwiązanie. Nie są zbyt wygodne, a jednocześnie pokój staje się przechodnim. Na dole znajduje się mała kuchenka, zaś wyżej dwa pokoje. Jeden długi, ale za to wąski, drugi mała kwadratowa ciupka. Jest tam także łazienka.

- Widziałem, że sąsiednie domki mają jeszcze jedno piętro.

- Tak. Zasadniczo nasza spółdzielnia wybudowała wszystkie domki jednakowe, ale niektórzy własnym przemyśleniem przebudowali strychy i zrobili tam po dwa pokoje. Co prawda bardzo niskie, zaledwie na dwa metry. Trzeba też było przy tym zmniejszyć łazienkę, aby wygospodarować miejsce na schody. Nam się taka koncepcja nie podobała, zresztą nie była potrzebna. W tym większym pokoju na górze mamy sypialnię, a w mniejszym żona urządziła sobie pracownię.

- Dawno pan tu mieszka?

- Przeszło trzy lata. Miałem szczęście. Kiedy przenosiłem się z Gdańska do Warszawy, udało mi się „wskoczyć” w to mieszkanie. Spółdzielnię przy naszej fabryce założono znacznie wcześniej. Załatwianie formalności, otrzymanie placu i budowa przeciągnęły się do pięciu lat. Kiedy domki były już w stanie surowym, jeden z kolegów przyjął propozycję wyjazdu na prowincję na stanowisko naczelnego dyrektora i zrezygnował z członkostwa w spółdzielni. Dzięki temu i moje kłopoty mieszkaniowe zostały pomyślnie rozwiązane.

- Rzeczywiście miał pan szczęście. Zapewne mieszka się tu przyjemnie. Komunikacja ze śródmieściem jest dobra, a powietrze czystsze.

- Przede wszystkim cisza. Po powrocie z fabryki można odpocząć... Kawa czy herbata? - zaproponował Niemirowski.

- Dziękuję. Ani jedno, ani drugie. Piłem dzisiaj trzy kawy. To wystarczy jak na porcję dzienną.

- Może koniak, likier? Albo wermut? - namawiał gościnnie pan domu.

- Raczej kieliszek wermutu.

Niemirowski otworzył mały barek, wy dostał stamtąd butelkę i dwa smukłe kieliszki oraz talerzyk ze słonymi paluszkami. Napełnił kieliszki i wtedy zapytał:

- Chyba dobrze zgadnę, jeżeli powiem, że wizyta pana majora ma jakiś związek z tragicznym wypadkiem w Międzyzdrojach, którego ofiarą padła moja żona. Prawda?

- Tak - poświadczył Kaczanowski. - Czym mogę panu służyć?

- Chciałbym panu zadać kilka pytań.

- Proszę bardzo.

- Czy nie sądzi pan, że nie był to wypadek, lecz zbrodnia?

- Krystyna otrzymała niedawno jakąś niedorzeczną pocztówkę z Sokołowa Podlaskiego. Potraktowała ją w sposób zupełnie histeryczny. Czyżby pan major naprawdę przypuszczał, że ta widokówka ma związek ze śmiercią żony?

- Nie wiem - szczerze przyznał oficer milicji. - Badamy sprawę.

- Zona była swego czasu zamieszana w proces bandy działającej na terenie Podlasia, występowała jako świadek w procesie. Jej zeznania niewątpliwie nie mogły się podobać oskarżonym.

- Czy pani Niemirowska nie mówiła niczego więcej? Ma pan tę pocztówkę?

- Mocno odczułem śmierć żony. To był dla mnie okropny cios. Każdy reaguje

inaczej na taką tragedię. Co do mnie, wolałem, żeby nic w tym domu nie przypominało mi Krystyny. Żeby nie rozdrapywać rany. Dlatego też wszystkie osobiste rzeczy, jakie po niej zostały, odwiozłem do jej brata i oddałem bratowej. Ta kobieta ma podobną figurę i na pewno jej się przydadzą. Natomiast papiery, dokumenty i listy uporządkowałem i zamknąłem w jednej z szuflad tego biurka. Jestem zupełnie pewien, że nie ma tam tej odkrytki.

- A dowód osobisty?

- A wie pan, nie przyszło mi to do głowy, ale rzeczywiście, kiedy w Międzyzdrojach wydawano mi rzeczy żony, dowodu tam nie było. Nie zwróciłem uwagi na ten szczegół. Trudno w takiej sytuacji, pan rozumie, pamiętać o jej dowodzie osobistym. Ciało do tej pory nie znaleziono. Co parę dni telefonuję w tej sprawie do Międzyzdrojów. Zawsze otrzymuję negatywną odpowiedź.

- Czy nie zdziwiło pana, że tak dobra pływaczka mogła się utopić?

- Podobno wtedy panował - na Bałtyku sztorm. Krystynę zawsze cechowała lekkomyślność. Lekceważyła sobie niebezpieczeństwo. Zbyt ufała własnym siłom. Wiadomość o jej śmierci podziałała na mnie tak, jak gdybym dostał obuchem w głowę. Jeszcze w przeddzień rozmawiała ze mną telefonicznie. Była w doskonałym humorze. Pobyt nad morzem dobrze jej zrobił, bo bezpośrednio po otrzymaniu tej pocztówki wpadła w prawdziwą panikę. Po raz pierwszy widziałem, że czegoś się bała. Ni mniej, ni więcej, namawiała mnie do natychmiastowego wyjazdu z Warszawy, a nawet emigracji, choćby do brata w Kalifornii, bo tam jej bandyci nie znajdą.

- Czy nie uważał pan, że żona miała poważne podstawy do obawy przed zemstą?

- Radziłem jej, żeby się zwróciła do milicji. Przyznaję jednak, że całą historię potraktowałem lekko, bo uważałem ją za czyjś głupi dowcip. Ktoś, kto bliżej znał Krystynę, mógł się spodziewać takiej reakcji, jaka u niej nastąpiła.

- Dlaczego?

- Muszę zdradzić, że żona była od wielu lat chora. Miała pewne kłopoty z tarczycą. To się objawia różnymi stanami psychicznymi. Krystyna nagle wpadała w złość, ale najczęściej dostawała nagłych ataków zazdrości. Z tego powodu musieliśmy ograniczyć życie towarzyskie. Nieraz wystarczyła jakaś uwaga czy uśmiech innej kobiety, choćby to była jej przyjaciółka lub też dama w wieku po siedemdziesiątce, aby Krystyna dostała spazmów i zrobiła Bogu ducha winnej osobie

kosmiczną awanturę. Daję panu majorowi słowo, że te wszystkie sceny zazdrości nie miały najmniejszego uzasadnienia.

- Nic dziwnego - uśmiechnął się major - jeśli się ma tak piękną żonę, nie trudno być jej wiernym.

- Pan znał Krystynę? - Osobiście nie. Ale także spędzałem wczasy nad morzem i widziałem tam panią Niemirowską. Świetnie pływała.

- Niestety, Krystyna nie żyje. Nawet nie mogłem jej oddać ostatniej posługi.

- Czy prócz tej pocztówki z Sokołowa Podlaskiego, o której już mówiliśmy, przedtem lub później żona otrzymywała inne pogróżki?

- Panie majorze, to przecież nie była pogróżka! Po prostu pozdrowienia z Sokołowa. Zaledwie kilkanaście słów. Wprawdzie bez podpisu, ale czy to ma znaczenie? Przynajmniej tak uważałem - aż do dzisiejszej z panem rozmowy.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Jestem absolutnie pewien, że poza tą pocztówką Krystyna innych listów czy kartek nigdy z Sokołowa Podlaskiego nie otrzymywała. Przynajmniej nigdy mi o tym nie wspominała, a na pewno nie robiłaby z tego tajemnicy.

- Jaki zegarek miała pańska żona?

- Właśnie, znowu to uszło mojej uwadze. Zegarka także mi nie oddano. Był to mały radziecki zegareczek marki „Rakieta”. Nie złoty, a pozłacany, niewielkiej wartości. Krystyna kupiła go chyba przed czterema laty.

- To byłoby wszystko - major Kaczanowski zrobił ruch, jakby chciał wstać z fotela. - Dziękuję panu dyrektorowi za informacje.

- Panie majorze - gospodarz powstrzymał swojego gościa - postawmy sprawę jasno. Jeżeli Krystyna nie uległa nieszczęśliwemu wypadkowi, ale została zamordowana, jednym z podejrzanych jestem ja. Teoretycznie mam powód do zabójstwa, bo żona otrzymała spadek: dom i place w Siedlcach. Testamentu nie ma, więc obecnie po jej śmierci dziedzicę połowę tego majątku. Muszę wykazać się alibi.

- Gdybym pana uważał za podejrzanego, nie rozmawialibyśmy przy kieliszku wermutu w pańskim domu.

- Dziękuję - Niemirowski lekko skłonił głowę. - Niemniej moim obowiązkiem jest powiedzieć, co robiłem w dniu tragicznego wypadku. Na szczęście mogę to uczynić, bo właśnie tego dnia w naszym ministerstwie odbywała się narada trwająca od rana do późnych godzin popołudniowych. Istnieje lista obecności, gdzie figuruje

mój podpis. Na naradzie było około pięćdziesięciu osób, z których większość zna mnie osobiście. Milicji nietrudno będzie ustalić moją tam obecność. Nie mam żadnych zastrzeżeń, aby pan major to sprawdził.

- To chyba zbyteczne - zaproponował major. - Raz jeszcze dziękuję za informacje.

- Interesował się pan mieszkaniem, może pan zechce obejrzeć górę - zaproponował dyrektor. - Niedługo będę tu mieszkał Tego domku dorobiliśmy się kosztem wielkich wyrzeczeń i nagle okazał się niepotrzebny. Mnie wystarczy mała Kawalerka.

- Łatwo pozbyć się takiego mieszkania, ale trudno zdobyć identyczne. Czy zawsze pan będzie sam? Na pana miejscu nie podejmowałbym zbyt szybko takiej decyzji.

- Niewątpliwie ma pan rację, majorze. Ale opuszczę to mieszkanie Byłem bardzo przywiązany do żony. Tutaj każdy drobiazg, każdy mebel ciągle mi ją przypomina. To zbyt bolesne. Usunąłem stąd jej rzeczy osobiste, ale nie mogę zmienić wszystkiego czy przebudować całego wnętrza.

- Bardzo panu współczuję - major zrezygnował z oglądania domu i pożegnał się z Niemirowskim, aby wrócić do Pałacu Mostowskich.

Dopiero w swoim pokoju Kaczanowski wyjął z kieszeni małą magnetofon i uruchomił taśmę. Odtworzył słowa wypowiedane przez Stanisława Niemirowskiego oraz stawiane mu pytania. Oficer milicji sporządził z tej rozmowy szczegółową notatkę i włączył ją do akt. Wprawdzie brakowało decyzji o wznowieniu dochodzenia, ale major na własną odpowiedzialność założył akta. Składały się one wyłącznie z zapisków i notatek, bo przecież nikogo oficjalnie nie przesłuchiowano w tej sprawie.

Zastanawiając się nad rozmową z dyrektorem, Janusz musiał przyznać, że zarówno zachowanie się Niemirowskiego, jak i jego reakcja na pytania były bez zarzutu. Ostatecznie natychmiastowe usunięcie rzeczy zmarłej jest dość częstym odruchem ludzi, jak najszczerzej i jak najboleśniej odczuwających śmierć swoich bliskich. Bodaj tak samo częstą, jak i fetyszyczą wspomnień, objawiająca się pozostawieniem wszystkiego bez zmiany, jak gdyby ten ktoś, kto leży na cmentarzu, na chwilę wyszedł i miał zaraz wrócić.

A jednak w osobie dyrektora było coś, co nie budziło sympatii Kaczanowskiego. Oficer milicji był także przystojnym mężczyzną, cieszył się dużym

powodzeniem u kobiet, ale nie można go było nazwać „pięknisiem”. Natomiast to określenie jak najbardziej pasowało właśnie do osoby Niemirowskiego. Ta wymuskana, starannie pielęgnowana przy użyciu kosmetyków uroda, te włosy jak gdyby myte w jakichś specjalnie wynalezionych szamponach, paznokcie prosto od manikiurzystki, a na dodatek pociągnięte bezbarwnym lakierem i wypolerowane „na wysoki połysk”! Wreszcie ten sygnet na prawym, a inny pierścionek na lewym ręku... Taka oprawa do nawet klasycznych rysów ciemnej, bardzo opalonej twarzy nie wywarła na majorze dodatniego wrażenia.

Są kobiety, a jest ich wiele, które wprost szaleją na widok takiej właśnie urody. Tego rodzaju „piękniś” bardzo rzadko jednak cieszy się sympatią mężczyzn, przynajmniej u prawdziwie „męskich” mężczyzn.

Niemniej, niezależnie od własnych uczuć, Kaczanowski zdawał sobie sprawę, że osoba Stanisława Niemirowskiego stoi poza wszelkimi podejrzeniami, a jego zachowaniu nie można niczego zarzucić. Że zlekceważył pocztówkę z Sokołowa Podlaskiego i nie uważał jej za żadną groźbę? Że nie chciał z tego powodu rzucać dobrej posady w Warszawie i wyjeżdżać na prowincję, czy, jak żądała Krystyna i co zresztą potwierdzał mecenas Ruszyński, emigrować za granicę? Każdy na miejscu dyrektora zachowałby się tak samo.

Nie ulegało wątpliwości, że Niemirowska była histeryczką. Czy ta histeria wywołana była chorobą tarczycy, jak to twierdził mąż, czy też istniały jakieś inne powody, to nie miało dla oficera milicji większego znaczenia. Najbliższe otoczenie tej kobiety o zmiennych nastrojach mogło nie przywiązywać wagi do jej zachowania się, skoro zawsze charakteryzowała je nierówność i brak konsekwencji. Tak wytrawny prawnik, jak adwokat Mieczysław Ruszyński, także mało poważnie potraktował list z Sokołowa Podlaskiego.

Obaj, zarówno Niemirowski, jak też adwokat, proponowali pani Krystynie, aby się zwróciła do milicji. Nie zrobiła tego. Chyba sama zrozumiała, że taki krok byłby trochę śmieszny. Kaczanowski, chociaż pracował tyle lat w aparacie bezpieczeństwa, przyznawał w duchu, że gdyby do niego ktoś zwrócił się z tego rodzaju pocztówką, on sam skłonny byłby zbagatelizować całe zdarzenie uważając je za żart. Każdy z nas co roku otrzymuje jakieś pozdrowienia takim zygzakiem podpisane, że nawet nie domyśla się nadawcy.

Niemniej faktem było, że Krystyna Niemirowska nie żyje. Tajemnicę tego zgonu Janusz Kaczanowski postanowił za wszelką cenę wyjaśnić.

## **Rozdział VII**

### **Banda „Starego Macieja”**

Nareszcie z Komendy Wojewódzkiej MO przysłano Kaczanowskiemu akta sprawy „Macieja Grzegorzcyka i innych”. Takie bowiem nazwisko nosił bandyta, który przez kilka lat był postrachem całego Podlasia, gdzie nazywano go „Starym Maciejem”. Akta składały się z kilkunastu teczek i ważyły co najmniej dziesięć kilogramów. Długo leżały w archiwum i chociaż na pewno przed przysłaniem do Pałacu Mostowskich ktoś zajął się ich odkurzeniem, jednak niewiele to pomogło. Wystarczyło ruszyć paczką, aby obłok kurzu wzbijał się aż pod sufit.

Dochodzenie w sprawie śmierci Niemirowskiej officer milicji prowadził poza swoimi normalnymi obowiązkami, więc teki z aktami „Macieja Grzegorzcyka i innych” musiały czekać, aż Kaczanowski znajdzie chwilę czasu na ich przestudiowanie. Przeleżały dwa dni w szafie, w pokoju Janusza. Wreszcie przyszła i na nie kolej. Major postanowił, że nie wyjdzie o normalnej godzinie z pracy, lecz poświęci całe popołudnie, aby w końcu zbadać, co kryje się w tych zakurzonych papierzyskach.

A kryło się bardzo wiele. Po usystematyzowaniu nadesłanego materiału, Kaczanowski zagłębił się w lekturze. Z tego, co tam znalazł, dałoby się napisać kilka powieści kryminalnych. Gdyby protokoły przesłać do szkoły oficerskiej milicji, mogłyby służyć jako ciekawy materiał studyjny, pokazujący sukcesy i błędy zarówno bandytów, jak i milicji paru powiatów, która przez prawie cztery lata nie mogła trafić na ślady członków bandy, aby ją potem zlikwidować w ciągu zaledwie dziesięciu dni.

„Stary Maciej” wcale nie był takim, jakby należało sądzić z jego przydomku czy też pseudonimu. Był to chłop spod Prostyni, sporej wsi położonej tuż przy rzece Bug. Gospodarował na niewielkim, bo zaledwie siedmiomorgowym kawałku ziemi, otrzymanym przez żonę w posagu. Poza tym zajmował się rybołówstwem na Bugu i jego zalewach oraz, jak to już ustalono później, kłusownictwem na „Glińskich Łąkach” ciągnących się na lewym brzegu rzeki i obfitujących w dzikie kaczki, zajęce i kuropatwy. Zdarzały się tam i sarny zwabione soczystą trawą z pobliskich lasów Sądowego.

To nigdy nie były zbyt spokojne strony. Napady bandyckie notowano tutaj i przed pierwszą wojną światową. Nie wytepiła ich policja Drugiej Rzeczypospolitej. W czasie okupacji w tutejszych lasach istniała partyzantka i chronili się tam



uciekierzy z pobliskich obozów w Treblince, lecz także działały bandy, które pod pozorem „polityki” grabiły gdzie i kogo tylko się dało. Ten bandytyzm na dość dużą skalę kwitł na tych ziemiach przez pierwsze lata po wojnie. W końcu zlikwidowano go, ale nie na długo, bo oto pod koniec lat pięćdziesiątych znowu zaczęły się napady na plebanie, bogatych chłopów i rozbijanie sklepów spółdzielczych.

Milicja szybko ustaliła, że są one dziełem jednej, niezbyt dużej, ale bardzo operatywnej bandy. Jej członkowie działali najczęściej w grupach po trzech, czterech. Napady były doskonałe i szybko przeprowadzane przy dużym rozeznaniu terenu. Bandyci przerzucali się z powiatu do powiatu, na ogół jednak grasując wyłącznie na Podlasiu. Jedyny raz udali się na gościnne występy w Białostockie, gdzie pod Wysokiem Mazowieckim pewnej nocy obrabowali trzech proboszczów, rozbili sklep spółdzielczy i uciekli zrabowanym samochodem ciężarowym, który następnie porzucili w Siedlcach.

Prędko też ustalono, że bandytami są młodzi, mniej więcej dwudziestoletni ludzie. Kieruje nimi przywódca nie mający więcej niż czterdziestkę i posługujący się imieniem „Maciej”. Ponieważ był on od swoich podwładnych dwukrotnie starszy, zaczęto nazywać go „Starym Maciejem”. Pseudonim tak przylgnął nie tylko do wodza opryszków, ale i do całej bandy, że później, dokonując napadu, jego uczestnicy terroryzowali swoje ofiary mówiąc po prostu „my od Starego Macieja”.

Banda była uzbrojona po zęby. Każdy dysponował albo pistoletem, albo karabinem z uciętą lufą. Nierzadko widywało się w rękach bandytów i pistolet maszynowy. „Stary Maciej” stał się postrachem okolic, a tam, gdzie nie było posterunku milicji, bandziory grasowały w biały dzień. Zresztą banda miała dobrze zorganizowany wywiad. Już po jej rozgromieniu okazało się, że jeden z jej uczestników był szwagrem milicjanta z Komendy Powiatowej MO. Od niczego nie domyślającego się członka rodziny rabuś umiejętnie wyciągał informacje, które „Staremu Maciejowi” pozwalały uniknąć zasadzek nadaremnie przygotowywanych przez milicję.

Wreszcie przyszła kryzysowa chwila. Stało się to właśnie za sprawą Krystyny Klamówny. Dwaj bandyci, Leon Siwek i Mikołaj Ciechanowiecki, rozzuchwaleni dotychczasową bezkarnością, w samo południe weszli do sklepu spożywczego w Sokołowie Podlaskim. Jeden stanął przy wejściu, drugi podszedł do lady. Obaj jednocześnie wyciągnęli pistolety.

- Dawać pieniądze - zakomenderował Mikołaj Ciechanowiecki kierując

pistolet w stronę śmiertelnie przerażonej kierowniczkii sklepu. Sterroryzowana kobieta bez słowa protestu wysunęła szufladę służącą w sklepie za kasę. Bandyta przechylił się przez ladę i zaczął ładować do kieszeni banknoty i bilon. A pilnujący drzwi Leon Siwek polecił:

- Dajcie wódkę i wino.

Krystyna Klamówna, stojąca bez ruchu obok kierowniczkii sklepu, odwróciła się tyłem do lady i sięgnęła na górną półkę, gdzie stały butelki z winem. Mając już butelkę w rękę, ujęła ją za szyjkę i z całej siły walnęła nią w łeb pochylonego nad kasą napastnika. Tylko jęknął i osunął się na podłogę. Klamówna nie tracąc przytomności rzuciła się do ucieczki tylnymi drzwiami, prowadzącymi na podwórko. Tam podniosła alarm krzycząc:

- Ratunku, bandyci!

Pierwszy zaczął uciekać Siwek. Za nim wyskoczył ze sklepu drugi z napastników, którego dziewczyna nie zdołała ogłuszyć, lecz na chwilę oszołomiła. Widząc z podwórza tę ucieczkę, Klamówna wybiegła na ulicę i zaczęła ich gonić, wołając:

- Trzymajcie bandytów!

Najpierw rzucił się w pościg przechodzący tamtędy żołnierz Wojska Polskiego, Piotr Stefanik. Do niego przyłączyli się przechodnie i jadący na rowerze plutonowy MO, Zbigniew Kaperski. Uciekający bandyci zaczęli się ostrzeliwać. To zaalarmowało dwóch milicjantów znajdujących się w pobliżu. Zabiegli oni drogę Siwkowi i Ciechanowieckiemu, którzy widząc, że nie ujdą pogoni, w końcu poddali się. W czasie strzelaniny plutonowy Kaperski otrzymał ciężki postrzał w prawą pierś, zaś jeden z przechodniów, który dołączył się do pościgu, został trafiony kulą w nogę.

To był koniec bandy „Starego Macieja”, bo Siwek i Ciechanowiecki znalazłszy się w rękach milicji myśleli jedynie o ratowaniu własnej głowy. Śpiewali jak z nut, gdzie i w jakich napadach uczestniczyli, ile zrabowano, co zrobiono z łupami, jakie są nazwiska i adresy pozostałych członków bandy. Przede wszystkim ujawnili, że „Stary Maciej” to po prostu Maciej Grzegorzczak, powszechnie szanowany gospodarz i rybak z Prostyni. Nie minęło i sześć godzin, kiedy herszta bandy w kajdankach przewieziono do Sokołowa Podlaskiego. Początkowo wszystkiego się wypierał, ale skonfrontowany z Ciechanowieckim i Siwkim, również zaczął sypać, aby jego dobrowolnie złożone zeznania mogły wpłynąć na obniżenie wyroku.

Ostatni z bandytów, Wacław Przewoźny, ukrywał się jeszcze prawie dwa tygodnie, ale i jego ujęto na Dworcu Kaliskim w Łodzi.

Fakt, że banda była tak świetnie wyposażona w broń, okazał się dla jej członków w konsekwencji poważną okolicznością łagodzącą. Ludzie widząc po zęby uzbrojonych zbójów, nie próbowali się bronić i oddawali bez walki swoje mienie. Nie było więc śmiertelnych ofiar. Jedyna krew, jaką mieli rabusie na swoich rękach, to ranni w strzelaninie ulicznej w Sokołowie.

Na procesie obrońcy wykorzystali to znakomicie. Wprawdzie zapadły surowe wyroki, jednak bandyci ocalili szyje przed stryczkiem. „Stary Maciej” dostał dożywocie, obaj „strzelcy” z Sokołowa po piętnaście lat, pozostali wykręcili się wyrokami od ośmiu do dwunastu lat...

Z danych personalnych członków bandy wynikało, że poza jej przywódcą, który miał własną gospodarkę, reszta rekrutowała się spośród młodych parobczaków. Byli to synowie rolników lub pracownicy „Pegeerów”. Na zbój poszli nie z nędzy czy z braku pracy, ale dla użycia i zdobycia „mołojeckiej” sławy. Na pewno wielu mieszkańców wsi, zwłaszcza rówieśników członków bandy, domyślało się albo i wiedzieli, czym się trudnią ich krewniacy lub przyjaciele. Niejeden z młodych podziwiał tych bohaterów, którzy zawsze byli przy pieniądzach i zawsze fundowali innym, a swoim dziewczynom przywozili bogate prezenty aż z samej Warszawy.

Kiedy mit o nieuchwytnych prysnął, rozwiązały się ludzkie języki. Na procesie nie brakowało świadków. Przede wszystkim poszkodowanych. Były jednak ze strony rodzin bandytów również próby płacenia za milczenie lub niedwuznaczne groźby. Jak to zresztą bardzo często zdarza się na takich procesach.

Główną bohaterką była Krystyna Klamówna. Ona przyczyniła się do likwidacji całej bandy. Jej zeznania najbardziej obciążały Siwka i Ciechanowieckiego. Dziewczyna spotkała się z takimi próbami sterroryzowania jej, że przed rozprawą prokurator uznał za stosowne zapewnić temu świadkowi odpowiednią ochronę milicji. Prasa, opisująca przebieg procesu, poświęciła sporo uwagi Klamównie. Opisywano dokładnie jej dzielność i podkreślano, że Krystyna otrzymała specjalną nagrodę ministerstwa handlu wewnętrznego i podziękowanie Komendanta Głównego MO.

Wyrok zapadł w 1961 roku. Od chwili kiedy bandyci znaleźli się pod kluczem, minęło więc przeszło dwanaście lat. Akta sprawy „Macieja Grzegorzcyka i innych” kończyły się krótką notatką, że Sąd Najwyższy zmniejszył, karę „Staremu

Maciejowi” do lat piętnastu, zaś Leonowi Siwkowi do lat trzynastu, gdyż z ekspertyzy balistycznej wynikało, że zarówno milicjant, jak i przechodzień postrzeleni zostali z pistoletu Ciechanowieckiego. Siwek natomiast był nieco zamroczony ciosem butelką w głowę i strzelał tylko w górę. On też pierwszy poddał się i później wzywał swojego kompana, aby poszedł za jego przykładem i zaprzestał bezcelowej obrony. Jeśli chodzi o przywódcę bandy, poczytano mu za okoliczność łagodzącą, że podczas paru napadów, w których osobiście uczestniczył, nie pozwolił bić terroryzowanych bronią ofiar, a raz zwrócił złotą obrączkę, przez jednego z członków bandy ściągniętą z ręki pewnej staruszki, gospodyni księdza.

W aktach sprawy znajdowały się wszystkie dane personalne członków bandy wraz z aktualnymi w tamtym czasie ich adresami. Co się z tymi ludźmi dzieje dzisiaj? Po przeszło dwunastu latach? Chyba już wyszli z więzienia? Czy wrócili do swoich rodzinnych wiosek? Który z nich napisał tę kartkę do Krystyny Niemirowskiej? Skąd znał jej adres i wiedział, że bogata pani dyrektorowa to dawna ekspedientka ze sklepu spożywczego w Sokołowie Podlaskim, Krystyna Klamówna?

Który z tych ludzi tak się zapiekł w nienawiści, że po tylu latach przebytych w więzieniu zamiast się cieszyć odzyskaną wolnością i rozpocząć nowe życie, znowu wszystko postawił na jedną kartę, aby tylko nasycić uczucie zemsty?

Na te wszystkie pytania major Kaczanowski nie mógł znaleźć odpowiedzi w zakurzonych kartach milicyjnych, od dwunastu lat leżących w przepastnych archiwach. A ustalenie tych danych miało podstawowe znaczenie dla rozwiązania zasadniczej zagadki: Krystyna Niemirowska poniosła śmierć w falach Bałtyku, kąpiąc się w czasie sztormu, czy też została zamordowana?

Oficer milicji wiedział, że - po wyjaśnieniu tego pierwszego zagadnienia zdoła dowiedzieć się, w jaki sposób popełniono tę zbrodnię, poznać jej motyw i odnaleźć sprawcę. Znajdzie się także odpowiedź, dlaczego znikł dowód osobisty pięknej blondynki.

Pułkownik Niemirosch był w prawdziwym kłopotcie. Jak tu prosić Wojewódzką Komendę MO, aby poprzez podległe jej powiatowe komendy i posterunki wiejskie sprawdziła aktualne adresy tych jedenastu ludzi, którzy dwanaście lat temu zasiedli na ławie oskarżonych jako banda „Starego Macieja”? Jak umotywić taką prośbę, skoro nie ma podstaw do wszczęcia dochodzenia w sprawie śmierci Krystyny Niemirowskiej?.

W końcu jednak „stary”, jak zwykle, i tym razem uległ prośbie przyjaciela.

Miał zaufanie do tego wybijającego się ponad przeciętność oficera dochodzeniowego i bardziej wierzył w jego „nos”, niż kierował się przepisami.

Na szczęście październik dobiegał końca. W tym czasie milicja pracująca w terenie wiejskim ma stosunkowo mniej roboty. Ludzie są zajęci w polu, odstawiają plony, nie mają czasu na sobotnie potańcówki, wesela jeszcze się nie zaczęły. A największą zmorą trapiącą posterunki wiejskie to przecież bijatyki na zabawach i weseliskach.

Toteż już po kilku dniach zaczęły nadchodzić pierwsze informacje. Jeden z bandytów, odsiadujący karę w Więzieniu Mokotowskim, okazał wyjątkowe zdolności w dziedzinie poligrafii. W więziennej drukarni zdobył zawód zecera i po odcierpieniu wyroku łatwo znalazł pracę w pewnym warszawskim zakładzie. Miał stosunkowo mały wyrok, zaledwie siedem lat. Siedział coś około pięciu, więc od dawna był na wolności. Ożenił się, otrzymał spółdzielcze mieszkanie, ma dwoje dzieci i o dawnej przeszłości prawdopodobnie zapomniał. Ten człowiek na pewno nie pisał do Krystyny.

Dwóch przestępców pracowało w kopalni. Zatrudnieni przy urobku węgla, otrzymywali lepsze wyżywienie, płacę jak normalni górnicy, a także mogli liczyć na poważne skrócenie kary. Nie brakowało ochotników. Parobczaki z Podlasia to silne chłopaki, wyróżnili się i pod ziemią. Oni pierwsi zamieszkali w domach z oknami bez żelaznych firanek. Zostali na Śląsku i nadal pracują w kopalni, co prawda innej, niż kiedy odsiadawali wyrok. Także założyli własne rodziny, jeden z nich skończył technikum i właśnie rozpoczął studia zaoczne na wyższej uczelni.

Tych major Kaczanowski również wykreślił ze swojego rejestru.

Z pozostałych jeden pracował w Zakładach Bawełnianych w Zambrowie jako ślusarz maszynowy. I on na pewno nauczył się tego fachu za kratkami. Na wolności przebywał od pięciu lat i ani razu nie popadł w konflikt z prawem.

Nie tak pomyślnie potoczyły się losy dalszych trzech członków bandy. Jeden z nich już w ciągu tygodnia po wyjściu z więzienia włamał się w Zielonej Górze do sklepu włókienniczego. Ujęto go na gorącym uczynku.

Jako recydywista znowu zainkasował poważny wyrok. Z więzienia pocztówki do Krystyny Niemirowskiej nie mógł wysłać. Dwaj kolejni przestępcy po zwolnieniu skomunikowali się z koleżkami poznanymi w czasie odsiadywania wyroku i wspólnie postanowili zrealizować plany szybkiego wzbogacenia się opracowane w rozmowach „pod celą”. Ale to już inne czasy, szybszy i dużo lepszy aparat bezpieczeństwa niż w

tych latach, kiedy pod wodzą „Starego Macieja” zdobywało się sławę „mołojacką”. Wpadli zaraz przy pierwszym skoku.

Sam „Stary Maciej”, jak prawie każdy chłop odsiadujący więzienie, dzięki swojej pracowitości cieszył się dużą sympatią władz. Ostatnie lata odbywania kary spędził jako zatrudniony w dużej chlewni w gospodarstwie rolnym prowadzonym przez więziennictwo gdzieś pod Hławą. Także skorzystał z przedterminowego zwolnienia. Wpłynęło na to dobre zachowanie się i sukcesy w tuczeniu świń. Wrócił na gospodarkę, a zdobyte doświadczenia bardzo mu się przydały. Obecnie jest najlepszym w całej wsi specjalistą od trzody chlewnej. Już postawił chlewnię na sto tuczników i myśli o jej dalszej rozbudowie i mechanizacji. Z Funduszu Ziemi dokupił kilkanaście hektarów. Wprawdzie mieszka ciągle w chałupie krytej słomianą strzechą, ale nie ulega wątpliwości, że za parę lat, po spłaceniu pożyczek, weźmie się i za budowę domu. Już teraz uważają go za najbogatszego gospodarza w całej Prostyni. Niejeden to po cichu zazdrości, że i jego nie wsadzili swego czasu za kratkę, tak się dzisiaj „Staremu Maciejowi” znakomicie powodzi. Czy ten człowiek chciałby pisać pocztówkę i dochodzić zemsty na Krystynie Niemirowskiej, którą widział tylko na procesie? Leon Siwek, jeden z dwóch najbardziej przez Kaczanowskiego branych pod uwagę, opuścił więzienie przed dwoma laty. W domu witano jego powrót, jak „marnotrawnego syna”. Reszta dzieci starych Siwków wywędrowała za pracą do miasta. Córka została nauczycielką gdzieś w Olsztyńskim, najstarszy syn skończył politechnikę i pracował we Włocławku, drugi po technikum budowlanym znalazł zatrudnienie w Puławach Stare, spracowane ręce rodziców coraz trudniej dawały sobi-3 radę na ojcowiznie. Leona powitano jako dziedzica, który po ojcu ujmie rękojeść pług.

Czy o tym marzył przed dziesięcioma laty młody parobek? Trudno powiedzieć. Kiedy jednak przekraczał bramę więzienną, odprowadzany przez strażnika tradycyjnym „żegnaj i nigdy tu nie wracaj”, ten o dziesięć lat starszy człowiek nie miał wielkiego wyboru. Wyjątkowo źle znosił życie w zamknięciu. Nie potrafił się dostosować do tego rodzaju reżimu. Niczego się nie nauczył, nie zdobył żadnego fachu. Wrócił na wieś i gospodaruje razem ze starymi rodzicami. Nie przoduje; chociaż chyba nie jest najgorszym. Powoli podnosi gospodarstwo z upadku. Tam są ładne łąki, a więc rolnicy nastawiają się na produkcję mleka. Leon Siwek ma już sześć krów. Wiejski agronom uważa, że powinien przynajmniej podwoić tę ilość.

Były bandyta przez dwa lata siedział spokojnie na wsi. Miałyby nagle

przypomnieć sobie o Krystynie Klamównie i szukać na niej odwetu? Zdawał sobie sprawę z tego, że więzienie przybliżyła mu śmierć. Drugiego wyroku by nie przeżył. Czy był zdolny do podjęcia takiego ryzyka? Właśnie przed rokiem ożenił się z dziewczyną z sąsiedniej wsi. Dochowali się synka.

Ostatni meldunek pochodził z Komendy Powiatowej MO w Ostrowi Mazowieckiej. Komenda zawiadamiła, że mieszkaniec wsi Małkinia Górna, Mikołaj Ciechanowiecki, odsiadujący wyrok piętnastu lat więzienia, zostaje przedterminowo zwolniony. Tego rodzaju zawiadomienie dotarło do komendy z więzienia w Ełku, gdzie ostatnio Ciechanowiecki przebywał. Wychodzący na wolność miał obowiązek zaraz po powrocie do domu zameldować się w najbliższym posterunku milicji, czyli w Małkini. Chociaż termin zwolnienia Ciechanowieckiego określony był w piśmie naczelnika więzienia na dzień czternastego maja, aż do końca października były członek bandy tego obowiązku nie dopełnił.

Komendant posterunku w Małkini osobiście udał się do sąsiedniej wsi Małkinia Górna, gdzie stwierdził, że Mikołaj Ciechanowiecki nie zjawił się w miejscu zamieszkania i że jego rodzina nic nie wie o wypuszczeniu go na wolność.

Major Kaczanowski poważnie zastanowił się po przeczytaniu tego meldunku. Daty dziwnie się zgadzały. Ciechanowieckiego wypuszczono z więzienia w Ełku w połowie maja. Zanim ten człowiek odszukał ślady byłej pracowniczki sklepu w Sokołowie Podlaskim, musiało upłynąć trochę czasu. Dwa miesiące to wcale nie za długi termin uporania się z takim zadaniem. List, a właściwie widokówka z pogrózkami nadeszła, jak to twierdziła Krystyna Niemirowska w rozmowie z adwokatem Ruszyńskim, gdzieś w lipcu. I to pod koniec tego miesiąca, bo wkrótce potem, w połowie sierpnia, przerażona kobieta wyjechała do Międzyzdrojów.

Czyżby był więzień i tam ją odnalazł, aby dokonać dzieła zemsty?

On najbardziej mógł nienawidzić Krystyny Klamówny. Wskutek zeznań dziewczyny otrzymał, oczywiście po „Starym Macieju”, najwyższy wymiar ze wszystkich członków bandy. Klamówna wyraźnie zeznawała w śledztwie, że „ten wyższy z napastników zatrzymał się za rogiem ulicy i stamtąd strzelał celując do jadącego na rowerze plutonowego. Ten drugi uciekając strzelał w górę”. Po tych zeznaniach zarządzono ekspertyzę balistyczną pocisku wyjętego z rany milicjanta i porównano go z pociskiem wystrzelonym z pistoletu Ciechanowieckiego, co przygwoździło winę bandyty.

Dlaczego ten człowiek po wyjściu z więzienia nie skierował swoich

pierwszych na wolności kroków w stronę rodzinnego domu? Przecież cały czas posyłano mu paczki i pieniądze. Matka regularnie jeździła do więzienia. Mógł być pewny, że rodzina powita go bez niechęci. Zameldowanie w najbliższej placówce MO jest tylko formalnością. Leży ono w interesie samego więźnia, bo milicja stara się takiemu człowiekowi ułatwić powrót do normalnego życia. Wyszukuje pracę, pomaga w przezwyciężeniu niechęci społeczeństwa do tych, którzy wiele lat spędzili po drugiej stronie karty. Po zameldowaniu swojego powrotu z zakładu karnego były więzień ma pełną swobodę ruchów. Jeżeli chce, nikt mu nie zabrania wyjazdu i zmiany miejsca zamieszkania.

Każdy ze zwalnianych z więzienia jest o tym dokładnie informowany. Także i Ciechanowieckiego musiano odpowiednio pouczyć. Pomimo to były bandyta nie poświęcił nawet dwóch dni, aby przywitać się z tak dawno nie widzianymi bliskimi i dopełnić ciężącego nań obowiązku.

Dlaczego?

Czy nie dlatego, że ten człowiek przez dwanaście lat żył wyłącznie jedną pasją? Pasją natychmiastowej zemsty nad tą, którą uważał za sprawczynię wszystkich swoich nieszczęść. Nie mógł albo nie chciał zrozumieć, że jego poprzednia droga musiała go prędzej czy później zaprowadzić na ławę oskarżenia. Czy świadkiem była Klamówna, czy też ktoś inny, to nie miało większego znaczenia. Gdyby dziewczyna wtedy nie zdobyła się na bohaterski wyczyn, Ciechanowiecki nadal dokonywałby napadów z bronią w ręku. Może doszłoby do strzałów bardziej tragicznych w skutkach? A wówczas sąd orzekłby najwyższy wymiar kary.

Ale tego najwidoczniej Ciechanowiecki nie pojmował. On wiedział tylko, że obciążły go zeznania Krystyny i dlatego skazano go na piętnaście lat. Cekał na pierwszy dzień wolności, aby natychmiast przystąpić do realizowania planów odwetu. Nie chciał tracić ani jednej godziny. Nie chciał także, żeby jego cios spadł na niczego nie spodziewającą się ofiarę. Wolał, żeby kobieta, której przysiągł zemstę, przed śmiercią przeszła całe piekło strachu. Dlatego też wysłał z Sokołowa Podlaskiego tę pocztówkę z pozdrowieniami. Był pewien, że Krystyna Niemirowska odpowiednio ją zrozumie. I nie zawiódł się.

Trzeba - postanowił Kaczanowski - za wszelką cenę jak najszybciej znaleźć tego człowieka. Już raz był bandytą. Już raz byłby zabił z pełną premedytacją. Teraz może zabijać, aby żyć. Nie ma nic do stracenia. Trzeba temu zapobiec.

Janusz Kaczanowski włożył raport Komendy Powiatowej z Ostrowi



Mazowieckiej do teczki, gdzie gromadził swoje zapiski i notatki w sprawie śmierci Krystyny Niemirowskiej i poszedł z tymi dokumentami do zwierzchnika. Szczegółowo zrelacjonował mu przeczytane materiały i uzupełnił własnymi wnioskami.

- Obecnie - powiedział - nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że Niemirowska zamordowano, a mordercą jest prawdopodobnie Mikołaj Ciechanowiecki. Uważam za konieczne wznowienie dochodzenia i rozesłanie listów gończych za przestępcą.

- Nie jestem tego taki pewny - sprzeciwił się pułkownik Niemirow. - Przyznaję jednak, że poszlaki, jakie zdobyłeś, są poważne. Ale powód zniknięcia tego człowieka mógł być zupełnie inny.

- Jaki?

- Chociażby wstyd. Nie zapominaj, że w Małkini Górnej żyje nie tylko rodzina Ciechanowieckiego. Mógł tam mieć dziewczynę, która nie czekała dwanaście lat na najdroższego i potępiła bandyckie wyczyny swojego chłopca. Są tam też inni gospodarze. A niedaleko, bo zaledwie o trzy kilometry, znajduje się Małkinia, HJuże osiedle ze stacją kolejową i sporym zakładem przemysłowym. W małym środowisku wszyscy wszystkich znają. Może Ciechanowiecki nie miał odwagi spojrzeć tym ludziom w oczy? Wolał zniknąć bez śladu.

- Ja się męczę, poświęcam tej sprawie każdą chwilę wolnego czasu, a ty, mój zwierzchnik, ciągle mnie zniechęcasz - oburzył się major.

- Nie zniechęcam. Przeciwnie, staram się pomóc w miarę moich możliwości. Ale muszę patrzeć na tę historię bez osobistego zaangażowania. Dostrzec wszystkie „pro” i wszystkie „contra”.

- Więc co mam robić?

- Poszukać tego Ciechanowieckiego i porozmawiać z nim. Ale zrobić to możliwie jak najdyskretniej. Bez rozpisywania listów gończych. Sprawdź najpierw, czy ten człowiek nie jest - gdzieś zupełnie legalnie zameldowany. Jeżeli nie, to dopiero wtenczas poprosimy Komendę Główną MO, aby zarządziła odszukanie go poprzez nasze placówki w całym kraju. A gdyby i to nie dało rezultatu, dopiero wtedy pomyślimy o liście gończym.

- To będzie długo trwało - oponował Kaczanowski.

- Mamy czas. Nie pali się. Nie zaniedbuj także zbierania innych dowodów. To, co mi przynosisz, nadal nie upoważnia mnie do oficjalnego wznowienia

dochodzenia. Lepiej stracić jeszcze jeden czy dwa miesiące i zdobyć pewność, niż narazić wielu ludzi na niepotrzebną robotę, wyrządzić komuś krzywdę niesprawiedliwymi podejrzeniami i w efekcie skompromitować zarówno siebie, jak i swojego zwierzchnika. Gdybyś był na moim miejscu, rozumowałbyś tak samo.

Chcąc nie chcąc, major Kaczanowski musiał się pogodzić ze stanowiskiem zajęтым przez pułkownika. Wiedział, że z nich dwóch przyjaciel jest i starszy, i bardziej doświadczony, a także działający z większą rozwagą. Wada Janusza, a była nią jego zapalczywość, nieraz dużo go kosztowała. A w pracy dochodzeniowej tego nie wolno. Pułkownik Adam Niemirowicz był tym hamulcem, dzięki któremu dwaj przyjaciele odnosili w swej pracy tak wiele sukcesów.

I tym razem pułkownik miał rację.

Na trzeci dzień Kaczanowski otrzymał odpowiedź z Centralnego Biura Adresowego, że Mikołaj Ciechanowiecki jest zameldowany w Szczecinie. Pracuje jako kelner u prywatnego agenta, prowadzącego bufet na kortach tenisowych.

Jedno połączenie telefoniczne ze Szczecinem wystarczyło również do ustalenia, że ten sam agent prowadził w czasie sezonu restaurację w Międzyzdrojach. Tę samą restaurację, w której doszedł do skutku zakład między pułkownikiem Adamikiem i majorem Kaczanowskim. Tam na parkiecie tańczyła piękna blondyna. Być może, że ten stolik obsługiwany był przez kelnera Mikołaja Ciechanowieckiego? Może pryncypał właśnie jego zabrał ze sobą do Międzyzdrojów?

Oficera milicji zaskoczyły te wiadomości. Nie spodziewał się takiego i tak szybkiego zakończenia sprawy. Tym razem i pułkownik Niemirowicz nie miał żadnych zastrzeżeń co do dalszego działania. Wprawdzie jeszcze się wstrzymał ze wznowieniem dochodzenia, jednakże polecił majorowi Kaczanowskiemu udać się do Szczecina i za pośrednictwem Komendy Wojewódzkiej przesłuchać Ciechanowieckiego. O dalszych losach tego człowieka miała zadecydować Komenda Szczecińska. To ona przecież prowadziła sprawę śmierci Niemirowskiej.

## **Rozdział VIII**

### **Porażka mecenasa Ruszyńskiego**

Majorowi Januszowi Kaczanowskiemu nie od razu udało się wyjechać do Szczecina. Inne ważne sprawy zatrzymywały go w Warszawie. Toteż kiedy adwokat Mieczysław Ruszyński w dwa dni później zatelefonował do Pałacu Mostowskich, zastał tam oficera milicji.

- Mam ogromnie ważne wiadomości - zakomunikował mecenas. - Wprost rewelacyjne! Chciałbym się zobaczyć z panem majorem.

- Chętnie. Kiedy i gdzie?

- Jutro mam termin w Sądzie Wojewódzkim o dziewiątej. Przypuszczam, że około jedenastej będę wolny. Może w południe wpadłbym do pana majora?

- Proszę bardzo. Przy wejściu będą uprzedzeni.

Brakowało piętnastu minut do dwunastej, kiedy adwokat zjawił się w pokoju Kaczanowskiego. Wyczuwało się, że Ruszyński jest z siebie zadowolony.

- Mam dla pana bombę - powiedział po powitaniach. - Prawdziwą bombę!

- Żeby nie okazała się niewypałem.

- Na pewno nie. Sądzę, że informacje, które zdobyłem, przydadzą się panu.

Ruszę sprawę z martwego punktu.

- Pan mnie coraz bardziej zaciekawia.

- Po naszej ostatniej rozmowie - ciągnął Ruszyński - pomyślałem sobie, że wam, milicji, trudno zdobyć różne szczegóły. Chłop, jakikolwiek by był, władzy nie ufa. Podejrzewa jakiś podstęp w każdym najbardziej niewinnym pytaniu. A im większa władza, tym większa nieufność. Nie jestem pewien, czyby chcieli gadać z majorem z Warszawy Tłumaczyliby, że o niczym nie wiedzą, niczego nie pamiętają.

- Nie jest chyba tak źle?

- Ja ich lepiej znam. Mam przecież klientów ze wsi. Chłop nawet adwokatowi nie ufa.

- Temu się nie dziwię - mruknął Kaczanowski. Miecio, który już wpadł w trans i śpieszył się do pochwalenia swoimi sukcesami, nie zwrócił uwagi na ironię.

- Mam w Sokołowie Podlaskim zaprzyjaźnionego adwokata. Jak pan wie, pisałem do niego, ale jakoś długo nie odpisywał, więc w niedzielę wsiadłem do samochodu i pojechałem do niego. Taki prowincjonalny adwokat to nieocenione źródło informacji o wszystkim, co dzieje się w okolicy. Doskonale pamiętał proces bandytów z tamtych lat. Bronił przecież ich przywódcy, Macieja Grzegorzycy. Do dziś dnia jest dumny, że zdołał mu w Sądzie Najwyższym zmienić dożywocie na piętnaście lat więzienia. Jedyny wyrok w tym procesie, który został zmieniony.

Kaczanowski nie przerywał.

- Mój przyjaciel - opowiadał Miecio -, nie tylko zachował akta z procesu, ale także prowadził rodzinom członków bandy i inne najrozmaitsze sprawy. Adwokat na prowincji, podobnie jak lekarz, musi być „omnibusem”. Dlatego mecenas z Sokołowa

mógł śledzić i dalsze losy oskarżonych. Kiedy mu opowiedziałem o tajemni czym utonięciu w Bałtyku byłego świadka oskarżenia, Krystyny Klamówny-Niemirowskiej, od razu jego podejrzenia skierowały się na dwóch ludzi, których zeznania tej dziewczyny najbardziej obciążły.

Tu adwokat sięgnął do swojej żółtej, starej i bardzo zniszczonej teczki i po wydobyciu z niej kartki papieru, odczytał z tryumfem:

- Leon Siwek ze wsi Wolka Sokołowska i Mikołaj Ciechanowiecki ze wsi Małkinia Górna. To już z drugiej strony Bugu, w powiecie Ostrów Mazowiecka - dodał objaśniające - Niech pan, majorze, zapisze sobie te dwa adresy.

- Ciekawe - przyznał Kaczanowski, lecz nie sięgnął po leżący na stole długopis.

- Wszyscy członkowie bandy są już na wolności. A co do Siwka, jest on nadal klientem mojego przyjaciela. Stara się o kupienie paru hektarów z Funduszu Ziemi. Potrzebna mu jest także pożyczka, dwieście tysięcy złotych, na budowę nowej obory. Jak pan wie, majorze, teraz wieś inwestuje głównie w hodowlę. A chłop nie ma czasu wszystkiego samemu dopatrzeć w powiecie. Ci adwokaci z małych miast zarabiają więcej niż my w stolicy i wcale się nie przemęczają. Niejeden ciężką forszę zbija.

- To pan mecenas przenosi się na prowincję? Miecio spojrzal na Kaczanowskiego jak na wariata.

- Ja nie.

- Myślałem - niewinnie tłumaczył Janusz - że skoro tam tak dobrze, a z takiego, na przykład, Sokołowa można samochodem raz na miesiąc doskoczyć do stolicy.

- No wie pan! - oburzył się adwokat. - Ja jestem skromnym człowiekiem. Nie gonię za pieniędzmi. Co mam, w zupełności mi wystarcza. Charakteryzowałem sytuację. Ale naturalnie niejeden, co w Warszawie z wielkim trudem koniec z końcem wiąże albo liczy na kolegów, że mu jakąś sprawę podrzucą, powinien tak zrobić. Nie o tym jednak chciałem mówić. Dość, że mój przyjaciel dobrze zna Leona Siwka. To porządny chłopina. Przystał do bandziorów, bo go koleżka namówił, swoje odsiedział i teraz gospodaruje na rodzinnym zagonie. Dwaj bracia inżynierowie, siostra profesorka, gdzie mu dzisiaj myśleć o zemście. On kombinuje, jak by tu te dwieście tysięcy pożyczyc z banku i dostać materiały budowlane na swoją oborę.

I tym razem Kaczanowski nie zabrał głosu. - Pojechaliśmy więc do Macieja Grzegorzycy, czyli dawnego „Starego Macieja”. Mówię panu - Miecio podniecał się

własnymi słowami - jak tym chłopom się teraz powodzi! Przed wojną dziedzic na kilkunastu włókach tak się miał. U Macieja w chlewie przeszło sto wieprzy czeka na rzeźnika. To gruby grosz. Chałupa wprawdzie stara, ale meble na wysoki połysk. A telewizor największy, jaki można kupić. Ciągnik i Żuk na podwórzu. A jak gospodarz otworzył szafę, aż mi oko zbiegło na widok tych trunków. Wszystkie z PKO. Podobno jakiś handlarz kupuje w Warszawie w PKO i całymi skrzynkami wozi alkohole na wieś, prosto pod strzechę. Co za wiejską, suszoną kielbasę dał nam Maciej na zakąskę. Na gorąco okonki na masełku prosto z patelni. Zaś kaszanka jaka! Takiej nawet w tym słynnym sklepie na Wiejskiej nie było. A przecież tam dostarczali specjalne wyroby na specjalne podniebienie.

- To pan mecenas tak samochodem i u Macieja wódeczkę się pociągało?

- Serca bym nie miał odmówić. Całe szczęście, że córka z mężem także się ze mną wybrali... Jakoś uprosiłem zięcia, żeby wytrwał w abstynencji. A jakie dziewczyny w tej Prostyni, jak łanie! Wystrojone, kiecki noszą takie mini-mini, że warszawianki krępowwałyby się coś takiego włożyć.

- Ale same blondynki - podpowiedział Janusz. - Rudych nie ma.

- Rudych nie ma - przyznał Miecio. - Jest jednak O co wzrok oprzeć. Może mi pan wierzyć, majorze. Daję panu okazję, pod pozorem przesłuchania Macieja Grzegorzcyka warto zajrzeć do tej Prostyni.

- I cóż Maciej? - Kaczanowski usiłował skierować uwagę adwokata na bardziej rzeczowe tory.

- Maciej rozgadał się przy nas szczerze. Wcale nie żałuje, że przesiedział tyle lat w więzieniu. Nauczyli go tam i rozumu, i rolnictwa. Kiedy mu nasz przyjaciel opowiedział o śmierci Klamówny, aż się chłop za głowę złapał. „Nic, tylko ten łobuz Mikołaj to zrobił - powiedział. - Nikt inny, bo i po co? To jemu wtenczas zachciało się sklep w Sokołowie oporządzić. Jak gdyby go było nie stać na kupno litra wódki. Trzy dni przedtem wzięliśmy u tego plebana siedemdziesiąt trzy tysiące samej gotówki. Mało było łobuzowi i Pan Bóg go słusznie skarał. A my niewinni razem z nim poszliśmy do ciurmy. Ja tam nic przeciwko tej Klamównie nie mam. Świeć, Panie Boże, nad jej duszą. Ale Mikołaj był zacięty jak ten zwierz. Ani chybi pomsty dokonał. A niech go złapią i oddadzą katu Wiśniewskiemu. Ja go żałować nie będę. Kiedy go wypuścili na wolność, nawet mi się nie zameldował. A przecież byłem dla nich jak ten ojciec. Dzieliłem sprawiedliwie po równo dla każdego. Sobie nie illwzięłem więcej ani złotówki. Bóg mi świadkiem, że nie łżę. Taka to dziś

wdzięczność ludzka. A on nie pokazał się człowiekowi na oczy. Mieszkamy przecież niedaleko. On zaraz z tamtej strony Bugu. Dawniej było trudniej się przedostać, ale już trzy lata, jak nowy most w Treblince stoi, że i wozem czy samochodem można przejechać”. Chłopina tak był rozsierdzony na Ciechanowieckiego, że sam zaraz chciał jechać na milicję i zeznania składać.

- No to - wtrącił major - musieliście tam dobrze wypić tej pekaowskiej wody.

- Wypić to się wypilo, ale korzystając z nowego mostu pojechaliśmy do Małkini. Co to za dziwoląg, majorze, wybudowali. Samochody nie mogą się minąć na tym moście. Jeden musi czekać, aż drugi przejedzie. I jeszcze na tym moście tor kolejowy ułożono. Kiedy pociąg nadchodzi, cały ruch kołowy staje. Co to za geniusz wymyślił? Kiedy tamtędy przejeżdżają zaprzęgi, to konie w głos się śmieją... A proboszcz w Małkini to także dobry znajomy mojego przyjaciela.

- Znowu była wódeczka z PKO?

- Nie, ale stara, dobrze sklarowana śliwowica. Chyba pięcioletnia, bo proboszczunio ma piękny sad, chociaż trochę zapuszczony. Skarżył się, nieborak, że od czasu, kiedy w Małkini fabrykę budują, za największe pieniądze nie można znaleźć kogoś do pracy. Co prawda przypuszczam, że zacny pleban niezbyt skory do wyciągania złotych z kieszeni i wolałby to załatwić za „Bóg zapłać”. Takiemu proboszczowi też dobrze. Żyje w Małkini jak król. Parafia duża, ludek pobożny. Nic, tylko strzyc owieczki, jak Pismo święte przykazuje.

- Mecenasowi świetnie byłoby w sutannie - wtrącił Janusz.

Rzeczywiście, mecenas Ruszyński nie był zbyt wysoki, za to dość korpułetnej postury. Okrągła twarz, opalona raczej na czerwono, siwe włosy. Dać mu sutannę, a wypisz, wymaluj, postać wielebnego proboszcza albo i dziekana.

- Gdybym nie był ateistą, to ze względu na mój skromny i pełen cnoty sposób życia nadawałbym się do stanu duchownego - przyznał Miecio.

- Co by te dziewczyny bez mecenasa robiły? - roześmiał się major. - Właśnie niedawno widziałem pana z jakąś nową flamą.

- Którą? - ożywił się Miecio. - Taką rudą z zadartym noskiem?

- Nie. Szatynka, ale zgrabna i żywa jak srebro. A jak się wdzięczyła do mecenasa. Zazdrość mnie brała. My, młodzi, jeszcze wiele możemy się nauczyć od starej gwardii.

- Nie taka znowu stara - oburzył się Ruszyński. - A i major także nie młodzieniaszek, sądząc po skroniach. A poza tym ta dziewczyna to córka mojej

dobrej, dawnej znajomej. Czasem mnie odwiedza i nazywa „tatkim”.

- I cóż ten proboszczunio od starej śliwowicy?

- Właśnie! Major mi ciągle przerywa, że skończyć nie mogę, a zostało mi na koniec najważniejsze. Otóż pleban mieszka w Małkini ze dwadzieścia lat. Małkinia Górna należy do jego parafii, bo tam nawet kaplicy nie ma, a i wieś jest nieduża. Przy szosie do Ostrowi Mazowieckiej. Proboszcz dobrze zna tamtejszych mieszkańców. Tego Mikołaja Ciechanowieckiego od szczeniaka. Zawsze był niesfornym chłopakiem. Nie chciał służyć do mszy świętej, a kiedy ksiądz go za uszy wytargał, bo się nie nauczył lekcji religii, to potem ktoś w kancelarii kościelnej wybił kamieniem szybę. Mściwy był od maleńkiego.

- Widocznie i na starość się nie zmienił.

- Na pewno. Co ciekawsze, z więzienia Ciechanowieckiego wypuścili gdzieś w maju. Przyjechał z Białegostoku wieczornym pociągiem, nie wyszedł normalnie ze stacji na ulicę, lecz przeskoczył przez tory i dróżką koło księżowskiego sadu, a później wzdłuż cmentarza, pognął na przełaj do Małkini Górnej. Proboszcz go zauważył i poznał, bo akurat wyszedł z plebanii, gdyż ma zagon gruntu przy cmentarzu, posiał tam koniczynę i wolał popatrzeć, czy mu sąsiedzi koni nie wypasają, korzystając z zapadającego zmroku. Mówił ksiądz, że Mikołaj przed nim czapki nie uchylił i nie pozdrowił „Niech będzie pochwalony!”, a wbił oczy w ziemię i jak wilk przemknął obok. Na drugi dzień już go nikt w obu Małkiniach nie widział. Rodzice się zapierają, że ich odwiedził. W tym coś musi być.

- Możliwe - przyznał major.

- Listonosz mówił księdzu, że dawniej nosił do Górnej Małkini do starych Ciechanowieckich listy ze stemplami różnych więzień. Mikołaja przerzucali z jednego do drugiego. Chyba całą Polskę zjeździł. Dobry musiał być z niego numer, że go naczelnicy jak w sztafecie sobie podawali. A choć tyle miesięcy upłynęło, nadal nie dał znaku życia. Podobno matka płacze ze zgrzyoty. A mówiła, że szczególnie w pierwszych latach po wyroku Mikołaj strasznie się tej Klamównie odgrażał. Ksiądz proboszcz pouczał starą Ciechanowiecką, że powinna na syna wpłynąć, aby dziewczynie po chrześcijańsku odpuścił. Ale czy taki nicpoń posłucha dobrej rady?

- Wątpię.

- Myślę, majorze - Miecio dumnie potoczył oczyma - że zasłużyłem na pańską pochwałę i spisałem się gracko.

- Oczywiście - przytaknął oficer milicji.

- Teraz pan major rozpisze listy gończe. Człowiek nie szpilka. W stogu siana się nie schowa. Capniemy więc faceta w ciągu krótkiego czasu. A jak go dostaniecie w swoje ręczki, nie chciałbym być w jego skórze. Wyśpiewa wam wszystko od „a” do „z”.

- Tak pan sądzi?

- Nie wątpię. Znam przecież majora nie od dziś i byłem nieraz świadkiem pana sukcesów. Wprawdzie czasami i ja jakąś cegielkę dołożyłem, jak choćby i w tej chwili...

- Milicja w pełni docenia zasługi pana mecenasa - szybko zapewnił Kaczanowski.

- Cieszę mnie zatem, że tę sprawę właściwie mamy z głowy. Jestem przekonany, że pułkownik Niemiroch zgodzi się rozpisać listy gończe.

- Nie będziemy rozsyłać listów gończych.

- Dlaczego?

- Mecenas tak się starał, aby mi pomóc, że ja postanowiłem mu się odwdzińczyć. Może więc i pan zanotuje jeden adres.

- Jaki? - adwokat był bardzo zdziwiony.

- Następujący - teraz major, otworzył szufladę i wyciągnął z niej szarą teczkę, aby z wyjętej z niej kartki podyktować: Mikołaj Ciechanowiecki, zameldowany i zamieszkały w Szczecinie, ulica Wojska Polskiego 176. Mieszka u Jadwigi Pozniak, młodej wdowy z czteroletnią córeczką. Mąż Jadwigi zmarł przed trzema laty, bodaj na gripę. Ciechanowiecki pracuje jako kelner w bufecie na kortach tenisowych, prowadzonym przez ajenta, niejakiego Karola Warkowskiego.

W tym momencie adwokat nie miał zbyt mądrej miny.

- Powiem panu ponadto - Kaczanowski był bezlitosny dla przeciwnika - że Mikołaj Ciechanowiecki przez cały ubiegły letni sezon pracował w Międzyzdrojach, bo jego pracodawca tam prowadził restaurację. Co zaś do Leona Siwka, bank przyznał mu nie dwieście, lecz dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Maciej Grzegorzczak ma chlewnię na dziewięćdziesiąt sztuk trzody chlewnej. Dopiero po planowanej rozbudowie będzie mógł przekroczyć setkę. Nie wszyscy członkowie bandy są na wolności. Trzech z nich znowu popadło w konflikt z kodeksem karnym i zostało „uziemionych” na dalsze lata. To już zawodowi przestępcy, którzy resztę swojego życia spędzą, z małymi przerwami, za kratą. Jeżeli mecenas, ze względu na teoretyczne studia nad recydywą, interesuje, mogę podać nazwiska tych bandziorów,



daty popełnienia nowych przestępstw, daty i numery spraw sądowych oraz w jakich obecnie zakładach karnych odsiadują nowe wyroki.

- Wy to wszystko już wiecie! - w głosie Mięcia obok podziwu brzmiał i wielki zawód. Nie tak sobie mecenas wyobrażał rozmowę z oficerem milicji.

- Drogi mecenasie, nawet ślepa kura czasami znajdzie ziarno. Nic więc dziwnego, że i nam z milicji od czasu do czasu coś się uda.

- A ja tak się starałem - jęknął adwokat.

- Mecenasie, czy naprawdę adwokaci nie mogą nam, milicjantom, zostawić dochodzenia? Gdyby pan miał do mnie większe zaufanie i zatelefonował przed wyjazdem do Sokołowa, powiedział o swoich projektach, poinformowałbym pana, czym już dysponujemy. Może nawet prosiłbym o wyjaśnienie pewnych szczegółów, co do których informacje zebrane przez milicję w terenie nie były zbyt ściśle lub mało wyczerpujące. Pan jednak ciągle mi nie ufa. A szkoda! Ostatecznie nic pan nie stracił na tej przejażdżce do Sokołowa Podlaskiego. Odwiedził pan przyjaciela, poznał przy okazji paru interesujących ludzi, zobaczył dzisiejszą wieś, już nie wspominając o tej wiejskiej kiełbasie i karaskach w śmietanie.

- Okonki na masełku! - Ruszyński jako prawnik był ścisły w drobiazgach.

- Adwokatom to dobrze. Jakże nieraz chciałbym być jednym z nich. Nie musiałbym wtedy prowadzić różnych dochodzeń. Szkoda, że niektórzy tego nie rozumieją. A tymczasem muszę jutro lecieć do Szczecina na rozmowę z Mikołajem Ciechanowieckim. Na ochotnika tego nie robię. Kiedy wrócę, jeśli to mecenas będzie interesowało, chętnie podzielę się z panem rezultatami podróży.

Biedny Mićcio coś bąknął na pożegnanie i wycofał się jak niepyszny. A tyle sobie obiecywał po wizycie w Pałacu Mostowskich.

Za to Janusz wpadł w doskonały humor. Dał nauczkę „temu zarozumiałemu prawnikowi”. Chyba Ruszyński przestanie wchodzić mu w drogę. Przynajmniej w sprawie Krystyny Niemirowskiej, a jej historia jutro, najpóźniej pojutrze znajdzie swój epilog: morderca zostanie ujęty.

Pełen optymizmu major Kaczanowski złożył znajdujące się na biurku dokumenty i zamknął je w stalowej szafie. Wyjątkowo z siebie zadowolony opuścił Pałac Mostowskich. Wyobrażał sobie te pochwały, jakie go na pewno nie ominą, kiedy z nowym sukcesem wróci znad Odry.

Był w tak dobrym nastroju, że teraz, kiedy szedł ulicą w stronę przystanku tramwajowego, zrobiło mu się trochę żal adwokata. Może rzeczywiście potraktował

chlubę warszawskiej palestry zbyt ostro i kpinę posunął ciut za daleko? Jednakże Ruszyński sam sobie winien. Kto go prosił, żeby prowadził prywatne dochodzenie?

## **Rozdział IX**

### **Kelner czy morderca?**

Jak na początek listopada, pogoda była bardzo ładna i lot do Szczecina przebiegał bez żadnych zakłóceń i przygód. Samolot posuwał się bez „dziur”, równo jak po stole.

Kiedy major Janusz Kaczanowski wysiadł z samolotu na szczecińskim lotnisku, zastał tam wiadomość dla siebie. Major Waclaw Rochacz zawiadamiał przyjaciela, że wbrew poprzedniej umowie nie może czekać w Komendzie Wojewódzkiej, bo wypadł mu nagły wyjazd w teren. Wróci najwcześniej około trzeciej po południu.

Do tego terminu pozostawało sporo czasu i Janusz, nie mając na razie nic do roboty, wstąpił do „Samu” przy Krzywoustego.

Krysia Cegiełek, widząc takiego gościa, z radości się zaczerwieniła. Nie spodziewała się, że znowu ujrzy mężczyznę, dla którego, dziewczyna doskonale to wyczuwała, była drobnym epizodem.

- Przed chwilą przyjechałem i zjawiam się tutaj stęskniony prosto z lotniska - Kaczanowski, wobec spojrzeń ciekawskich koleżanek Krysi, tylko uścisnął, jej rękę.

Odeszli w głąb sklepu.

- Tak się cieszę, że cię widzę - dziewczyna mówiła to zupełnie szczerze. - Bałam się, że już nigdy się nie zobaczymy.

- Przecież mówiłem, że wkrótce się zjawię.

- Tak mówisz każdej.

- Jak możesz tak przypuszczać!

- Jeżeli chcesz, to zwolnię się u kierowniczkę na cały dzień.

- Niestety, o trzeciej mam konferencję i nie wiem, jak długo się przeciągnie.

Nawet trudno mi umówić się z tobą na wieczór. Nie wiem też, czy zostanę na dłużej, czy też będę musiał wracać nocnym pociągiem. Dlatego nie zamawiałem hotelu. W ogóle nic nie wiem.

Krysia posmutniała.

- Hotelu nie zamawiaj. Koleżanka wyjechała na trzy dni do rodziny. Jestem sama. Będę czekała. Przyjdź choć na chwilę. Kiedy będziesz mógł.

- Sąsiedzi zobaczą i narobią plotek. Zasmarują ci opinię. Może lepiej, żebyśmy się spotkali w kawiarni orbisowskiej. Kto pierwszy przyjdzie, ten czeka na drugiego. A jeśli nie będę musiał wracać do Warszawy dzisiejszego wieczoru, postaram się zdobyć pokój w hotelu.

- Co mi tam sąsiedzi! Niech mnie obszczekują. Nie chcę siedzieć w kawiarni i jedynie patrzeć na ciebie. Tak się stęskniłam i tak się cieszę, że przyszedłeś. Będę w domu. Proszę, przyjdź. A teraz już idź, a po drodze włóż coś do koszyeczka.

Janusz opuścił sklep z paczką makaronu. Po przejściu kilkudziesięciu metrów rozejrzał się dokoła. Nikt nie zwracał na niego uwagi, więc makaron powędrował do ulicznego kosza na śmieci.

Oficer milicji miał pewne wyrzuty sumienia, czy ten flircik z Krysią Cegiełek nie posuwa się za daleko. Dziewczyna zaczyna traktować tę znajomość zbyt poważnie. Starał się usprawiedliwić swoje postępowanie. Przecież to nie jego wina, że Rochacz musiał wyjechać. A zdobyć pokój w szczecińskich hotelach jest sztuką. Zaś obowiązki służbowe zmuszają majora do pozostania w portowym mieście przynajmniej do jutra. Musi gdzieś spać...

Zadowolony ze zwycięstwa nad przekornym sumieniem, które jednak ciągle nie dawało za wygrane, Kaczanowski wszedł do gmachu Komendy Wojewódzkiej MO. Major Rochacz już na niego czekał.

- Znowu w sprawie topielicy? - powitał przyjaciela.

- Znowu.

- Pamiętałem o tym. Muszę cię zmartwić. Ani dowód, ani zegarek nie znalazły się. Nie znaleziono też zwłok. Na całym wybrzeżu Bałtyku w ciągu ostatnich miesięcy morze nie wyrzuciło żadnych niezidentyfikowanych zwłok kobiecych. Mamy dane ze wszystkich krajów nadbałtyckich. Zupełny kłops.

- Nie taki zupełny, bo ja mam mordercę.

- Co ty mówisz?! To jednak morderstwo? Aż mi trudno w to uwierzyć.

Szukaliście jakiegoś Ciechanowieckiego. Czy o niego ci chodzi?

- Właśnie w jego sprawie tu się znalazłem.

- Czy ty się, Janusz, nie mylisz? Sprawdzaliśmy. To prosty człowiek. Wiejski chłopak gdzieś znad Bugu. Wprawdzie przyplątał się do jakiejś grupy bandyckiej, ale kilka ładnych lat za to odsiedział. Wypuścili go zaledwie pół roku temu. Jak widzisz, dobrze dla was pracujemy. Co ten człowiek może mieć wspólnego ze śmiercią wytwornej pani, żony potężnego dyrektora z Warszawy?

- A to, że między innymi wskutek jej zeznań zapieklowali go na piętnaście lat do mamra - Kaczanowski opowiedział całą historię bandy „Starego Macieja” i roli, jaką Krystyna Klamówna odegrała przy jej likwidacji. Wacław Rochacz za głowę się złapał:

- No wiesz, co za historia! Jak ze starego romansu płaszczka i szpady. Bandyta i piękna dziewczyna, która go unieszkodliwia, a on po latach dokonuje krwawej pomsty. Nie przypuszczałem, że takie rzeczy dzieją się naprawdę.

- A jednak się zdarzają.

- To co? Wznowiliście nasze dochodzenie i przywiozłeś nakaz prokuratora na zatrzymanie Mikołaja Ciechanowieckiego? Chcesz go jutro zabrać do Warszawy? Masz konwojentów czy też liczysz na naszą w tym pomoc?

- Ani nie mam nakazu prokuratorskiego, ani nie wznowiliśmy dochodzenia.

- W takim razie o co chodzi?

- Nie znasz Adama? Nie wiesz, jaki jest ostrożny? Prędzej żabę połknij, nim podpisze taki wniosek. Wysłuchał mojego raportu i mówi: „Nie widzę przekonujących dowodów”.

- Jednak musiałeś go przekonać, skoro przyjechałeś.

- Niemirosch powiedział mi, że mogę jechać do Szczecina, aby razem z wami „porozmawiać” z Ciechanowieckim. A potem macie się zastanowić, co z tym fantem dalej robić.

Rochacz szczerze się roześmiał.

- No wiesz, ten wasz „stary” głupi nie jest. Muszę mu to przyznać. Bardzo zręcznie odbił tę piłeczkę. W sam róg naszego stołu. Jeśli się uda i Niemirowska naprawdę została zamordowana, to nie pozostanie nam nic innego, jak przesłać wam mordercę. Jeśli nawet będą go sądzić tutaj, to i tak całą zasługę za jego ujęcie zgarnie Warszawa. A jeżeli numer nie przejdzie, to niepowodzenie obciąży tych ze Szczecina.

- Mniej więcej tak to jest - przyznał Kaczanowski. - Niemiroschowi zresztą na pewno nie chodziło o to, aby przypiąć łatkę Szczecinowi.

- Tak czy owak, on zawsze wyjdzie bez szwanku. Spryciarz.

- Adam nie jest złym chłopem. Złe go sądzisz - Kaczanowski bronił zwierzchnika. - Ale aż do przesady skrupulatny. Ma po prostu bzika, - że milicji nie wolno człowieka skrzywdzić. Największego bandziora gotów jest traktować jak równego sobie. Jeżeli nie ma żelaznych dowodów, nie zgodzi się na zatrzymanie kogoś choćby na czterdzieści osiem godzin. Twierdzi, że niesłuszny areszt może

komuś wyrządzić szkodę większą niż pożar. Takie sprawy ciągną się później za człowiekiem całe życie. Tyle lat kieruje naszym wydziałem i chyba nie mieliśmy ani jednego wypadku, żeby później sąd nam uniewinnił „klienta”.

- W tym, co mówisz, jest niewątpliwie dużo racji, ale czasem taki szef może człowiekowi życie obrzydzić.

- I to jak - zgodził się Janusz. - O sprawę Niemirowskiej o mało się nie pobiliśmy. Nie zgodził się na oficjalne wznowienie dochodzenia. I to teraz, kiedy wszystko jest zasadniczo jasne.

- Dzisiaj jest już za późno na zabieranie się do roboty. Jutro z samego rana zdejmujemy twojego pasażera - zaproponował Rochacz. - Może w czasie rewizji znajdziemy ten zegarek, a może i jakąś broń. Załatwię zgodę prokuratora na przeszukanie. Tak się przyzwyczyłem do starych terminów, że to „przeszukanie” ciągle mi przez gardło przejść nie chce. I trzeba ci jakiś hotel wykombinować. Obawiam się, że będą trudności. Wszystkie rezerwy na pewno zajęte. No, ale nie martw się, możesz u mnie przekimnąć na amerykańce. Zona się ucieszy, że nadarzy się okazja porozmawiać z kimś ze stolicy. A my także spokojnie pogadamy nie tylko o zbrodniach i mordercach. Zaraz uprzedzę Jasię, że będziemy mieli gości.

- Dziękuję ci, chłopie, ale mam tu w Szczecinie ciotkę. Nigdy nie mam czasu odwiedzić staruszki i umówiłem się, że przenocuję u niej. Głupio, byłoby się wycofywać. Gotowa byłaby pomyśleć, że poleciałem za jakąś dziewczyną.

- No jeśli tak, to się mówi trudno. Pogadamy innym razem. O której zjawisz się tu jutro?

- Jak ci wygodniej. O ósmej?

- Za wcześniej - medytował Rochacz. - Ciechanowieckiego zdejmujemy o szóstej. Niech kilka godzin posiedzi na dole i trochę się podenerwuje. Będzie bardziej miękki w czasie przesłuchania. Chociaż taki bandzior, co przesiedział prawie trzynaście lat, od razu nie pęknie.

- Najbardziej liczę na zaskoczenie. Facet myśli, że mu się wszystko udało na cacy i że jest zupełnie bezpieczny. Niczego się nie spodziewa. A tu nagle milicja cap go za twarz. Może także znajdzie się coś w mieszkaniu? Na to także liczę.

- Miejmy nadzieję. Poślę tam najlepszych fachowców. Takich, dla których odnalezienie igły w stogu siana jest dziecinną zabawką. A ty przyjdź o dziesiątej. Wtedy weźmiemy faceta na górę, żeby nam zaśpiewał.

- On z Podlasia. Tam rzadko śpiewają. Już raczej tańczą.

- Niech będzie i tak.

Zgodnie z umową nazajutrz rano major znowu zjawił się w gabinecie Wacława Rochacza. Ten miał dla niego pierwsze wiadomości. Mikołaja Ciechanowieckiego wczesnym rankiem doprowadzono do gmachu Komendy i teraz oczekuje na przesłuchanie. Niestety, przeszukanie mieszkania, chociaż przeprowadzili je doskonali specjaliści, nie dało wyników.

- No to co? - zapytał major - Weźmiecie go na górę i będziecie przesłuchiwać ze wszystkimi szykanami, z maszynistką, pisaniem protokołu, nagrywaniem zeznań na magnetofon, czy na razie porozmawiamy z nim bez tych formalności?

- To stary więzień. Zna każdą metodę dochodzenia. Dlatego sędzę, że lepiej podziela na niego oficjalna forma przesłuchania. Zaraz zawołam maszynistkę i przyniesiemy tutaj maszynę do pisania. Ty będziesz pytał?

- To wasze dochodzenie i wasz teren. Ja posiedzę z boku i w razie czego dam ci znak, abyś mi pozwolił się wtrącić.

- Niech będzie, jak uważasz. Jesteś naszym gościem, a my gości szanujemy.

Za kilka minut wprowadzono podejrzanego, tfańsz Kaczanowski bez trudu rozpoznał w nim kelnera, który obsługiwał szóstkę przyjaciół szukających rozrywki na dansingu w Międzyzdrojach.

- Panie majorze, za co? - zapytał Ciechanowiecki już od progu pokoju. - Przychodzi milicja rano, wyciąga z łóżka, cały dom przewraca do góry nogami, a później prowadzą pod konwojem skutego, jak jakiego bandziora. Taki wstyd..

- Siadajcie - major Rochacz wskazał krzesło stojące przed biurkiem.

- Za co, panie majorze? - powtórzył kelner siadając.

- Od zadawania pytań to my tu jesteśmy. A za co, także dobrze wiecie. Wasze nazwisko i imię. Adres zamieszkania? Zawód? Data urodzenia?

- Mikołaj Ciechanowiecki. Syn Aleksandra i Marianny z domu Przewoźna. Zamieszkały w Szczecinie, Aleja Wojska Polskiego. Teraz jestem kelnerem, pracuję na kortach tenisowych. Urodzony 17 lipca 1939 roku - recytował podejrzanym.

- Byliście karani?

- Pan major przecież wie.

- Odpowiadajcie!

- Byłem. Na piętnaście lat.

- Za co?

- Za rozbój z bronią w ręku. Artykuł 259 kodeksu karnego. Tego starego.

- Dobry z was prawnik. Znacie artykuły i wiecie, że teraz mamy nowy kodeks. I wy mówicie o wstydzie, że was milicjanci wyprowadzili z domu skutego do samochodu? A rabować toście się nie wstydzieli?

- Panie majorze - Ciechanowiecki wyprostował się na krześle. - Byłem wtedy młody i głupi. Swoje odcierpiałem. Trzynaście lat przesiedziałem w więzieniu. Kiedy mnie zwalniali, pan prokurator i pan naczelnik więzienia powiedzieli mi, że jeżeli będę żył spokojnie i uczciwie pracował, nikt mi złego słowa nie może powiedzieć, bo sprawiedliwość ze mną swoje rachunki wyrównała. Ja te słowa dobrze pamiętam i do nich się zastosowałem. Pracuję, jak umiem. Jeszcze się nie zdarzyło, abym jakiegoś gościa, nawet zawianego, choć na pięć złotych w rachunku oszukał. A wy mnie znowu jak bandytę w kajdany zamykacie.

- Tak was to na honorze dotknęło?

- Mieszkam u dobrej kobiety. Mamy się ku sobie. Chciałem założyć rodzinę. To wdowa z dzieckiem. Nie wiedziała, że siedziałem w więzieniu. Teraz wszystko się wydało. Za co taki wstyd i taka krzywda mnie spotyka?

- Kiedy jesteście tacy biegli w paragrafach, to i ja wam przeczytam jeden artykuł z kodeksu karnego. Tego nowego, według którego będziecie sądzeni.

Rochacz otworzył leżącą na biurku książeczkę i odczytał:

- Artykuł 148, § 1. Kto zabija człowieka, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy niż lat 8 albo karze śmierci.

- Czy ja kogoś zabiłem? - w głosie Ciechanowieckiego brzmiało bezbrzeżne zdumienie. Nie było w nim natomiast przerażenia. Ten człowiek miał chyba żelazne nerwy i był genialnym aktorem.

- Opowiedzcie, coście robili dwudziestego ósmego sierpnia. Od samego rana. Kelner zastanawiał się.

- Jaki to był dzień?

- Wtorek - odpowiedział siedzący pod oknem major Kaczanowski. - Wtedy padał deszcz i na Bałtyku panował sztorm.

- Już wiem! Właściciel restauracji dał mi wolny dzień. Bo pracowałem bez przerwy przeszło dwa tygodnie. Codziennie od rana do trzeciej w nocy. Człowiek się przekimał kilka godzin i szedł prosto do pracy. Wiadomo, sezon w uzdrowisku. Z samego rana pojechałem do Świnoujścia, aby wodolotem dostać się do Szczecina. To najprędzej. Ale tego dnia wodolot nie chodził. Zepsuł się czy też uważali, że przy takiej pogodzie nie będzie miał pasażerów, dość że w ogóle nie przyplłynął ze

Szczecina. Pojechałem pociągiem. Tym pośpiesznym, co idzie do Krakowa. W Dąbiu przesiadłem na inny, do Szczecina.

- Kto was widział?

- A ja wiem? Spytajcie konduktora pociągu.

- Żadnego znajomego nie spotkaliście w czasie drogi?

- Nie.

- A w Szczecinie?

- Przyjechałem około dwunastej do Szczecina. Byłem bardzo zmęczony.

Poszedłem do domu i położyłem się spać. Jadwiga Poźniak może zaświadczyć, że kiedy wróciła z pracy o czwartej po południu, to ledwie mnie dobudziła

- Powiedzmy, że tak zezna i że jej uwierzymy. To będzie znaczyło, że od godziny czwartej macie alibi. Przedtem nie.

- A po co mi alibi? Co ja takiego zrobiłem? Czego wy ode mnie chcecie?

- Ciechanowiecki, Ciechanowiecki, ja wam dobrze radzę. Przyznajcie się od razu, to będzie i dla was lepiej, i dla nas. Napiszemy, że przyznaliście się dobrowolnie na pierwszym przesłuchaniu i szczerze zeznaliście. Wiece, że sąd takie przyznanie uwzględnia przy wyroku. Gdybyście wtedy nie zaprzeczali, że postrzeliliście milicjanta w czasie napadu na sklep, na pewno dostalibyście, tak jak Leon Siwek, trzynaście lat. Dwa lata wcześniej wyszlibyście z mamra. Takie dwa lata to się liczy. A przecież teraz sprawa poważniejsza. Sami wiecie, że może się skończyć najwyższym wyrokiem.

- Pan major straszy mnie i straszy. A ja nie wiem, o co chodzi

- Może też powiecie, że nie znaliście Niemirowskiej?

- Niemirowska? Coś mi się obilo o uszy. Do nas, na dansing, kto żyw w Międzyzdrojach przychodził. Mogła przychodzić i ta Niemirowska. Ja jej nie pamiętam. Kelner zna wielu gości, ale nie wie, jak się nazywają.

- Przypomnijcie sobie dobrze: Krystyna Niemirowska. I radzę wam, nie próbujcie robić z nas balona.

- Chodzi mi to nazwisko po głowie. Coś sobie przypominam, ale nie wiem co. Słyszałem je. Jak ona wyglądała?

- To wy sami najlepiej wiecie. Słuchajcie, Ciechanowiecki, zrozumcie, że wszystko się wydało. Nie powiem, sprytnie to urządziliście, ale siedzieliście tyle lat w mamrze i powinniście wiedzieć, że zbrodni doskonałych nie ma. Jak jest wsypa, nie ma co iść na zaparte. Tym pogarszacie swoje położenie.



- Czy to nie ta babka, co się utopiła?

- Widzę, że pamięć zaczyna wam wracać - Rochacz podsunął przesłuchiwanemu paczkę z papierosami i zapalniczkę. - Jeżeli chcecie, zapalcie.

- Dziękuję, nie palę. Odwykłem w więzieniu, a później nie wróciłem do papierosów.

- To dobrze. Teraz też się to wam przyda. No, mówcie, co wiecie o Niemirowskiej.

- Pamiętam ją. Taka przystojna blondyna. Ładne miała włosy. Często przychodziła do naszego lokalu. Zawsze w większym towarzystwie, ale najbardziej kręcił się przy niej jeden łysy jak kolano. Niemirowska utopiła się, bo poszła się kąpać w czasie burzy. Potem przez trzy dni szukali ciała, ale dopóki pracowałem w Międzyzdrojach, nic nie znaleźli. Podobno mąż obiecywał rybakom dużą nagrodę. Mówili, że dwadzieścia tysięcy złotych.

- A kiedy to się Niemirowska utopiła?

- Właśnie w ten sztorm. Dwudziestego ósmego sierpnia. Kiedy jechałem do Szczecina.

- Wy nie macie alibi na ten dzień - poprawił major Rochacz.

- Ja miałbym ją utopić?

- Nie wiem, czy ją utopiliście, czy zamordowaliście w inny sposób, ale o to jesteście podejrzani i w tej sprawie was przesłuchujemy. Przyznajecie się, że w dniu dwudziestego ósmego sierpnia wywabiliście na pustą plażę Krystynę Niemirowską w celu pozbawienia jej życia i tam dokonaliście swojego zamiaru?

- Co pan major? - w dalszym ciągu w głosie Ciechanowieckiego przeważało zdumienie. - A po co miałem ją zabijać? Nie przyznaję się.

- Wolno wam się nie przyznawać, to wasze prawo. Pani Janeczko, proszę zaprotokołować: „Na pytanie, czy przyznaje się do zabójstwa Krystyny Niemirowskiej, podejrzany odpowiedział, że się nie przyznaje”.

Maszynistka miarowo uderzała w klawisze.

- Nie przyznaję się - powtórzył Ciechanowiecki. - Tę kobietę widziałem kilka razy na dansingu. Nie znałem jej. Nikogo nie zabiłem. Nigdy nikogo nie chciałem zabić. Wtedy w Sokołowie Podlaskim strzelałem ze strachu. JMie rozumiem do dziś, w jaki sposób trafiłem plutonowego i tego drugiego, co dostał postrzał w nogę.

Major Kaczanowski, dotychczas biernie przysłuchujący się zeznaniom Ciechanowieckiego, dał znak ręką, że pragnie zadać przesłuchiwanemu pytanie.

- Proszę, majorze - Rochacz skinął przyzwalająco głową.

- Dlaczego po wyjściu z więzienia nie zameldowaliście się w milicji w Małkini? Przecież na karcie zwolnienia mieliście napisane, że w ciągu dwudziestu czterech godzin macie się tam zameldować. A wy uciekliście do Szczecina i myśleliście, że tu już was nie znajdziemy?

- Zanim mnie zamknęli, miałem dziewczynę - tłumaczył Ciechanowiecki. - Kiedy matka przyjeżdżała na widzenia, mówiła, że dziewczyna na mnie czeka. Ona sama także pisywała do mnie listy. Jak mnie wypuścili w Ełku, od razu wsiadłem w pociąg i pojechałem do Małkini. Wysiadłem na stacji i na przełaj, przez pola, żeby tylko bliżej. Prawie biegłem do Małkini Górnej. Do domu rodzinnego i do niej. Pod samą wsią spotkałem młodego Zarembę. On mnie nie poznał, bo kiedy mnie zabrali, był małym chłopakiem. Miał z dziesięć lat. A dzisiaj dorosły. Ale ja go sobie przypomniałem. Udaję nieznanego i wypytuję, co w Małkini Górnej słychać. Pytam i o moją Lucynkę. A Stasiek mi odpowiada, że od siedmiu lat mężatka. Ma już dwoje dzieci. Mówię, że podobno zmówiona była z kim innym. „Tak - przytakuje mi Stasiek. - Z jednym takim, ale on okazał się bandziorem. Całe szczęście, że siedzi, bo jakby się tu ludziom pokazał na oczy, toby go stąd wyświęcili albo i gorzej. Takich w naszej wsi nie potrzeba”. Jakby we mnie piorun trzasnął. Obróciłem się na pięcie i wróciłem na stację. Rodzicom na oczy się nie pokazałem. Dosyć wstydu się najedli. Kiedy siedziałem w więzieniu w Nysie, przywieźli tam faceta ze Szczecina. Miał wypadek samochodowy. Był pod gazem. Kogoś potrafił. Dostał półtora roku bez zawieszenia. Pan major wie, jak takich frajerów traktują w celi! Zal mi się go zrobiło i wzięłem go pod opiekę. Miałem posłuch. Wiadomo, bandyta ujęty z bronią w rękę. Takiego szanuje nawet recydywa. Kiedy ten frajer już wychodził na wolność, mówi do mnie: „Jak ja ci się odwdzięczę? JedyrJte dzięki tobie przetrzymałem ten areszt. Kiedy ciebie zwolnią, wal jak w dym do mnie do Szczecina. U mnie nie zginiesz i nikt ci złego słowa nie powie”. Wtedy, wieczorem, miałem do wyboru albo pod pociąg się rzucić, albo odszukać tego szczeciniaka. Pojechałem do niego. To ten, co prowadzi bufet na kortach. Dał mi u siebie pracę i znalazł mieszkanie u Jadwigi Poźniakowej. Meldunek na milicji zupełnie mi wyleciał z głowy. Czy to taka zbrodnia?

- To nie zbrodnia - przyznał Kaczanowski. - Zbrodnią było zamordowanie Niemirowskiej.

- Wmawiacie mi to zabójstwo. Dlaczego miałbym ją zabić?

- Słuchajcie, Ciechanowiecki, nie udawajcie głupszego, niż jesteście. Jak przyjdzie co do czego, możemy w sądzie postawić dużo świadków, nawet proboszcza z Małkini. Wasi rodzice także pamiętają, jak się odgrażaliście, że po wyjściu na wolność zrobicie z Klamówna koniec. W listach z więzienia pisaliście, że jeszcze się z nią spotkacie. Nie było tak?

- Panie majorze, młody byłem i głupi. Jak człowiek trafia nagle do więzienia, to rozum traci. Pewnie i plotłem coś podobnego, może i napisałem. Ale w celi jest wiele czasu do myślenia. Niejedno mu się we łbie rozjaśnia. I do mnie doszło, że za to, co się stało, ja sam ponoszę winę. Nie wpadlibyśmy z Siwkiem Leonem wtedy, mogłoby się następnym razem skończyć jeszcze, gorzej. Siedziałem w więzieniach, gdzie wykonywali wyroki śmierci. Za podobne sprawy, w jakie myśmy się przedtem bawili. Co mi tam Klamówna, Bóg z nią.

- Teraz tak mówicie, a po wyjściu na wolność posłaliście jej list z pogrozkami, a potem zamordowaliście ją.

- Ja? Klamównę?

- Nie udawajcie. Ciechanowiecki, że nie wiecie, iż Krystyna Niemirowska to z domu Klamówna. Ta sama, co rąbnęła Siwka butelką w głowę, a później zeznawała w waszej sprawie w sądzie.

Ogromne zdumienie odbiło się na twarzy przesłuchiwanego.

- To była Klamówna?

- Tak. Krystyna Klamówna, która wyszła za mąż za Stanisława Niemirowskiego.

- Klamówna to Niemirowska?

- Nie strugajcie wariata. To nie wiedzieliście o tym?

- Niech ja skonom. Wprawdzie kiedy tą panie zobaczyłem pierwszy raz u nas w knajpie, miałem wrażenie, że ją kiedyś już widziałem. Ale żeby to była Klamówna? Nigdy bym jej nie poznał. No, no jak się ona zmieniła. Przecież to była prosta dziewczyna. Ani ładna, ani brzydka. A ta tutaj to prawdziwa dama. Wypielegnowana i ubrana. Co to z ludzi mogą zrobić pieniądze.

- Ciechanowiecki, nie wyprowadzajcie nas z cierpliwości swoim głupim gadaniem. Kogo wy tu chcecie w błąd wprowadzić? - major Rochacz zdenerwował się albo udawał zdenerwowanego. - Wyszliście z więzienia i z miejsca zaczęliście szukać Klamówny, aby spełnić swoją obietnicę zemsty. Znaleźliście ją i posłaliście jej list z pogrozkami. Nie wiem, w jaki sposób chcieliście z nią skończyć, ale

przypadek wam pomógł, że pani Niemirowska przyjechała do Międzyzdrojów. Nie poznała, kim jest kelner z dansingu, bo przecież widziała was obu dwa razy w życiu. Raz w czasie napadu i później na rozprawie. No i zobaczyła ostatni raz tam na plaży, kiedyście ją mordowali.

Dopiero teraz Ciechanowiecki zrozumiał, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Zbladł. Z czoła zaczęły mu spływać grube krople potu. Nie mógł spokojnie mówić, ledwie zdołał wyjąkać:

- Na miłosierdzie boskie, na wszystko, co mam najświętsze, na życie rodziców, przysięgam, ja jej nie tknąłem. Nie wiedziałem, że to Klamówna.

Rochacz nalał w szklankę wody i podał ją przesłuchiwanemu.

- Wypijcie - rozkazał.

Połowa płynu wylądowała na marynarce, tak się Ciechanowieckiemu ręce trzęsły. Nie mógł donieść szklanki do ust. W końcu wypił wodę i trochę się uspokoił.

- Widzicie, że wszystko wiemy. Opowiedzcie, jak to się stało? Umówiliście się z Klamówna na plaży czy też zauważyliście, że sama idzie brzegiem morza w stronę lasu? A może spotkaliście ją, jak już wracała z kąpieli?

- Nie widziałem jej, nie miałem pojęcia, że ta blondynka to Klamówna. Nie zabiłem jej. Nigdy nie dotknąłem. Przysięgam.

Major Kaczanowski znowu poprosił o zadanie pytania podejrzanemu.

- W lipcu Klamówna, czyli Krystyna Niemirowska, otrzymała list, a właściwie widokówkę z Sokołowa Podlaskiego. Pisaną zmienionym charakterem. Tak jakby te literki stawiało małe dziecko. Na pocztówce napisano „Pozdrowienia z Sokołowa Podlaskiego. Pamiętamy o naszej Krysi Sklepiczarce”. To wy wysłaliście tę odkrytkę?

- Nie wysyłałem żadnej pocztówki.

- A jednak byliście wtedy w Sokołowie Podlaskim. Widziano was.

- Byłem parę godzin. Przyjechałem do brata ciotecznego. Przywiozłem mu trochę pieniędzy z prośbą, aby je zawiózł rodzicom i powiedział im, że żyję i że mi się dobrze powodzi, niech się o mnie nie martwią. A nie przyjeżdżam do nich, bo mi się wstyd, że im tyle zmartwienia przyczyniłem. Wróciłem do Warszawy tego samego dnia.

A z Warszawy pojechałem prosto do Międzyzdrojów. Wtedy także miałem jeden dzień wolny. Dwie noce byłem w podróży.

- Dostatecznie dużo czasu, aby kupić pocztówkę, napisać kilka słów i wrzucić

kartkę do skrzynki pocztowej.

- Nie pisałem żadnych kartek.

- W jaki sposób zabiliście Niemirowska? - major Rochacz powtórzył pytanie.

Ciechanowiecki wybuchnął płaczem.

- Nikogo nie zamordowałem - mówił przez łzy. - Ja sam się zabiję. Nic innego mi nie pozostało, jak zrobić sobie koniec. Dlaczego mnie tak męczycie?

- Przerwiemy tę rozmowę - zdecydował Rochacz. - Odpoczniecie parę godzin, uspokoić się. Radzę wam wszystko przemyśleć i przy ponownym przesłuchaniu szczerze przyznać się do winy.

Oficer milicji nacisnął guzik sygnału. Zjawił się dyżurny milicjant i zabrał Ciechanowieckiego do aresztu.

- Twarda sztuka - stwierdził Rochacz. - Obawiam się, że będziemy z nim mieli kłopot.

- A ja się obawiam - dodał Kaczanowski - że on jest po prostu niewinny tej zbrodni.

- Tak uważasz?

- Siedziałem pod oknem. Doskonale widziałem jego twarz. Początkowo malowało się na niej zdziwienie. Również głos mu nie drżał i nie słyhać w nim było lęku. Trzeba być wspaniałym aktorem i mieć kolosalne opanowanie, aby tak się maskować. A to przecież prosty człowiek.

- Skończył jednak studia więzienne. Uczyli go tam przez prawie trzynaście lat. To dobre uniwersytety.

- Biorę to pod uwagę. Jednakże jego zdumienie, kiedy dowiedział się, że Niemirowska to dawna Klamówna, wydało mi się szczerze i autentyczne. Przypomniałem sobie scenkę z dansingu. Niemirowska po skończonym tańcu wracała na swoje miejsce. Szła pomiędzy rzędami stolików. Przy jednym z nich stał kelner, właśnie Ciechanowiecki. Widziałem jego wzrok pełen zachwytu. Gdyby wiedział, kim jest ta piękna kobieta i gdyby jej tak nienawidził, że w parę dni później posunął się aż do morderstwa, nie patrzyłby na dziewczynę z takim podziwem. W tych oczach musiałby się czuć gniew i nienawiść. Człowiek nie może bez przerwy grać. Zwłaszcza wtedy, kiedy jest pewien, że nikt go nie obserwuje.

- W każdym razie jestem zdecydowany - powiedział major Wacław Rochacz - przetrzymać tego typka przez czterdzieści osiem godzin. Zobaczymy, co nam przyniosą następne przesłuchania. Żebyśmy przynajmniej mieli tę kartkę!

- Szukałem jej..Mąż zmarłej twierdzi, że przetrząsnął całe mieszkanie i nie znalazł widokówki. Prawdopodobnie Niemirowska miała ją przy sobie.

- Szkoda. Na pewno pisano ją albo lewą rękę, albo specjalnie bazgrano. Przypuszczam, że ekspertyza grafologiczna zdołałaby stwierdzić, czy to dzieło Ciechanowieckiego. Ale słuchaj, skąd ty wiedziałeś, że ten człowiek był w lipcu w Sokołowie Podlaskim? Nic mi o tym nie wspominałeś.

- Strzeliłem na ślepo i trafiłem w dziesiątkę. Gdyby kelner się nie przyznał, nie mógłbym mu tego udowodnić.

- No to jeden punkt mamy. Jest nadzieja, że w następnych przesłuchaniach powiększymy nasz dorobek.

- Jeżeli jest niewinny, do niczego się nie przyzna - Kaczanowski tracił wiarę w bliski sukces.

- A ja bym powiedział, że jeżeli się nie przyzna, nie udowodnimy mu winy. To jeszcze gorzej. Obawiam się, że ten cwaniak zdaje sobie z tego sprawę. Wyglądał na bardzo przestraszonego. Ciągle liczę, że jednak pęknie.

Mikołaja Ciechanowieckiego przesłuchiowano jeszcze dwukrotnie, tego samego dnia i rano dnia następnego. Były więzień kategorycznie zaprzeczał, jakoby miał coś wspólnego ze śmiercią Krystyny Niemirowskiej. Kiedy wreszcie po pięciu czy też sześciu godzinach „maglowania” major Rochacz zdecydował się odesłać kelnera na dół, obaj oficerowie nie mieli zadowolonych min.

- Co robimy dalej? - zapytał Szczeciniak. - Czy mam się starać o sankcję prokuratora i pójdziemy na poszlakówkę?

- Nie - rzekł Kaczanowski. - Mój stary nigdy się na to nie zgodzi. Zresztą mam wrażenie, że i prokurator niezbyt chętnie dałby sankcję. Nasze słabe poszlaki obrona rozbiłaby w proch i pył. Przecież nie potrafimy nawet dowieść, że Niemirowska została zamordowana, cóż dopiero przypisać to zabójstwo Ciechanowieckiemu.

- To drugie poszłoby bodaj łatwiej niż pierwsze - zgodził się Rochacz.

- Nie ma rady, trzeba faceta zwolnić.

- Załamujesz się?

- Nie - zdecydowanie odpowiedział Kaczanowski. - Będę szukał dalej. Jestem nadal absolutnie przekonany, że to było morderstwo. Wierzę, że w końcu zdobędę jakieś konkretne dowody. Ciebie, Wacek, o jedno proszę, abyście mieli Ciechanowieckiego stale na oku. Jeśli jest winnym popełnienia zbrodni, może w

końcu straci panowanie nad sobą i popełni jakiś błąd. Liczę i na to.

- Bądź spokojny. Już my się nim zaopiekujemy. Lepiej niż kwoka kurczętami.

Jedyną zadowoloną była Krysia Cegiełek. Pobyt w Szczecinie przystojnego i miłego urzędnika Ministerstwa Żeglugi, w którym dziewczyna była coraz bardziej zadurzona, przeciągnął się na trzy dni.

## **Rozdział X**

### **Natura ciągnie wilka do lasu**

Wbrew buńczucznym zapowiedziom, major Kaczanowski po powrocie do Warszawy wcale się nie kwapił z zatelefonowaniem do mecenasa Ruszyńskiego. Oficer milicji inaczej sobie wyobrażał ten powrót do stolicy. Już widział się tryumfotorem, już zbierał powinszowania. A tymczasem los spletał mu złośliwego figla. Sprawa zabójstwa Niemirowskiej właściwie nie posunęła się ani o krok. Wprawdzie milicja miała teraz człowieka, którego można było podejrzewać o morderstwo, ale nikt nie był w stanie udowodnić Mikołajowi Ciechanowieckiemu winy. Brak alibi o niczym nie przesądzał.

Toteż Janusz wrócił do Pałacu Mostowskich we wręcz fatalnym nastroju. Nawet wspomnienie ślicznej Krysi Cegiełek, a ona przecież starała się” mu umilić pobyt w portowym mieście, nie poprawiło humoru oficera milicji. Major nie mógł się zdobyć na zawiadomienie mecenasa o kolejnej porażce swojego, ciągle przecież „prywatnego”, dochodzenia.

Adwokat wyczekał sześć dni i siódmego sam postanowił zatelefonować, jednak nie do Kaczanowskiego, lecz bezpośrednio do Adama Niemirowicza. W przeciwieństwie do Kaczanowskiego, pułkownik cenił i poważał wziętego adwokata i bynajmniej nie miał za złe, że mecenas czasami uniesiony temperamentem wtrącał się do akcji milicji. Robił to wyłącznie dla dobra wymiaru sprawiedliwości i niejednokrotnie przyczynił się do ustalenia obiektywnej prawdy. Na tego rodzaju „konkurencję” naczelnik wydziału w Komendzie Stołecznej MO nie patrzył krzywym okiem. Dlatego niejednokrotnie łagodził krótkie spięcia między zapalczywym Januszem a może trochę zbyt wścibskim Mięciem.

I teraz, poznając w słuchawce głos adwokata, Niemirowicz bez wstępów przystąpił do rzeczy:

- Mecenas prawdopodobnie chciałby się dowiedzieć czegoś nowego w sprawie swojej klientki?

- Właśnie. Myślałem, że major Kaczanowski do mnie zadzwoni, ale czekam i czekam i doczekać się nie mogę.

- Januszowi nie w głowie telefony. Ma dużo roboty, a przede wszystkim nie ma się czym chwalić.

- Klops ze Szczecinem?

- Kompletny. Jedyłą, zresztą nikłą poszlaką, obciążającą w pewnym stopniu Mikołaja Ciechanowieckiego jest to, że ten człowiek był w lipcu w Sokolowie Podlaskim. Ponieważ nie mamy jednak tej pocztówki, nie możemy stwierdzić, czy data pobytu byłego bandyty w mieście koresponduje z datą stempla pocztowego. Chociaż i to mogłoby być zwykłym przypadkiem.

- Naturalnie - przyznał adwokat.

- Poza tym - ciągnął Niemirosch - Ciechanowiecki nie ma wystarczającego alibi na dzień śmierci Niemirowskiej, ale tysiące ludzi także by go nie miało. A że po wyroku odgrażał się Krystynie Klamównie, nie jest podstawą do postawienia go w stan oskarżenia. Tyle lat minęło

- To jak? Prokurator nie dał sankcji?

- Nikt go o to nie prosił. Co by nam z tego przyszło, że przetrzymamy Ciechanowieckiego kilka tygodni w areszcie śledczym? Nie znajdzie się taki nierozważny prokurator, który na podstawie materiału, jakim rozporządzamy, napisze akt oskarżenia. „Zarobiłby” nie tylko wyrok uniewinniający naszego klienta, ale naraził się na poważne przykrości nadzoru prokuratorskiego. Podparcie poszlaków tak wątpliwymi dowodami skończyłoby się kompromitacją. Pan, mecenasie, dobrze przecież zna Janusza. Wszystkie jego zalety i wady, a zwłaszcza jego zbytnią zapalczywość, ale nawet Janusz uznał się za pokonanego.

- Dał spokój całej sprawie?

- Co to, to nie! Ale musi znowu zaczynać od początku.

- Bardzo się cieszę, że major jednak nie załamał się. W tej sprawie jest coś niepokojącego. Mój nos...

- Janusz też mówi o swoim nosie - roześmiał się Niemirosch. - Szczerze mówiąc, zamiast waszych dwóch nosów wolałbym konkretny trop.

- Widzę pewną drogę, a właściwie nikłą ścieżynkę. Może warto byłoby nią pójść? Ale wobec dobrze mi znanej drażliwości majora Kaczanowskiego, boję się cokolwiek mu sugerować czy samemu zacząć badać. Pan Janusz nie lubi wtrącających się „amatorów”, choćby szczerze chcieli pomóc.



- Drogi mecenasie, znamy się nie od dzisiaj i nie od dziś znamy także Janusza. Każdy z nas ma jakieś swoje śmieszności. Wielokrotnie korzystałem z pańskiej dobrej rady lub pomocy „amatora”. Dlatego też upoważniam mecenasa, jeśli pan uważa to za słuszne, do pójścia swoją ścieżką. Jeżeli będzie panu potrzebna pomoc, chętnie nią służyć.

- Raczej nie...

- Proszę pamiętać, że może pan mieć do czynienia z mordercą. Taki człowiek nie ma wiele do stracenia.

- Tym razem na pewno nie będę w bezpośrednim kontakcie z mordercą, kimkolwiek on jest. Po prostu mały wywiad, który może wzbogacić nasze wiadomości. Czasami jakiś drobiazg stanowi punkt zwrotny całej sprawy.

- Niech pan działa z moim błogosławieństwem. Życzę powodzenia.

Rozmowa ta sprawiła Mieciewi dużą przyjemność. Po pierwsze dowiedział się o niepowodzeniu rywala, po drugie otrzymał zezwolenie na działanie. Gdyby teraz Kaczanowski złościł się na adwokata, po prostu usłyszy: „Kochany majorze, pański zwierzchnik najwidoczniej uważał, że osłabł pan w swojej operatywności i prosił mnie, abym w miarę swoich skromnych możliwości przyłożył rękę do wyświelenia tej sprawy”.

Nie tracąc czasu w najbliższą niedzielę adwokat wsiadł do swojego ciemnozielonego Fiata i skierował się w stronę Myszyńca. Postanowił porozmawiać z Józefem Klumą, bratem tragicznie zmarłej Krystyny Niemirowskiej. Wprawdzie po tej rozmowie Ruszyński mało sobie obiecywał, uważał jednak, że w tak zagadkowej sprawie nie wolno niczego zaniedbać. Może właśnie w Dąbrowie, kurpiowskiej wsi pod Myszyńcem, uda się podchwycić ten koniuszek nitki, która doprowadzi do kłębka.

Droga minęła szybko. Miecio zatrzymał samochód na skraju wioski i zapytał przechodzącą właśnie dziewczynę.

- Jak ja trafię do pana Klamy?

- Którego?

- Józefa.

Dziewczyna roześmiała się.

- W naszej wsi prawie same Klamy mieszkają. Ja też jestem Klamówna. A Józefów, razem z młodymi, to mamy przeszło tuzin.

- Mnie chodzi o tego Klamę, który zajmuje się hodowlą bydła i którego siostra

niedawno utonęła w morzu.

- Chodzi panu o „kowboja!” - roześmiała się dziewczyna. - Od razu tak trzeba było mówić. To mój stryjek.

- Może panienka wsiądzie do wozu i podjedzie ze mną? - zaproponował Miecio otwierając drzwiczki.

Józef Klama przyjął gościa życzliwie. Do tego stopnia, że zaproponował mu przejażdżkę konno, aby mógł obejrzeć trzysta młodych byczków i jałówek pasących się na obszernych pastwiskach. Ale Miecio, który swoje wojenne przewagi odnosił w pułku strzelców podhalańskich, a z koni uznawał tylko te mechaniczne, jakoś się zdołał wykręcić od wątpliwej przyjemności. Skierował rozmowę na temat wypadku w Międzyzdrojach.

- Nie rozumiem, co Krysce strzeliło wlaźć do wody na taką burzę?

- Podobno dobrze pływała, nie bała się morza.

- Pływać pływała. U nas każdy wiejski chłopak i każda dziewczucha umie pływać. Półtora kilometra za wsią, nad strugą, stał dawniej młyn wodny. Młyna to już przed moim urodzeniem nie było, spalił się podobno w zeszłą wojnę, ale pozostała grobla, która utworzyła spory zalew. Tam od rana zawsze żeśmy się w lecie pluśkali. Dziewczyny przychodziły nad wieczorem. Taki panował w naszej wsi zwyczaj. A nie wolno było panien podpatrywać. Kiedy tatko złapał na tym mojego brata, tak go sprzął, że ten przez tydzień spał na brzuchu, a jadł na stojąco. Bo to wtedy o kostiumach kąpielowych jeszcze nikt u nas nie słyszał.

- Po pana siostrze został spadek. Place w Siedlcach i dom w Warszawie. Na męża przypada połowa, druga na pana i jego brata w Kalifornii.

- Iii - Józef ręką machnął. - Myślę, niech tam sobie pan szwagier wszystko bierze. Mnie to niepotrzebne. Na swoim z głodu nie umieram. A ten z Ameryki także może się bez tego obyć. Przecież za te place i tak połowę dostał. I to w dolarach, bezpośrednio do miejsca zamieszkania. Nie mogę powiedzieć, szwagier porządny chłop. Zaraz po tym nieszczęściu przyjechał do nas. Przywiózł cały samochód Krysinych rzeczy. Futro, płaszcz z misia, kiecki, różne fatalaszki frymuśne takie, że uczciwej kobiecie chyba wstyd coś takiego włożyć, „Mnie to na nic - powiada. Stanisław. - U was w rodzinie się przyda”. To ja w zamian mam mu dach nad głową zabierać? Na co mi to?

- Nie przyszło panu na myśl, że siostra została zamordowana?

- Kryska? - zdziwił się Klama. - A dlaczego?

- To stara sprawa napadu w Sokołowie Właśnie niedawno wypuścili ostatniego z bandytów. Pani Krystyna pokazywała mi pocztówkę. Napisał do niej ktoś z Sokołowa i bardzo się tego przestraszyła.

- Siostra zawsze była trochę wariatka. Od małości. Albo za odważna, albo za strachliwa. Często sama nie wiedziała, czego chce. Niech jej tam ziemia lekką będzie, czy może woda, bo przecież umarła bez chrześcijańskiego pogrzebu, ale miał się z nią Stanisław, oj miał!

- Co pan powie? Robiła wrażenie troskliwej i zapobiegliwej żony.

- To prawda. Zapobiegliwa była. Lubiła pracę. Nie wstydziła się, że pochodzi ze wsi. Co roku przyjeżdżała, aby pomóc w żniwach czy w sianokosy. A i ogród, który jest przy domu, ona założyła. Drzewka przywoziła z samej Warszawy. Maliny, porzeczki i truskawki flancowała ze swojej działki. Ale ciężka była kobieta. Bardzo lubiła rządzić.

- Kto nie lubi? - lekko westchnął Miecio, któremu nieraz tej cechy nie poczytywano za cnotę.

- Każdy lubi - zgodził się chłop. - Ale nie tak jak Kryska. Panie, ona potrafiła przyjechać i w moim własnym domu meble przestawiać nie pytając nikogo z nas o zgodę Taka była. Mnie chciała dyktować, jak mam ziemię uprawiać i na którym polu bydło wypasać. A jak jej nie posłuchać, to zaraz wpadała w złość, że gotowa by i zabić. Twardą ręką trzymała Stanisława. Chłop nie mógł z kolegami na jednego wyskoczyć, jak to się każdemu mężczyźnie należy. Ubrania i buty czy za przeproszeniem gacie musiał nosić takie, jakie mu kupiła.

- Ale był zadbany. Zawsze wszystko czyściutkie, wyprasowane, zacerowane. Dyrektor Niemirowski dzięki temu uchodzi za jednego z najelegantszych ludzi w stolicy.

- Może on tam i elegancki, ale jakiś taki nie męski. Włosy nosi długie jak baba.

- Teraz taka moda. Młodzi tak się noszą.

- Nie taki on i młodziak.

- Przystojny mężczyzna.

- Oj, to prawda. Szwagier przystojny chłop, że każda baba musiała się za nim obejrzeć - przytaknęła pani Klamowa, dotychczas w milczeniu przysłuchująca się rozmowie. - A tym najmłodszym - smarkulom aż się do niego ślepia świeciły.

- Zawsze się dziwiłem - zauważył Klama - co Stanisław widział w Kryscie? On

chłop jak malowanie, a ona przecież taka znowu ładna nie była. Jak to dziewczyna ze wsi. Jemu by się bardziej jakaś miastowa dama nadała. Rządziła nim, jak chciała. A słuchał się jej jak ten piesek. A zazdrosna była o ten swój skarb.

- Widocznie to mu dogadzało. Są mężczyźni, którzy tak się wyżywają w swojej pracy zawodowej, że wolą, aby w domu nimi rządzono.

- Żeby to mój Józek był taki - roześmiała się Klamowa. - Ale on się nawet do babskich spraw wtrąca.

- Kiedy ostatnio pani Krystyna was odwiedziła?

- Jak zwykle przyjechała na żniwa, ale krótko była, bo miała jechać nad morze.

- Nie zwierzała się wam ze swoich obaw? Nie wspominała o liście z Sokołowa?

- Teraz sobie przypominam, że coś tam mówiła, że ją bandyci chcą zabić. Słuchałem tego jednym uchem. W takim czasie nie ma na wsi innych spraw, jak robota w polu i ściganie się z pogodą. Żeby zdążyć przed deszczem. A do tego znałem przecież Kryskę i nie przywiązywałem większej wagi do jej gadania.

- Więcej mówiła o Stanisławie - wtrąciła pani Klamowa. - Podobno taki się zrobił ostatnio z niego pies na baby, że go nie może upilnować.

- Bała się, że się z nią rozwiedzie?

- Pytałam o to. Odpowiedziała, że Stanisław nigdy się na to nie odważy. Zginąłby bez niej.

- Czy państwo sobie nie przypominają, Niemirowska nie wymieniała jakichś nazwisk ludzi, których się najbardziej bała?

- O liście mówiła. Szwagierka pokazywała mi nawet widoczek z Sokołowa. Nie czytałam tego, bo nie miałam przy sobie okularów. Ona mi powiedziała o tych pozdrowieniach, ale nie rozumiałam, czego mogła się bać?

- Pan mecenas sądzi, że naprawdę ją zamordowano? - zapytał Klama.

- Pani Niemirowska była moją klientką. Prowadziłem jej postępowanie spadkowe. Mnie także pokazywała tę kartkę i była bardzo przestraszona. A potem nagle przyszło to nieszczęście. Także trochę dziwne, bo podobno pani Krystyna była doskonałą pływaczką, chwaliła się, że brała nagrody na wyścigach.

- Gdzie? W Myszyńcu, czy może w Siedlcach albo w Sokołowie? Ja nic o tym nie wiem. Nam Kryska tego nie opowiadała. Jak pływała, nie wiem, nigdy się przecież z nią nie kąpałem.

- Mogła trenować pływactwo we Wrocławiu. Tam są baseny pływackie i kluby sportowe.

- Ano mogła - przyznał Klama. - Długo ona w tym Wrocławiu nie była. Coś ze dwa lata. Później wyjechali ze Stanisławem do Elbląga, a potem do Gdańska.

- W Elblągu i Gdańsku także można pływać. Mnie co prawda pani Krystyna także nigdy nic na ten temat nie wspominała, ale widocznie nie zgadało się. Mój przyjaciel, oficer milicji, który ją widział w Międzyzdrojach, twierdzi, jednak, że była doskonałą pływaczką. Takiej nie przestraszy żadna burza.

- Dlatego, że się nie bała, to dzisiaj nie żyje - filozoficznie stwierdziła pani Klamowa.

- Ma pani rację - przyświadczył Ruszyński. - Czasami lepiej być żywym tchórzem niż martwym bohaterem..

- Oj, to prawda - przytaknął Klama. - Co jej przyszło z tego pajacowania? Tylko śmierć.

- A tutaj, w ostatnich miesiącach, tak od maja, nie dowiadywano się o panią Niemirowska albo o Krystynę Klamównę? Nikt nie pytał państwa, co się dzieje z siostrą, gdzie mieszka i jaki jest jej adres?

- Z naszej wsi nikt. Bo i po co? Nie tylko wszyscy wszystkich znają, ale większość nas to krewniacy. Jak nie Klamowie, to albo żona, albo matka czy babka Klamówna. Pewien profesor z Warszawy, taki gruby, który przyjeżdża do nas i zbiera różne stare piosenki, obyczaje ludowe, przyśpiewki weselne, a także stare stroje, sprzęty i garnki, mówił nam, że Klamy siedzą na tych ziemiach od prawieków. I zawsze byli wolni. To się nazywało „królewscy”. U nas nie było dziedziców i pańszczyzny. Lasy były tu ogromne, a ludzie zajmowali się zbieraniem żywicy i wypalaniem węgla. Bo ziemia marna. Trzeba dobrze głową ruszać, żeby z niej coś wyciągnąć.

- Chyba pan nie może narzekać. To nie dom, a prawdziwy pałacyk. Obejście także nowe. Nie mówię już o maszynach, traktorze i samochodzie.

- To dopiero teraz, kiedy się na wsi na lepsze zmieniło. Żeby pan wiedział, jaka tu była bieda przed dwudziestu pięciu laty! W wałęcej się oborze stała krowa. Dwie świny wykarmiał ojciec, i to je zabierano. A jeszcze nas chcieli „rozkułaczać” jako „wrogi element”. Przecież Krysę ciotka zabrała na wychowanie dlatego, że w domu przymieraliśmy głodem. W szkołach miejsca nie było, bo i szkół nie było, a najbliższa, siedmioklasówka, aż w Myszyńcu. Nie to co dzisiaj. Dzisiaj mamy

dypłomy i podziękowania z województwa, a pierwszy sekretarz z powiatu sam do mnie przyjeżdżał, żeby obejrzeć i potem, jak mówił, „innym za przykład postawić”.

- Przypominam sobie - nagle wtrąciła Klamowa - że tak chyba w czerwcu ktoś się pytał o szwagierkę.

- Kobieta czy mężczyzna?

- Na pewno kobieta.

- Młoda, stara? Jak wyglądała?

- Nie bardzo się jej przyglądałam. Mówiła, że chodziła razem z Kryską do szkoły w Siedlcach i tam później pracowały.

- Kryska nigdy nie pracowała w Siedlach - zaprzeczył Józef Klama. - Wiem dobrze, że zaraz po skończeniu handlówki dostała nakaz pracy do Sokołowa Podlaskiego. Ciotka tym się martwiła, i starała się zmienić tę decyzję, ale nic się nie dało zrobić. Podobno w Siedlcach nie było żadnych wolnych miejsc.

- To ciekawe - zauważył Ruszyński.

- Ale ta kobieta wyglądała na sporo młodszą od szwagierki.

- Mogła być młodszą. Kryska miała zaległości. W dwóch klasach zimowała. Kiedy skończyła handlówkę, szło jej na dwudziesty drugi rok. Była najstarsza w klasie.

- A ta jej niby koleżanka - uzupełniła Klamowa - była tu w sam dzień Świętego Jana. Mój z chłopakami, jak zwykle, pognął do swoich byczków, a całą robotę w obejściu mnie zostawił. Właśnie zadawałam świnkom, kiedy widzę, ktoś wchodzi na podwórze. Kobieta dość młoda, ładna i dobrze ubrana. W takich modnych pantofelkach na grubej podeszwie. Kiedy szła w moim kierunku, to się bałam, że wpadnie do jakiejś dziury i nogę sobie złamie.

- W naszym podwórzu nie ma żadnych dziur - oburzył się gospodarz, - Wszystko wybrukowane. Kamienie z pola zwoziłem przez trzy lata.

- Takie kocie łby, że trudno chodzić.

- Poczekaj, przyjdzie czas, że i wyasfaltujemy.

- Nie przeszkadzaj. Zawsze lubisz przerywać - Klamowa zgromiła małżonka.

- Co było dalej? - mecenasa zaintrygowała postać nieznajomej.

- Ta pani podeszła do mnie i pyta, czy tu mieszka Krystyna Klamówna? Ta, co uczyła się w Siedlcach i później była bohaterką głośnego napadu bandyckiego w Sokołowie. Wyjaśniłam, że to moja szwagierka, obecnie, nosi nazwisko Niemirowska i mieszka w Warszawie. Kobieta ucieszyła się, że tak dobrze trafiła i dodała, że ona

także jest z Warszawy. Przejeżdża tędy w drodze na Mazury i wstąpiła, aby dowiedzieć się, co się dzieje z jej starą przyjaciółką. Dałam jej warszawski adres Kryski, zapisała sobie w notesiku, podziękowała i poszła.

- Może pani opisać jej twarz?
- A czy ja pamiętam?
- Zaczniemy od włosów. Rude?
- Nie. Szatynka.
- Oczy?
- Chyba niebieskie.
- Twarz pociągła czy okrągła?
- Raczej okrągła.
- Nos?
- Lekko zadarty.
- A zęby? Może miała jakieś sztuczne?
- Rzeczywiście. Kiedy się uśmiechała, widać było jasny metal.
- Wysoka?
- Niższa ode mnie.

Pani Klamowa była postawną kobietą o wzroście co najmniej metr sześćdziesiąt pięć.

- Doskonale - ucieszył się adwokat. - Tak pani opisała nieznajomą, że można by jej portret narysować.

- Pan mecenas sądzi, że to może być coś ważnego? - zapytał Józef Klama.

- Nie wiem. Ale to się jakoś dziwnie zgadza. Ta pani odwiedzała was dwudziestego czwartego czerwca, a w początkach lipca Niemirowska otrzymała pocztówkę z Sokołowa Podlaskiego i uważała, że to jest groźba przesłana przez bandytów.

- Ona twierdziła, że mieszka z mężem w Warszawie. A jak się ucieszyła, że i Kryska jest w stolicy. Powiedziała, że po powrocie z wczasów nawiąże ze szwagierką kontakt. Dodałam, że Kryska ma telefon, ale nie pamiętam numeru.

- Wyście pomogli państwu Niemirowskim w kupnie i urządzeniu mieszkania?

- Kryska także nam pomagała. Przywoziła drzewka, sadziła flance, pracowała przy żniwach. A kiedy chciałem kupić traktor, Stanisław to załatwił w Warszawie, tak że nie musiałem czekać. No to kiedy oni byli w kłopotcie, trzeba ich było podreperować kilkoma tysiącami. Wiadomo, jak to w rodzinie. Uczciwie przyznaję,

Stanisław proponował, że nam będzie ten dług zwracał ratami. Powiedziałem, że żadnego długu u mnie nie mają.

Byłoby kłamstwem twierdzić, że Ruszyński wymawiał się od obiadu. Niestety, tym razem nie miał do pomocy zięcia i z dużą przykrością zrezygnował z poznania kolekcji alkoholu pana Klamy, która nie przedstawiała się gorzej od zawartości barku „Starego Macieja”. Po obiedzie adwokat podziękował za gościnę. Przepraszał, że nie zostaje dłużej, ale wolałby za widna wrócić do Warszawy, a przynajmniej przejechać możliwie największy kawał drogi.

Prowadząc wóz Ruszyński cały czas myślał o tajemniczej nieznajomej, poszukującej adresu Niemirowskiej. Czy była to rzeczywiście koleżanka szkolna, czy też wysłanniczka Mikołaja Ciechanowieckiego lub innego członka bandy?

Czyżby tak dziwny zbieg okoliczności?

W pewnym momencie mecenas gwałtownie zahamował, i wysiadł z wozu. Był tak przejęty odkryciem, które mu się nasunęło, że nie mógł skupić uwagi na prowadzeniu samochodu. To było od samego początku takie jasne! Dlaczego nie wpadł na to wcześniej? A swoją drogą ten Kaczanowski popełnił niewybaczalny wprost błąd.

Miecio przynajmniej z pół godziny siedział na poboczu szosy. Kiedy już wrócił do równowagi i uznał, że może jechać dalej, jego okrągłe oblicze przybrało taki wyraz, jaki miał Napoleon po wygraniu bitwy pod Austerlitz.

Dla adwokata nie wszystko w tej sprawie przestało być tajemnicą. Nadal nie wiedział, czy to zbrodnia, czy nieszczęśliwy wypadek, ale nabrał całkowitej pewności, że dochodzenie majora Janusza Kaczanowskiego szło zupełnie w złym kierunku.

## **Rozdział XI**

### **Czy to ona?**

W poniedziałek od rana adwokat Ruszyński siedział w gmachu sądów. Miał tego dnia aż trzy terminy. Dopiero więc koło południa znalazł chwilę czasu, aby zatelefonować do Pałacu Mostowskich.

- Mam dla pana majora niesłychanie ważne wiadomości - powiedział Kaczanowskiemu.

Oficer milicji jednak nie zareagował tak, jak tego oczekiwał Miecio. Krótko urwał rozmowę:



- Obawiam się, mecenasie, że sprawa w ogóle nieaktualna. Dzisiaj rano Komenda Wojewódzka w Koszalinie zawiadomiła nas, że na plaży pod Grzybowem, to taka miejscowość w pobliżu Kołobrzegu, morze wyrzuciło zwłoki kobiety. Najprawdopodobniej jest to Krystyna Niemirowska. Razem z panem Niemirowskim za dwie godziny wylatujemy do Koszalina dla dokonania identyfikacji. Ponieważ pan znał osobiście Niemirowska, może mecenas lecieć z nami. Przypuszczam, że uda się skombinować jeszcze jedno miejsce w samolocie.

- Dziękuję. Nie polecę. Nie mam po co.

- Oczywiście - zgodził się major. - Nas dwóch wystarczy.

- Nie mam po co lecieć do Koszalina, ponieważ wiem, że to nie jest Krystyna Niemirowska - Ruszyński był bardzo dotknięty sposobem potraktowania go przez majora. - Kiedy pan wróci do Warszawy, proszę się ze mną skomunikować. Nie przypuszczam, aby panu nie przydały się wiadomości, które zebrał „amator”. Zresztą za wiedzą i zgodą pułkownika Niemirowicza. On nieco inaczej zapatruje się na moją pomoc niż jego podwładni..Szczęśliwej podróży i do widzenia.

Wielce z siebie zadowolony Miecio położył słuchawkę.

To już było wypowiedzenie jawnej wojny Kaczanowskiemu. Adwokat zdawał sobie z tego sprawę, uważał jednak, że tym razem właśnie on ma wszystkie atuty w rękę, aby „temu zarozumiałemu oficerowi” dać dobrą nauczkę.

A tymczasem „zarozumiały oficer” spotkał na lotnisku Stanisława Niemirowskiego. Dyrektor, był zdenerwowany.

- Bardzo się boję tego widoku - powtarzał. - Bardzo się boję.

Przed zajęciem miejsca w samolocie wypił dużą kawę i łyknął trzy koniaki. Namawiał do picia także Kaczanowskiego, ale major odmówił:

- Lecę służbowo - tłumaczył się.

- Ja także nie lecę dla przyjemności. Boję się. Piję dla kurażu.

- Umarli nie są straszni.

- Kiedy sobie uprzytomnię, że za parę godzin ujrzę Krystynę, słabo mi się robi. Nie chodzi już o to, że ona nie żyje. Od tego tragicznego dnia minęły prawie trzy miesiące i wiem, że nic mi jej nie wróci. Ale ona przebywała trzy miesiące w wodzie. To straszne - Niemirowski zakrył twarz rękoma.

Kiedy jechali samochodem komendy milicji do Kołobrzegu, dyrektor nie powiedział ani słowa. Tylko parę razy wyjmował z kieszeni płaszczą płaską piersiówkę i pociągał wprost z butelki. Ani Kaczanowski, ani towarzyszący im oficer

z Wojewódzkiej Komendy w Koszalinie nie dziwili się temu. Zresztą ten oficer już oglądał zwłoki i wiedział, że człowieka, który siedzi koło niego w aucie, czeka przykre i wstrząsające przeżycie.

W Kołobrzegu powitał ich lekarz milicyjny. Dokonał on pierwszych oględzin zwłok i poinformował przybyłych:.

- Kobieta w wieku lat około trzydziestu pięciu. Wzrost trochę ponad metr sześćdziesiąt. Ciało w stanie daleko posuniętego rozkładu. Rysy twarzy nie zachowały się. Z pierwszych oględzin zwłok wynika, że powodem śmierci jest utonięcie. Tego jednak nie będzie można nigdy kategorycznie stwierdzić, gdyż stan zwłok wyklucza próbę odmy. Żadnych uszkodzeń czy ran od kuli, ostrego narzędzia lub uderzenia czymś tępym nie znalazłem. Trzeba będzie przeprowadzić szczegółową sekcję zwłok, może ona przyniesie jakieś wyniki.

- Wzrost i wiek się zgadzają - przyznał Stanisław Niemirowski.

- Proszę za mną - lekarz skierował się do osobnego pomieszczenia. - Zwłoki trzymamy w wodzie, bo tutaj nie mamy innej możliwości ich zabezpieczenia.

Przedstawiciel medycyny otworzył drzwi. Wszyscy weszli do środka. Niemirowski był trupio błydy. Rzucił okiem na coś, co pływało w wielkim naczyniu, ni to kadzi, ni to wannie.

- O Boże! - jęknął.

Zachwiał się i gdyby nie stojący tuż obok lekarz, niewątpliwie dyrektor straciłby przytomność. Szybko wyprowadzono go na zewnątrz.

- Niech się pan opanuje - doktor podsunął Niemirowskiemu pod nos flaszeczkę z amoniakiem.

- Dziękuję. Już mi lepiej. Myślałem, że zemdleję.

- Musimy pana prosić, żeby pan jeszcze raz wszedł z nami i przyjrzał się tej kobiecie.

- Nie! - gwałtownie zaprotestował Niemirowski. - Nigdy! Za żadną cenę.

- To konieczne - tłumaczył kapitan z Koszalina.

- Nie mogę...

Nawet Kaczanowski, który przecież z racji swojego zawodu niejedno widział, musiał przyznać, że obraz był makabryczny. Przyszedł więc z pomocą dyrektorowi.

- Nie sądzę, aby pan Niemirowski musiał jeszcze raz oglądać zwłoki.

Stwierdzam, że ta kobieta to nie Krystyna Niemirowska.

- Ooo! - zdziwił się kapitan. - Major znał panią Niemirowską?

- Z widzenia. Ale widziałem ją na trzy dni przed wypadkiem. To na pewno nie ona.

- Po czym pan” poznaje? - zainteresował się lekarz.

- Po włosach. Na czaszce zachowały się resztki skóry z włosami. Wydaje mi się, że są ciemne?

- Tak. Ich właściwy kolor można będzie określić dopiero po umyciu i zbadaniu. Ale to szatynka lub ciemna blondynka.

- Kolor nie ma decydującego znaczenia - powiedział Kaczanowski. -

Wprawdzie pani Niemirowska była platynową blondynką, włosy jednak od długiego przebywania w wodzie mogły rzeczywiście ściemnieć, ale woda nie mogła ich obciąć. Ta kobieta ma krótkie włosy. Widocznie czesała się prawie po męsku: z przodu grzywka, z tyłu parę centymetrów dłużej. Natomiast pani Niemirowska miała włosy długie. Zaczesawała je w koński ogon lub wolno w puklach. Lekko kręcone. Takie włosy miała wychodząc z pensjonatu „Złocień” w dniu swojego zniknięcia. Trudno przypuścić, aby wybierając się na plażę lub kąpać się, wstąpiła przedtem do fryzjera i kazała się tak króciutko ostrzyć. Zresztą można to sprawdzić, bo wiem, u którego fryzjera w Międzyzdrojach czesała się. Tam nie ma tak wielu fryzjerów, aby nie móc sprawdzić w każdym zakładzie. Ta pani miała tak charakterystyczne włosy, że ten, kto by je ścinał, na pewno zapamiętał klientkę.

- A jak pan sądzi? - kapitan zwrócił się do Niemirowskiego.

- Nie wiem, nic nie wiem. Jestem tak roztrzęsiony tym, co widziałem, że nie mogę myśli zebrać - dyrektor znowu sięgnął po piersiówkę i łyknął sporą porcję.

- Moim zdaniem - zaproponował major Kaczanowski - należy wrócić do Koszalina. Podczas drogi pan Niemirowski trochę ochłonie po tym ciężkim przeżyciu. W Komendzie Wojewódzkiej sporządzimy oficjalny protokół.

- Tak będzie najlepiej - zgodził się kapitan. Dyrektor przez cały czas jazdy siedział przy szeroko otwartym oknie. Chociaż nie było za gorąco, pozostali towarzysze podróży nie protestowali. Rozumieli doskonale stan nerwów tego człowieka.

- Co będziemy pisali? - zapytał kapitan, kiedy już wszyscy znaleźli się w jednym z pomieszczeń komendy.

- Proszę zanotować moje oświadczenie. Znalezione zwłoki nie są zwłokami Krystyny Niemirowskiej. Zasadnicza różnica to włosy. Niemirowska miała długie włosy koloru platynowego, a raczej platynowoblond.

- A pan, dyrektorze?

- Ja także to samo stwierdzam. To nie moja żona.

- Pan doktor?

- Kobieta około trzydziestu pięciu lat, wysoka. Przepuszczalny powód śmierci: utonięcie. Konieczna dokładna sekcja zwłok. Włosy na głowie krótkie i prawdopodobnie ciemniejsze niż określone przez pana Niemirowskiego i majora Kaczanowskiego.

Kapitan skrupulatnie zanotował odpowiedzi i podsunął trójce mężczyznom protokół do podpisania.

Ponieważ samolot dawno odleciał z powrotem do stolicy, dyrektor i major wrócili do Warszawy pociągiem. Niemirowski prosto z dworca pojechał do swojej fabryki, zaś major do Pałacu Mostowskich. Poszedł do pułkownika Niemirowicza, aby mu złożyć raport z wyników oględzin.

- A więc znowu nici - zawyrokował zwierzchnik.

- Tym razem cieszę się z tego. To jeszcze jeden dowód, że się nie myliłem i że Niemirowska nie utonęła, ale została zamordowana.

- Widzę, że i ty, i mecenas Ruszyński stajecie się - maniakami na punkcie zgonu tej kobiety.

- Z Ruszyńskim miałem dwa poważne starcia. Jest niepoprawny. Nawet żałuję, że go w ogóle wtajemniczyłem w moje kłopoty. O tej kartce z pogroźkami dowiedziałbym się równie dobrze i od Stanisława Niemirowskiego.

- Co Ruszyński zrobił?

- To, co zwykle. Wydaje się zarozumiałcowi, że jest genialnym detektywem. Drugim Sherlockiem Holmesem.

Prowadzi śledztwo na własną rękę. Odwiedza ludzi, przesłuchuje ich nie wiadomo w jakim charakterze. Naturalnie dowiaduje się tylko tego, co nam dobrze jest znane. A jednocześnie w ten sposób na pewno uprzedził albo zaalarmował przestępcę. Dlatego Ciechanowiecki był taki twardy i nie dał się zaskoczyć.

- Przecież przed kilkoma dniami sam mnie przekonywałeś, że ten człowiek jest niewinny. Z takim wrażeniem wróciłeś ze Szczecina.

- Tak mi się wydawało. Jeżeli jednak wziąć pod uwagę, że Ruszyński swoimi nieprzemyślanymi pociągnięciami wzbudził czujność kelnera ze Szczecina, to był on przygotowany na nasz nait w mieszkaniu, i później umiejętnie grał rolę zdziwionego, przerażonego i wreszcie zrozpaczonego człowieka.

- Nie przypuszczam, aby mecenas postępował tak nieostrożnie i uprzedził Ciechanowieckiego, że go podejrzewasz o morderstwo.

- Tego nie zrobił. Ale pętał się po Sokołowie, Prostyni, Małkini. Rozmawiał z wieloma ludźmi. Jak go znam, popił sobie tego. Język mu się rozplatał i na pewno wypaplał, że prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci Niemirowskiej.

- Nie prowadzimy. Major Kaczanowski zajmuje się tym prywatnie. Jest takim samym „amatozem” jak Ruszyński.

- Ja wiem, ty zawsze bronisz tego siwego playboya i zawsze jesteś contra mnie. Może byś go zaangażował do milicji na moje miejsce.

- To niegłupi pomysł. Żeby tylko zechciał przyjść.

- Dziękuję.

- Naturalnie - poprawił się Niemirosch - nie na twoje miejsce, lecz obok ciebie. To dopiero byłaby z was para. Jestem przekonany, że tylko we dwóch rozwiążecie sprawę Niemirowskiej.

- Mocno dałem po łapach temu pyszałkowi i myślałem, że wreszcie ma dosyć. Nawet zrobiło mi się go później trochę żal. Że tak ostro go potraktowałem. Ale sądziłem, że to jedyny sposób, aby zapewnić sobie spokój. Nic podobnego! On jest niepoprawny. Że też nasz kodeks karny nie przewiduje kilku lat więzienia za samowolne wtrącanie się do dochodzenia milicyjnego. To poważna luka prawna.

- Ruszyński telefonował do mnie przed kilku dniami.

- Do mnie też. Na dwie godziny przed moim wyjazdem do Koszalina.

Wyobraź sobie, miał czelność drwić ze mnie, że wyjazd celem identyfikacji zwłok jest niepotrzebną stratą czasu. Dodał, że ma sensacyjne materiały, które ostatnio zebrał. Poleciał mi dzwonić do siebie, kiedy wrócę znad morza. A już szczytem bezczelności było, że powołał się na ciebie. Że działa za wiedzą pułkownika Niemiroscha. Jeżeli ty nie uspokoisz tego człowieka, nie wiem, co mu zrobię...

- A telefonowałaś do mecenasa po powrocie z Koszalina?

- Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż ta ręka sięgnie po słuchawkę telefonu.

- Ruszyński dzwonił do mnie - Niemirosch pominął milczeniem uwagę Janusza - mówił, że ma pewną koncepcję, i pytał, czy mógłby się tym zająć. Ponieważ nie możesz ruszyć z miejsca, zgodziłem się na propozycję adwokata i obiecałem w razie potrzeby naszą pomoc. Nie zwracał się jednak o nią i nie wiem, co osiągnął.

- Ja także nie wiem i nie chcę wiedzieć.

- Obaj jesteście uparci jak dwa stare kozły - roześmiał się Niemirowicz. - Co ty chcesz od mecenas? Nieraz oddał nam poważne usługi.

- Ciągle to słyszę - Kaczanowskiego ogarniała wściekłość. - Niech oddaje nadal. Wszystkim prócz mnie. Dajcie mu jakie chcecie nagrody czy order, ale niech nie pokazuje tej wstrętnej, okrągłej, beczelnie uśmiechniętej gęby w moim pokoju. Tego dłużej nie zniosę.

- To samo mówiłeś podczas prowadzenia poprzedniej sprawy. A później sam się entuzjastycznie wyrażałeś o Ruszyńskim i byliście w najlepszej przyjaźni.

- Naprawdę wtedy byłem do niego bardzo przyjacielsko usposobiony. Ale on nie chce tego ocenić i znowu pcha się do sprawy jak słoń do składu porcelany.

- A jeżeli Ruszyński naprawdę zebrał jakieś rewelacje?

- Co on mógł znaleźć, jeżeli cały nasz aparat niczego nie uzyskał? Znowu będzie mi głowę zawracał, jak to chłopom dzisiaj powodzi się lepiej niż samej Dziedzicównie i jakie to stare nalewki mają zacni księżulkowie na prowincji. Oto i szlagiery pana mecenas.

- A jeśli?...

- To wejdę pod biurko i wszystko, co mówiłem przeciwko niemu, odszczekam.

- W obecności telewizji i radia?

Obaj oficerowie wybuchnęli śmiechem. Niemirowiczowi udało się rozładować napiętą atmosferę.

- Może mi darujesz ten ostatni warunek?

- Namyślę się. Mówiąc jednak poważnie, nie należy lekceważyć Ruszyńskiego. Szedł twoim śladem i już samo to wskazuje, że postępuje prawidłowo. Jeżeli ten człowiek bez pomocy aparatu, jakim my rozporządzamy, dochodzi do identycznych lub podobnych rezultatów, świadczy, że ma dobrze poukładane w głowie. A ponieważ znam twój upór, przy pierwszej sposobności sam zatelefonuję do adwokata. Kiedy on przyjmuje w zespole?

- W poniedziałki, środy i piątki.

- Dobrze. Zadzwoń jutro. Przyznam szczerze, jestem bardzo ciekawy, dlaczego mecenas z taką pewnością mówił, że oględziny zwłok do niczego nie doprowadzą, bo tą kobietą nie mogła być Niemirowska.

- Ja także byłem tego niemal zupełnie pewien. To jasne, jeżeli Krystyna została zamordowana, jej zwłoki nie znalazły się w Bałtyku. Dla mnie fakt zabójstwa

nie ulega wątpliwości, początkowo wierzyłem więc w pomyślny wynik wyjazdu do Koszalina. Pomyliłem się. W konsekwencji jednak było to dla mnie bardzo pomyślnie, bo utwierdziło mnie w przekonaniu, że mamy do czynienia ze zbrodnią.

- Co z tego, że się nie mylisz, jeżeli sprawa utknęła i nie może ruszyć?

- Ruszy. Trzeba znaleźć pierwszy punkt zaczepienia. Trącić ten małeńki kamyczek, który pociągnie za sobą całą lawinę.

- A może Ruszyński trzyma teraz w ręku ten twój kamyczek i bawi się nim?

Na waszych śmiesznych sporach sprawa tylko traci.

- Na pewno nic ważnego. Stary zarozumialec znowu sobie coś ubrdał. Jak chcesz, dzwoń do niego. Ja się obejdę bez jego rad i wskazówek.

- Oj Janusz, Janusz, już cię widzę, jak włączysz pod stół i słyszę twój piękny baryton. Koledzy z sąsiednich pokojów będą się dziwili, skąd pies w komendzie.

- Wolałbym już i szczekać, byleby pchnąć dochodzenie.

- Ja ci prorokuję. Ruszyński je popchnie. - Nie denerwuj mnie.

- Co ty chcesz od tego człowieka? Inteligentny, dowcipny, przemiły kompan przy kieliszku. Lubi rude. Macie tak wiele wspólnego, że powinniście - żyć w najlepszej zgodzie. A i do największych sukcesów zawsze także dochodzicie wspólnie. Można powiedzieć, dwaj bracia syjamscy.

- Właśnie dlatego szlag mnie trafia. Gdyby to mecenas sam wszystko rozwiązał, Bóg z nim. Ale on wliże w sprawę, namiesza, ile się da, a później, kiedy ja zrobię całą czarną robotę, uśmiecha się z zadowoleniem.

- Zupełnie prawidłowo. Trudno, żeby milicja miała pomysły, a ludzie spoza aparatu wykonywali to, co ty nazywasz „czarną robotą”. Od tej roboty my tutaj jesteśmy.

W tej chwili rozległ się sygnał telefonu. Niemiroch podniósł słuchawkę.

- Tak jest, witam pana mecenasa. Słusznie pan przewidywał, rozpoznanie przyniosło negatywne wyniki... Naturalnie, jest pan u nas zawsze mile widzianym gościem... Przeciwnie, major Kaczanowski z niecierpliwością czeka na sensacyjne wiadomości, które pan mu obiecywał... Co? Wydawało się panu, drogi mecenasie. Major nie może się nachwalić waszej współpracy... Oczywiście zawsze to podkreśla, że bez pana nigdy by nie ruszył z miejsca tamtej sprawy... Więc? Kiedy możemy oczekiwać drogiego mecenasa?... Jutro około dwunastej?... Doskonale, zaraz zawiadomię majora i ucieszę go tą nowiną... Jeszcze raz powiadam, że mecenas jest w błędzie. A co do nieporozumień, w najbardziej nawet kochających się małżeństwach

także dochodzi do wymiany zdań... A zatem do jutra.

Niemiroch odłożył słuchawkę.

- Ja ciebie zamorduję - stwierdził Janusz wychodząc z gabinetu zwierzchnika.

- Coś ty mu o mnie nagadał!

## **Rozdział XII**

### **Dwie twarze Krystyny**

Mecenas Ruszyński wszedł, a właściwie wkroczył do gabinetu pułkownika Niemirocha jak rzymski wódz odbywający tryumf. Wprawdzie nie witały go tysiące wydających radosne okrzyki Rzymian, ale fakt, że w pokoju znajdował się major Janusz Kaczanowski i miał bardzo niewyraźną minę, wystarczał Mieciovi do pełnego szczęścia. Adwokat witał obydwu oficerów milicji jak największych i najmilszych przyjaciół. Po powitaniach rozsiadł się wygodnie w fotelu i zagał:

- Długo myślałem nad całą sprawą zgonu mojej klientki. Najbardziej intrygowało mnie, dlaczego morderca usunął dowód osobisty Krystyny Niemirowskiej. Podziwiam - tu adwokat skłonił się w stronę Kaczanowskiego - że dochodzenie tak sprężyste prowadzone przez majora wyłowiło ten na pozór bez znaczenia fakt. To naprawdę ogromny sukces. Punkt zaczepienia całej sprawy.

Janusz słuchał tych pochwał, jak gdyby ktoś go karmił olejem rycynowym, zaś Miecio tokował dalej:

- Postanowiłem skupić całą swoją uwagę właśnie na tym drobiazgu. Wielokrotnie się zastanawiałem, jaki cel mógł mieć morderca usuwając ten dokument? Jestem człowiekiem o pewnym doświadczeniu życiowym, posiadam także minimum wiedzy prawniczej. Wiem, że przestępca, i to tak sprytny przestępca, jakim jest morderca Niemirowskiej, niczego nie robił bez przyczyny.

- Pan sądzi, że mamy do czynienia z morderstwem? - przerwał pułkownik. - Nie jestem o tym przekonany.

- Może to i nie jest morderstwo, może zbyt pochopnie się wyraziłem - zgodził się adwokat. - Niemniej mamy do czynienia z poważnym przestępstwem. Tego jestem najzupełniej pewien. A czy to także i morderstwo, sprawę ostatecznie wyjaśni milicja i jej as atutowy, major Kaczanowski. Wprawdzie popełnił on maleńki błąd, ale któż z nas nie błędzi? Uczymy się na błędach, powiada jedno z naszych przysłów.

Gdyby Kaczanowski mógł się rzucić na adwokata, natychmiast by to zrobił. Nie ełjciał słuchać dłużej tego przewrotnego peanu na własną cześć, z taką lubością



recytowanego przez „zarozumiałego, wstrętnego, siwego playboya”. A ten ciągnął:

- Nie wątpię, że i majora od początku intrygowało zaginięcie dowodu osobistego. Jestem także absolutnie przekonany, że tak doskonały znawca zagadnień kryminalistyki rozwiązałby tę zagadkę jeśli nie dziś, to jutro. Dlatego też nie roszczę sobie pretensji do dokonania jakiegoś wielkiego wynalazku lub odkrycia, po prostu udało mi się troszeczkę wyprzedzić wybitnego fachowca. Tak jak jeden biegacz czasami zwycięża drugiego o setne sekundy. Niedawno miałem niesłychanie interesującą rozmowę z majorem Kaczanowskim. Wówczas mówił on o ślepej kurze, której uda się znaleźć ziarno. Dzisiaj jestem tą przysłowiową kurą.

Mecenas przerwał przydługą perorę i dumnym wzrokiem potoczył wokoło.

- Czy wiecie, panowie, dlaczego zginął dowód osobisty Krystyny Niemirowskiej?

- Nie wiem - szczerze przyznał pułkownik. Major Kaczanowski milczał.

- Dowód zginął tylko dlatego, żeby nikt z prowadzących dochodzenie i żadna osoba ze służby i gości pensjonatu „Złocień” w Międzyzdrojach nie zobaczyła fotografii znajdującej się w tym dowodzie.

- Tego nie rozumiem - stwierdził Niemirowich.

- Co to zabójcy mogło dać? - zdziwił się major. - Mam zdjęcie pani Niemirowskiej. Zrobiłem je trzy dni przed jej zaginięciem.

- Wielka szkoda, że major przedtem ani słówka na ten temat mi nie powiedział! Gdzie pan ma to zdjęcie?

- Leży w biurku, w moim pokoju.

- Czy mógłby je pan przynieść?

Kaczanowski wzruszył ramionami, jednakże wstał i opuścił gabinet zwierzchnika, aby spełnić tę dziwną, w jego mniemaniu, prośbę. Kiedy wrócił, trzymał w ręku słynną fotkę, która tak wielką rolę odegrała w całej historii. Adwokat rzucił okiem na odbitkę.

- Doskonałe zdjęcie - zauważył. - Można powiedzieć, artystyczna fotografia. Nie wiedziałem, że pan major ma i w tym kierunku tak wielkie zdolności. Twarz tej kobiety wygląda jak żywa. A jaka ekspresja w tym ruchu wbiegania do wody. Ta załamująca się fala, opryskująca biegnącą. Wspaniały sukces. Ze mnie, niestety, zupełnie przeciętny pstry kacze.. Gdzie mi tam do takiego mistrza.

Ruszyński odsunął zdjęcie i dodał:

- Byłoby pouczające porównać twarz widniejącą na tej fotce z innym

portrecikiem pani Niemirowskiej. Tym z dowodu osobistego. Nie mamy go co prawda, ale przy wyrabianiu dowodu każdy musi dostarczyć do Biura Dowodów Osobistych, o ile się nie mylę, trzy zdjęcia. Stamtąd więc można bez trudu zdobyć drugą twarz Krystyny. Wprawdzie tamto zdjęcie pochodzi sprzed kilku czy może kilkunastu laty, ale to nie ma większego znaczenia. Ludzie z biegiem czasu tylko się starzeją, a nie odmładzają.

- Mecenas mówi samymi zagadkami - zauważył Niemirowich.

- Ciągłe major zarzucał mi, że wtrącam się do zadań milicji i prowadzę prywatne dochodzenie. Nie śmiem już niczego więcej robić, niż jedynie służyć drobnym pomysłem. Jeżeli zaś panowie uznacie, że stary Ruszyński jeszcze się na coś może przydać, jutro o tej samej porze gotów jestem pofatygować się do Pałacu Mostowskich, służąc wszelkimi wyjaśnieniami i odpowiadając na wszystkie pytania. Do jutra, do dwunastej godziny wydostaniecie przecież z Biura Dowodów Osobistych zdjęcie, o które mi chodzi. Gdybyście tam napotkali trudności, podobne zdjęcia muszą się znajdować w Biurze Paszportów, bo Niemirowska, aż do czasu swojej ręcznikowej wpadki, często jeździła za granicę. Przy formularzach wyjazdowych znajdują się także jej zdjęcia.

- Mecenas jest jak Pytia - zażartował pułkownik.- Nie mógłby pan już dzisiaj uchylić rąbka tajemnicy?

- Nie ma żadnych tajemnic - adwokat nie dał się przekonać. - Jutro będziecie mieli zdjęcia i porozmawiamy o dwóch twarzach Krystyny. Do widzenia, do jutra.

Z tymi słowami uśmiechnięty mecenas opuścił gabinet pułkownika. Teraz, kiedy obejrzał fotografię zrobioną przez Kaczanowskiego, hipoteza adwokata, hipoteza, która przyszła mu do głowy w czasie jazdy samochodem z Myszyńca, zamieniła się w pewność. A temu zarozumiałemu oficerowi odpłacił się pięknym za nadobne!

Miecio postanowił więc, że dla uczczenia wspaniałego zwycięstwa i jeszcze większego pogwałcenia rywala jutro zaprosi obu oficerów na „lampkę wina”. Nie będą mogli odmówić, chociaż Kaczanowski na pewno wolałby na piechotę maszerować do Międzyzdrojów i z powrotem; niż usiąść obok przeciwnika w „Szanghaju”.

- A może zaprosić ich do „Habany” - Miecio powiedział to w głos nie bacząc, że ktoś ze zdziwieniem obejrzał się za nim. „Habana” jest chyba bardziej wytworna, a zatem i słodycz sukcesu będzie większa.

Kiedy nazajutrz adwokat wszedł do gabinetu pułkownika, major Kaczanowski dał nura pod stół, skąd za chwilę rozległo się basowe „hau, hau, hau”.

- Co się tu dzieje?

- Spieraliśmy się z Adamem - wyjaśnił Janusz wyłaząc spod stołu. - Twierdziłem, że wiadomości, które mecenas ma dla nas, nie posuną dochodzenia naprzód. Założyłem się, że jeśli będzie inaczej, wejdę pod stół i zaszczekam. Przegrałem zakład... A teraz pozwoli pan, mecenasie, że złożę mu serdeczne gratulacje i podziękowania.

- Nie ma za co, nie ma za co - Miecio umiał wygrywać. - Pan sam by na to wpadł.

- Skończcie już z tym Wersalem - zarządził Niemirosch - i siadajcie.

Na biurku pułkownika leżały dwie fotografie. Dwie twarze kobiece. Już na pierwszy rzut oka widać było, że należą do dwóch różnych osób, chociaż trochę podobnych do siebie.

- Jak pan do tego doszedł, mecenasie? - zagadnął major.

- Przyznam się szczerze, że to trwało za długo. Straszna gapa ze mnie. Powinienem wpaść na ten pomysł już przy naszej pierwszej rozmowie o wypadku Niemirowskiej. Tam, w restauracji Hotelu Saskiego. Pamięta pan, majorze?

- Nie znam szczegółów tej waszej rozmowy - pułkownik delikatnie przypomniał o swojej obecności.

- Racja! - szybko zreflektował się Ruszyński. - Oto major opowiadając, że widniał w Międzyzdrojach Krystynę Niemirowska, podkreślał jej urodę. Taki koneser płci pięknej w ten sposób oceniał kogoś, kogo w najlepszym razie można nazwać przystojną kobietą. Te zachwyty powinny mnie były od razu zastanowić.

Przypominam sobie, że wtedy uśmiechnąłem się i zauważyłem, iż są różne gusta.

- Mecenas dodał, że Niemirowska mu się nie podobała - uzupełnił major.

- Być może. Dość, że nie zwróciłem uwagi na słowa majora. Później, kiedy dochodzenie polegające na zbieraniu informacji o członkach bandy „Starego Macieja” nie dało rezultatów, przyszło mi na myśl, że właściwie nic nie wiemy o samej ofierze wypadku, Krystynie Niemirowskiej. Wsiadłem w samochód i pojechałem pod Myszyniec, do jej brata, Józefa Klamy. Miałem zresztą błogosławieństwo pułkownika.

- Jak najbardziej - poświadczył Niemirosch.

- Kiedy rozmawialiśmy z sympatycznym panem Józefem, padały różne

określenia jego siostry. Klama podkreślał, że była ona pracowita i zapobiegliwa. Jak rzadko która żona dbała o męża, chociaż miała charakter apodyktyczny i z nich dwojga w tym małżeństwie to ona była mężczyzną. Mój gospodarz podkreślał także, że Krystyna nie wstydziła się swojego wiejskiego pochodzenia. Co roku przyjeżdżała na wieś pomagać rodzinie przy żniwach. Przywoziła im drzewka owocowe, założyła nowoczesny sad, dostarczała ze swej działki krzaków porzeczek, malin i flanców truskawek.

- Jak zwykle - uśmiechnął się pułkownik - o zmarłych mówiło się w superlatywach. To takie ludzkie i szczerze powiem, przyjemne, że naszym „drogim nieobecnym” zapominamy i przebaczymy wszystko, co czynili złego.

- Jednakże wśród tych pochwał pan Józef powiedział, że do szwagra bardziej by pasowała jakaś miejska wypielegnowana dama niż taka „wiejska dziewczucha”, jaką w rzeczywistości pozostała Krystyna aż do końca. Dlatego wtedy przypomniałem sobie zachwyty majora. Ja nieraz widywałem Niemirowska. Wówczas nagle zrozumiałem, że ta, co utonęła lub w inny sposób zniknęła z Międzyzdrojów, i Krystyna to dwie różne osoby. Moją hipotezę zamienił major w pewność pokazując nam wczoraj fotografię pięknej dziewczyny wbiegającej do wody. Niczego więcej mi nie było potrzeba.

- Błysk geniuszu - pochwalił Kaczanowski.

- Często bywa - skromnie przyznał Miecio - że długo nad czymś myślę i później nagle rozwiązuję to zagadnienie.

- Sprawa jeszcze nie jest rozwiązana - zastrzegł się major.

- Ale dzięki mecenasowi mamy nareszcie coś konkretnego - pułkownik także pochwalił zwycięskiego prawnika.

- Pozostało wiele zagadnień do wyjaśnienia - zgodził się adwokat. - Przede wszystkim kim jest piękna blondynka, która na wczasach podawała się za Krystynę Niemirowska i używała jej dowodu osobistego. Z zameldowaniem, znam to z własnej praktyki, ta kobieta nie miała większego kłopotu. Wypełniła druczek, wpisując tam numer dowodu Niemirowskiej. Jeśli nawet ktoś w pensjonacie sprawdza dowody osobiste, to porównując ich zgodność z oświadczeniem na druczku, a nie czy twarz meldującego się jest podobna do tej na fotografii.

- Zwykle portier zabiera druczek i dowód i na drugi dzień zwraca dokument - potwierdził Kaczanowski. - Na każdy turnus przyjeżdża od razu kilkadziesiąt osób i jednemu człowiekowi byłoby trudno badać tożsamość wszystkich gości.

- Co innego dochodzenie po rzekomym utonięciu pięknej blondynki. Wtedy milicja musiałaby pokazać fotografię pokojówkom, kierownicze pensjonatu i towarzystwu utrzymującemu bliższą znajomość z zaginioną. Dlatego obojętne, czy ta pani sama zniknęła, czy została zamordowana, dość że dowód osobisty musiał także zginąć.

- Sprytne pociągnięcie, ale dzięki jeszcze sprytniejszemu naszemu drogiemu mecenasowi wszystko się wydało - pułkownik ponownie pośpieszył z komplementem pod adresem Ruszyńskiego.

- Dlaczego zniknęła w ten sposób? Przecież turnus kończył się i tak za kilka dni?

- Może została zamordowana?.

- Nie mamy także odpowiedzi, co się stało z prawdziwą Krystyną Niemirowską? Dlaczego do pociągu idącego do Międzyzdrojów wsiadła jedna kobieta, a wysiadła z niego inna z jej dokumentami?

- Jaki był cel tej mistyfikacji?

Trzej mężczyźni stawiali pytania, na które żaden z nich nie umiał odpowiedzieć. Sprawa nagle zmieniła swój charakter i stała się jeszcze bardziej tajemnicza.

- Dla mnie - stwierdził mecenas Ruszyński - jako dla adwokata Krystyny Niemirowskiej najważniejsza jest odpowiedź na pytanie, co się dzieje z moją klientką? Rozmawiałem z panem Niemirowskim, twierdzi, że odwiózł żonę autem na Dworzec Centralny i tam wsadził do pociągu. Bilety: kolejowy i do wagonu sypialnego wykupiła sekretarka dyrektora i osobiście oddała je pani Krystynie. Trzeba było kupić bilet pierwszej klasy, bo w drugiej zabrakło miejsc.

- Jeżeli doszło do zbrodni, to tylko w wagonie sypialnym. W przedziale pierwszej klasy są jedynie dwa miejsca sypialne, więc jedna kobieta mogła zamordować drugą i zagarnąć jej rzeczy - rozumował major. - Wprawdzie jest to mało prawdopodobne, ale teoretycznie możliwe.

- A ciało? - zapytał pułkownik...

- Można je wyrzucić przez okno pędzącego pociągu.

- Pomimo to nie zniknęłoby. Znalazłby je nazajutrz dróżnik przy przeglądzie torów. Trudno przypuścić, żebyśmy mieli do czynienia z całą, świetnie zorganizowaną bandą, gdzie jedni mordują w wagonie, drudzy czekają w wyznaczonym punkcie, aby usunąć zwłoki.

- Oczywiście, że to nonsens - zgodził się Ruszyński.

- Wiemy także, że na linii Warszawa-Międzyzdroje nie znaleziono w sierpniu żadnych zwłok kobiecych - stwierdził pułkownik. - Stąd wniosek, że Niemirowska żyje, a cała komedijka z podstawieniem kogoś innego została przez obydwie kobiety z góry ukartowana. Tylko w jakim celu?

- Rozumiałbym wszystko, gdyby było odwrotnie - zauważył major. - Niemirowska piękną kobietą, a jej dublerka brzydką. Mały romansik gdzieś w ukryciu przed ludzkim spojrzeniem... Ale w tej sytuacji jestem głupi.

- Niemirowska - snuł przypuszczenia adwokat - nastraszył list z Sokołowa Podlaskiego. Mąż stwierdził, że w związku z chorobą tarczycy ulegała ona różnym stanom lękowym. Brat również uważał ją za niezbyt normalną, a przynajmniej za nie zrównoważoną. Może ta kobieta w ten sposób zorganizowała swoje zniknięcie? Bądź co bądź to jej dawało kilkanaście dni pełnego bezpieczeństwa. W tym czasie nikt jej nie posadzał o ucieczkę ani nie poszukiwał.

- A dublerka mogła naprawdę utopić się w Bałtyku - dodał Niemirosch.

- To wykluczone. Wtedy dowód osobisty by nie zginął - zaproponował Kaczanowski.

- Gdyby zresztą tak było, Niemirowska najspokojniej wróciłaby do domu. Ostatecznie nie popełniła żadnego przestępstwa, że zrezygnowała z wczasów, a posłała na nie, na przykład, swoją przyjaciółkę. To były wczasy pełnopłatne i takiej zamiany osób nie można podciągać pod zarzut wyłudzenia.

- Poza tym - wtrącił Janusz - jeżeli Niemirowska rzeczywiście postanowiła zniknąć, to chyba mężowi lub rodzinie dałaby w jakiś sposób znak życia.

- Z tym się nie zgodzę - wyraził swoją opinię Niemirosch. - Co roku mamy wiele wypadków znikania ludzi, zacierających za sobą ślady. Ukrywają się bez żadnego powodu, zmieniają zawód, swój wygląd zewnętrzny, fałszują dokumenty jedynie dlatego, aby ich nie można było odnaleźć. Chociaż nie popełnili żadnego przestępstwa, nikt im nie groził, a stosunki rodzinne układały się zupełnie poprawnie. W referacie poszukiwań w KG MO odnotowano już wiele takich historii.

- Tak czy inaczej, będę miał ręce pełne roboty - stwierdził major.

- Obecnie - oświadczył pułkownik - istnieją wszelkie powody formalne i faktyczne do wszczęcia dochodzenia. Nie do jego wznowienia, bo teraz mamy dwie różne, związane ze sobą sprawy. Zawiadomimy o naszym odkryciu Komendę Wojewódzką w Szczecinie i poprosimy o przekazanie nam akt tamtej sprawy. Mam

nadzieję, że nie będą się upierali przy wyłączności działania.

- Z wielką przyjemnością zwałę wszystko na moje barki, już ja dobrze znam Wacusia Rochacza - dodał Janusz. - Ucieszy się z takiej propozycji.

- Od czego zaczniesz? - zapytał pułkownik.

- Przede wszystkim od ustalenia, kim jest piękna blondynka, która grała w Międzyzdrojach rolę Krystyny Niemirowskiej. Co za szczęście, że zrobiłem tę fotografię! Mam zresztą i inne, nieco gorsze. A także pełny komplet klisz. Sądzę, że nasz fotograf będzie mógł zmontować z tego pełny zestaw, nie gorszy niż te w listach gończych. Roześlemy je po całej Polsce. Tak przystojna dziewczyna nie pozostaje w cieniu. Z jej identyfikacją nie będzie większych kłopotów. A kiedy już odnajdziemy figlarke, porozmawiamy z nią. Wtedy cała zagadka szybko się wyjaśni. Przecież ta dziewczyna musi wiedzieć, co się dzieje z Niemirowska.

- Ale czy zechce nam to zdradzić? - Na pewno się dogadamy.

- Ja także w to nie wątpię - zgodził się Ruszyński. - Ale mam dla majora drugi ślad.

- Pan jest jak ten róg obfitości - ucieszył się Niemirowich. - Już raz mecenas nas zaszczylił, a teraz znowu wydobywa z zanadru coś nowego.

- Może to drobiazg, a może bardzo ważne - zastrzegł się na wstępie Ruszyński - Podczas mojego pobytu u brata Niemirowskiej Klamowa, żona Józefa, przypomniała sobie, że pod koniec czerwca, a ściślej na Świętego Jana, jakaś przystojna kobieta dopytywała się o Krystynę Klamównę. Podawała się za jej przyjaciółkę z lat szkolnych i ze wspólnej pracy w Siedlcach, co zresztą, jak stwierdził Klama, miało się z prawdą, bo jego siostra uczyła się w tym mieście, ale nigdy w nim nie pracowała. Otóż ta pani, rzekomo jadąca samochodem z mężem na wczasy, na Mazury, nic nie wiedziała o zamążpójściu Klamówny i jej zamieszkaniu w Warszawie.

- Dziwną wybrano sobie drogę na Mazury przez Myszyniec - wtrącił pułkownik - dłuższą i gorszą, wstąpił do piekła, po drodze mu było.

- Żona pana Klamy, niczego naturalnie nie podejrzewając, dała nieznajomej adres szwagierki. Kobieta zanotowała go, podziękowała i poszła. Ale kiedy pod koniec lipca czy też na początku sierpnia Niemirowska jak zwykle zjawiła się w rodzinnej wsi, aby pomóc braterstwu przy żniwach, Klamowa opowiedziała jej o wizycie przyjaciółki, Krystyna zdziwiła się, bo nie mogła sobie przypomnieć takiej osoby, zwłaszcza że w Warszawie żadna z koleżanek szkolnych nie nawiązała z nią

kontaktu.

- Ten szczegół może być rzeczywiście istotny - tym razem major nie bagatelizował słów adwokata.

- Pani Klamowa stosunkowo dobrze zapamiętała twarz nieznajomej.

- Jutro wyślemy tam specjalistę od robienia portretu z opisu - postanowił pułkownik. - Jeżeli to była ta blondynka, której zdjęcie mamy?... Pokażemy je zresztą bratowej Niemirowskiej.

- Ktoś inny. Klamowa twierdziła, że tamta kobieta miała ciemne włosy.

- To sprawa peruki lub fryzjera - uśmiechnął się Janusz. - O tym my, mężczyźni, za często zapominamy.

Pułkownik zerknął na zegarek. Dochodziła druga po południu.

- Panowie, nie wyrzucam, ale służba nie drużba. Mam wiele pracy. Nie wyjdę stąd wcześniej niż około szóstej wieczorem.

- Ja także nie wcześniej - westchnął Kaczanowski. Ale Miecio się ucieszył:

- To się świetnie składa. Ja także kończę o szóstej przyjmowanie klientów.

Stolik w „Habanie” będzie na nas czekał. Trzeba uczcić dobry początek. Bardzo panów proszę.

Zwycięzcom niczego się nie odmawia.

### **Rozdział XIII**

#### **Ślady wiodą do Krakowa**

Major Kaczanowski długo studiował swoje notatki. Starał się także uzupełnić je o szczegóły, które zapamiętał z pobytu w Międzyzdrojach. A na drugi dzień zgłosił się do zwierzchnika i poprosił o delegację do Krakowa.

- Do Krakowa? Po co? - zdziwił się pułkownik Niemirowich.

- Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu robienia setek czy tysięcy odbitek zdjęcia blondynki z Międzyzdrojów. Rozsyłać je do placówek milicyjnych, angażować tylu ludzi w tej sprawie, to przecież ogromne koszty. Trzeba pamiętać i o tej stronie medalu. Jestem przeświadczony, że uzyskam potrzebne nam informacje szybciej i nieporównanie taniej właśnie jadąc do Krakowa.

- Można spróbować odnaleźć tę blondynkę za pośrednictwem telewizji i na ekranie pokazać jej zdjęcie.

- Można - zgodził się major. - Przypuszczam, że dałoby to pożądany skutek. Ale mogłoby i zaszkodzić, bo ujawni, że jesteśmy na właściwym tropie. Wolę działać



po cichu, aby przestępca czy też przestępcy niczego się nie domyślili.

- Ty już coś wiesz konkretnego. Znam ciebie. Coś knujesz.
- Trochę - zgodził się Kaczanowski.
- Co?
- To luźne hipotezy. Nie poparte żadnymi faktami. Za wcześnie o nich mówić.
- Ty i Ruszyński, obydwaj jesteście dobrzy. Wart Pac pałaca, a pałac Paca.

Mecenas, kiedy wczoraj wracaliśmy z knajpy i szliśmy w jednym kierunku do domu, powiedział mi, że właściwie to już zna przestępcę, tylko niczego mu nie potrafi dowiedzieć. Był równie tajemniczy jak mój podwładny. Ostatecznie adwokatowi się nie dziwię, ale żeby moi ludzie mieli przede mną tajemnice, to przechodzi wszelkie wyobrażenia.

- Ruszyński to mądry chłop, ale nie spodziewałem się, że podejrzewa to samo co ja.

- Może mi przynajmniej powiesz, dlaczego musisz jechać do Krakowa?
- , Żadna tajemnica. Gdybyś mnie uważniej słuchał, sam byś mnie tam posłał.
- Dowiem się w końcu? - Niemirosz zaczął się irytować.
- Tak jest, panie pułkowniku. Jadę do Krakowa, aby ustalić tożsamość

kobiety, która zaginęła w Międzyzdrojach, w dniu dwudziestego ósmego sierpnia.

Melduję posłusznie, że w Międzyzdrojach założyłem się z pułkownikiem Adamikiem. Ja upierałem się, że dziewczyna pochodzi z Warszawy, a on twierdził, że z Krakowa, bo widywał ją tam w kawiarni Noworolskiego w Sukiennicach i w hotelu „Wawelia”. Obecnie jestem pewien, że pułkownik nie mylił się. Zabieram ze sobą parę odbitek moich zdjęć i mam nadzieję, że w tak prosty sposób bez trudu trafię na ślad tajemnicznej damy.

- Nie mogłeś tego od razu powiedzieć?
- Kiedy, melduję posłusznie, obywatel pułkownik ciągle mi przerywał.
- Jedź sobie do Krakowa i niech cię... Co ja z wami mam! Czego jeszcze

potrzebujesz? Dać jakiś wóz?

- Nie. Pojadę pociągiem. Tylko proszę o uprzedzenie Krakowa, że przyjeżdżam. Chciałbym się tam spotkać z pułkownikiem Adamikiem i dostać pokój w hotelu. Niech zarezerwują, bo ze znalezieniem lokum w podwawelskim grodzie zawsze są kłopoty.

- Najlepiej „Wawelię”. Będiesz w samym centrum operacji.
- Obawiam się, że tam liczą za pokój drożej niż sto dwadzieścia złotych.

Księgowość nie rozliczy mi delegacji albo każe dopłacać z własnej kieszeni.

- Niech cię o to głowa nie boli. Jakoś załatwimy. - Odmeldowuję się - major przepisowo stuknął obcasami.

- Powiedz Krysi, żeby ci wszystko załatwiła. Powodzenia.

Miejsce w „Wawelii” znalazło się, zaś pułkownik Adamik serdecznie powitał towarzysza wczasów w Międzywodziu.

- Jakie dobre bogi sprowadzają majora do nas? - zapytał.

- Nie tyle dobre bogi, co źli ludzie - roześmiał się Kaczanowski - a poza tym ten nieszczęsny zakład.

- O dziewczynę, co się wkrótce potem utopiła. Nie było ciebie już w Międzywodziu, kiedy to się stało. Jagodowicz tryumfował. Twierdził, że nieszczęście spowodowała wyłącznie fatalna fotografia, którą ty zrobiłeś. Wszyscyśmy śmieli się z niego.

- Mnie z tą sprawą wcale nie do śmiechu. Oto zdjęcie - Kaczanowski wyciągnął z teczki fotografię.

- Doskonałe zdjęcie - pułkownik Adamik ponownie pochwalił artystyczną robotę.

- Teraz wiemy, że ta dziewczyna nie była Krystyną Niemirowską, lecz za nią się podawała. Przypuszczamy, że nie utopiła się dwudziestego ósmego sierpnia w Bałtyku, lecz albo została zamordowana, albo gdzieś się ukrywa.

- Major sądzi, że na terenie Krakowa?

- Nie, ale pamiętam nasz zakład. Pułkownik twierdził, że ona pochodzi z waszego miasta i że widywał ją pan w kawiarniach.

- Do tej pory mam wrażenie, że tak było. Ale to kapitalna historia! A co się dzieje z prawdziwą Niemirowską?

- Nie możemy jej odnaleźć. Zginęła jak ciotka w Czechach. Wsiadła do pociągu w Warszawie, a w Międzyzdrojach z wagonu wyszła już jej dublerka.

- Fantastyczne! Jak w kinie.

- Niestety, to nie kino. Prowadzimy dochodzenie.

- Jak wpadliście na tę historię?

- Dzięki naszemu zakładowi i uwadze majora Jagodowicza. Przyznaję, że kiedy w kilka dni później, na Mazurach, przeczytałem w miejscowej prasie o tragedii nad morzem, było mi dość łyso. Nie brałem poważnie uwagi Jagodowicza, jednak nie mogło mi się pomieścić w głowie, że utonąła tak znakomita pływaczka.

- Z morzem nie ma żartów.

- Mimo wszystko to jeszcze nie były warunki, w których toną dobrzy sportowcy.

- A teraz mamy odnaleźć waszego ślicznego blondasa, tak?

- Nawet nie śmiem prosić o to, najwyżej o pomoc.

- Widzę - ucieszył się Adamik - że tego zakładu nie przegrałem.

- Ja także sądzę, że nie obejdzie się bez następnej kolacji. Tym razem ja będę fundatorem. Mogę stawiać i dwa razy, byleby rozgryźć tę sprawę.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał pułkownik.

- W hotelu „Wawelia”

- O, tam nawet bez naszej pomocy trafisz na ślad dziewczyny. Coraz lepiej sobie przypominam, że widywałem ją zarówno w kawiarni, jak i w restauracji. Pokaż tę fotografię kelnerkom, portierom i szatniarzom. Nie musisz kryć, że jesteś z milicji. Pójdą ci na rękę, bo wolą żyć z nami w zgodzie. W rozmowie z portierem powołaj się na mnie. To mu szybko rozwiąże język.

- Widzę, że pułkownik ma wszędzie swoje chody.

- Tak jak ty w Warszawie czy nawet w Międzyzdrojach. Gdybyś nie miał odpowiednich znajomości, nie rozwiązałbyś zaledwie w parę godzin zagadki, kim jest piękna pani z dansingu. Nie miałeś legitymacji, to prawda, ale swoich „chodów” nie zdeponowałeś wtedy u porucznika Walickiego. Przyznaj się, jakie to były „chody”?

- Robiłem, co mogłem, aby wygrać zakład - major wykręcał się od konkretnej odpowiedzi - a i tak na nic się zdało, bo pułkownik górą.

- Słuchaj, Janusz, gdyby ci jednak nic w „Wawelii” nie umieli czy nie chcieli powiedzieć, dasz mi tę fotografię i spróbujemy innymi drogami. Dziewczyna jest za ładna, aby nie można było jej znaleźć. Wprawdzie w Krakowie kobiety są najładniejsze nie tylko w Polsce, ale i na świecie, kudy warszawiankom do nich, takiej blondyneczki nie można jednak nie zauważyć.

- Dziękuję za dobre rady, a co do zakładu, wrócimy do tego tematu.”

Po południu Kaczanowski zjawił się w kawiarni hotelu. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Trochę cudzoziemców, trochę młodych ludzi, o których dochodach na ogół trudno byłoby powiedzieć coś pewnego. Oni natomiast starali się koniecznie pokazać, że „są przy pieniądzech”. Sporo pań krzykliwie ubranych i wyzywająco umalowanych prezentowało krakowski high-life. Bardzo ładne dziewczyny, eleganckie i o dyskretnym makijażu były przedstawicielkami

najstarszego zawodu świata, a od kategorii lokalu zwane „dewizówkami”. Janusz zawsze starał się dociec, dlaczego tak się obecnie dzieje, że damy wyglądają na prostytutki, a te noszą się jak prawdziwe damy.

Major parokrotnie przeszedł się po sali, zajrzał do restauracji, ale znajomej z Międzyzdrojów nigdzie nie było. Skorzystał więc z chwili, kiedy szatniarz był wolny. Kaczanowski przechylił się przez ladę i dyskretnie pokazał małą czerwoną legitymację. Szatniarz doskonale znał ten kształt i kolor dokumentu.

- Przyjechałem z Warszawy, jestem majorem milicji. Znajomym pułkownika Adamika. Chciałbym pana prosić o pomoc.

- Czym mogę służyć panu majorowi?

- Czy widywał pan tę panią?

Akurat do szatniarza podeszło jakieś towarzystwo i major cofnął rękę z fotografią tak szybko, że nikt nie zauważył tego manewru. Szatniarz zajął się gośćmi, a kiedy towarzystwo odeszło w stronę sali kawiarnianej, Janusz znowu pokazał zdjęcie.

Człowiek zza lady rzucił na nie okiem.

- To przecież „Biała Pantera”! Wygląda jak żywa.

- Kto to jest?

- Jedna z „tych”. Specjalistka od Szwedów. Nauczyła się nawet trochę gadać w tym języku i trąca gościom, że miała babkę ze Sztokholmu. Poza swoim głównym zajęciem handlowała dolarami. Raz ją nakryli i siedziała za to. Ale szybko wróciła.

- Szukam tej dziewczyny. Szatniarz zastanawiał się.

- Dopiero teraz, kiedy pan major zagadnął o nią, uprzytomniłem sobie, że „Białej Pantery” już dawno nie widziałem u nas. Zawsze rano siadywała razem z „Królową Nocy” w kawiarni, przy stoliku stojącym na lewo od wejścia. Tam stale urzędowały. Łapały tych, którzy przychodzili na śniadanie. „Królowa nocy” była dzisiaj, ale siedziała z „Rudą Lilką”. „Pantery” nie widziałem chyba od miesiąca.

- Dłużej - poprawił drugi szatniarz, dotychczas w milczeniu przysłuchujący się rozmowie kolegi z oficerem milicji. - Ostatnio była w połowie, a może w początkach sierpnia.

- To blisko prawdy - przytaknął Kaczanowski.

- Potem „Pantery” nie widziałem. Te dziewczyny na lato wyjeżdżają „pracować” na Wybrzeże. Tam wtedy więcej cudzoziemców i gości z forsa. Do

Sopotu, Świnoujścia lub Kołobrzegu. Zawsze we wrześniu wracają. A teraz mamy listopad...

- Może się wydała za jakiegoś Szwedziaka i wywiózł ją za morze?

- Któraś z tych pań opowiadała, bodaj czy właśnie nie o „Panterze”, że jest za granicą i złapała bogatego faceta. One wszystkie na to polują, ale rzadko której udaje się taka sztuka. Tu bywała jedna. Też się jej trafił bogaty Amerykanin, Polak z pochodzenia. Hajtnęła się za niego i wyjechała do Nowego Jorku. Po paru miesiącach udało jej się wrócić przy pomocy naszej ambasady. Milioner okazał się alfonssem, który w ten sposób werbował „towar”.

- Nie znacie, panowie, adresu tej dziewczyny?

- „Białej Pantery”? Skądże znowu, panie majorze. A bo to one mają adres?

- Muszą być gdzieś zameldowane.

- Najczęściej pod Krakowem. Płacą za stały meldunek. A tutaj mieszkają u swoich alfonsiaków albo „na lewo”. Za stówę dziennie albo i drożej, za to bez dokumentów i bez pytania, kto i kiedy składa im wizyty. Najczęściej nocują u nas na górze.

- Jakie jest jej prawdziwe nazwisko?

- A bo ja wiem? Nazywają ją „Białą Panterą”. Są tu takie, jak „Ruda Lilka”, „Królowa Nocy” lub „Złoty Ząbek”. Każda ma jakieś przezwisko, a jedna nie zna prawdziwego imienia drugiej.

- Szkoda. Koniecznie muszę odnaleźć tę waszą „Białą Panterę”.

- Panie majorze, co się pan martwi? Pani kapitan Oleńka zna je jak zły szeląg. Niech pan pójdzie do niej, do Komendy, tam pań dostanie wszystkie informacje: imię, nazwisko, nawet adres sutenera, jeżeli „Pantera” go miała.

- Chyba każda ma?

- Nie zawsze. Są i takie, które pracują na „własny rachunek”. To te mądrzejsze, nie dały się nabrać na „miłość”, nie przelewały pogroźek i umiały się postawić. Do nich należała „Biała Pantera”.

- Pani kapitan Oleńka? To jej nazwisko?

- Nie, ale dziewczyny tak ją nazywają i boją się jej jak ognia. Ja także nie wiem, jak jej nazwisko, ale nawet z Komendy, jeśli jej tutaj szukają telefonicznie, to tak o nią pytają.

W tej chwili jedna z „tych” pań weszła do szatni.

- Panie Antoś, można zatelefonować?

- Proszę bardzo - szatniarz podsunął aparat. Dziewczyna wykręciła numer i zaczęła rozmawiać z kimś po angielsku. Skarżyła się, że czeka przeszło pół godziny i denerwuje się, co dzieje się z jej najdroższym. Major przyznał w duchu, że władała obcym językiem nie gorzej niż niejeden z naszych handlowców. Dziewczyna skończyła rozmowę i dyskretnie, Kaczanowski jednak to spostrzegł, wsunęła dziesiątkę w rękę szatniarzowi. Koszta handlowe w tym zawodzie są wyjątkowo wysokie.

Nazajutrz Kaczanowski podzielił się swoimi informacjami z pułkownikiem Adamikiem. Krakowianin zatarł ręce.

- Dobrze mówiłem, że to krakowska dziewczyna. Ma się jeszcze to oko.

- Zwłaszcza do pięknych kobiet.

- A zakład wygrałem.

- To już nie ulega żadnej wątpliwości i zawsze służę pułkownikowi.

- Co do tajemniczego kapitana Oleńki, wszyscy tu ją znamy. Pani kapitan Olga Pawlina prowadzi w naszej komendzie referat walki z nierządem i rzeczywiście jej „podopieczne” nazywają ją „kapitanem Oleńką”. Chodźmy do niej.

Pani Oleńka okazała się czarującą, przystojną kobietą, ubraną może skromniej niż jej „podopieczne”, ale na pewno niemniej elegancko. Tą spokojną, wytworną elegancją nie rzucającą się w oczy, ale widoczną w każdym calu.

- „Biała Pantera” - roześmiała się pani kapitałoi. - Major ma dobry gust. To jedna z najładniejszych i najciekawszych krakowskich „dewizówek”. Ile ja się napracowałam, aby wyciągnąć ją z tego bagna. Rozmawiałyśmy, przyznawała mi rację, obiecywała poprawę i za parę dni znowu siedziała w kawiarni. Dawałam jej dobrą posadę, bo dziewczyna jest wykształcona.

- Nawet mówi po szwedzku.

- Major zebrał dobre informacje. Poza tym płynnie po angielsku, po niemiecku i trochę po francusku. Te „lepsze” z mojej puli władają obcymi językami. Specjalnie się uczyły. „Biała Pantera” rzuciła liceum na parę miesięcy przed maturą. Na tę drogę weszła raczej z cudzej, niż ze swojej winy.

- Ciekawe.

- Leokadia Dembał, tak brzmi jej nazwisko, jest córką rzemieślnika z Tarnowa. Dość dobrze zarabiającego krawca. Człowieka o starych obyczajach. Dziewczyna kształciła się w jednej ze szkół w Krakowie, bo tutaj mieszka jej stryj. Wykazała duże zdolności pływackie. Mistrzostwo województwa, dobre miejsca na

Mistrzostwach Polski, kadra. Jednym słowem, początek kariery sportowej. Łodzią miała zdawać maturę i zapisać się na Akademię Wychowania Fizycznego. Niestety, plany wzięły w łeb.

- Dlaczego?

- Dziewczyna ładna, młoda, o dużym temperamencie. Pojechała na obóz sportowy. Gdzieś pod Warszawę. Bodaj do Otwocka, skąd dojeżdżali na basen pływacki do stolicy. Pewnego dnia kierownik obozu zastał Leokadię i jednego z pływaków w jej pokoju w niedwuznacznej sytuacji. Cóż, takie rzeczy zdarzają się. Natomiast reakcja kierownictwa była, moim zdaniem, za daleko posunięta. Dziewczynę natychmiast usunięto z obozu i skreślono z kadry. To w porządku. Można ją było także wyrzucić z klubu, którego barwy miała reprezentować. Ale w ukaraniu dziewczyny zapędzono się. Na trzy miesiące przed maturą zawiadomili o wszystkim szkołę, a także rodziców. Dyrektorka szkoły okazała się kobietą na takim samym poziomie, jak kierownik obozu. Dziewczynę usunięto z liceum, roztrąbiwszy tę historię na cały Kraków.

- A rodzice?

- Ojciec zbił córkę do utraty przytomności i wyrzucił na ulicę. Resztę pan może sobie łatwo dośpiewać. Kiedy „Biała Pantera” już w nowym charakterze zjawiała się w Krakowie, od razu się nią zajęłam. Jeszcze nie było za późno na ratunek. Ale dziewczyna wręcz mi powiedziała, że będzie to robiła na złość ojcu, szkole, klubowi...

- A przede wszystkim samej sobie.

- To samo jej tłumaczyłam. Niestety, bezskutecznie. Ostatecznie poza perswazją, możliwością pomocy przy zmianie miejsca zamieszkania i wyszukaniem odpowiedniej pracy, jesteśmy bezsilni. Oto cała smutna historia „Białej Pantery”.

Major opowiedział dziwne zdarzenie z Międzyzdrojów, kończąc pytaniem:

- Co się z nią dzieje?

- Ta dziewczyna nie miała żadnej wpadki.. Nie okradała swoich klientów, chociaż często się to zdarza poszukiwaczom łatwych przygód. Pod tym względem cieszyła się wyjątkową opinią; Raz miała jakiś zatarg z władzami karno-skarbowymi. Sprzedawała kilkaset dolarów. Podobno na zlecenie pewnego cudzoziemca. Wpadła na tym, a ten Austriak z miejsca wyjechał za granicę. Leokadia Dembał trochę siedziała i musiała zapłacić wysoką grzywnę. Nie przypuszczam, aby zgodziła się na uczestniczenie w jakiejś większej kryminalnej aferze. Zresztą po co jej to było?

„Koleżanki” twierdziły, że „Biała Pantera” zbiera pieniądze. Chciała się dorobić i osiedlić w Zakopanem, gdzie zamierzała otworzyć przedsiębiorstwo. Podobno wspominała o pralni mechanicznej. Wiemy, że Leokadia Dembal zniknęła przed kilkoma miesiącami z terenu Krakowa, ale moja „opieka” nad tymi dziewczętami nie obejmuje interesowania się i martwienia ich wyjazdem.

- Nie wpłynęło zameldowanie o jej zaginięciu? Pani Oleńka zaprzeczyła.

- Kto to miał zrobić? Ta kobieta, u której była zameldowana w Wieliczce, gdzie zresztą chyba nigdy nie przenocowała? Albo ta druga, u której „Biała Pantera” wynajmowała elegancki pokój, ale w zamian za grube pieniądze? Ta mogła tylko zarobić przywłaszczając rzeczy dziewczyny. Sutener? Jeśli jej poszukiwał, to na pewno nie z pomocą aparatu milicyjnego. Zresztą, o ile wiem, ona nie miała „opiekuna”. Bo i pod tym względem była jednym z nielicznych wyjątków wśród „dewizówek” naszego miasta.

- Czy można by jednak dowiedzieć się o niej czegoś więcej?

- Możemy spróbować, popytać dziewcząt. Czy powiedzą nam prawdę i czy całą prawdę, wątpię. Dla tych pań jesteśmy przecież po drugiej stronie barykady. Uważają, że zatruwamy im życie, przeszkadzamy „w pracy”.

- Ale spróbujmy. Być może, że mamy do czynienia z morderstwem lub innym poważnym przestępstwem.

- Jak już powiedziałam, nie sądzę, aby Leokadia uczestniczyła w zamordowaniu tej waszej Krystyny Niemirowskiej. Raczej pomagała jej w ukryciu się czy ucieczce za granicę.

- Tym bardziej trzeba dziewczynę odnaleźć, aby zdobyć klucz do rozwiązania zagadki.

Pani kapitan spojrzała na zegarek. Dochodziła godzina jedenasta.

- Zajrzyjmy do kawiarni. Zwykle o tej godzinie „dyżuruje” tam kilka dziewcząt. Może się uda pociągnąć którąś za język.

Wejście pani Oleńki do - kawiarni wywołało natychmiastową reakcję. Kilku przesadnie elegancko ubranych młodych ludzi zostawiło na stoliku pieniądze i prawie biegiem pokłusowało do szatni. Także i eleganckie panie kiwały na kelnerki, aby zapłacić za małą kawę lub za „Pepsi-Cola”. Inne, którym się zdawało, że nie mają niczego na sumieniu i że obecność pani kapitan niczym im nie grozi, witały ją ukłonem i najmiłym uśmiechem.

Pani Pawlina rozejrzała się po sali i skierowała do stolika, gdzie siedziały



dwie dziewczyny.

- Prosimy panią Oleńkę do nas - „dewizówki” robiły dobrą minę do złej gry.

- Tak wcześnie, a wy już na posterunku? - zauważyła milicjantka. - To major z Warszawy. Przyjechał tu w ważnej sprawie.

Obie panie dygnęły niczym grzeczne pensjonarki.

- Wpadłam na małą kawę, pani kapitan - tłumaczyła się przystojna brunetka. - W przyszłym miesiącu wychodzę za mąż. Nie będzie pani miała ze mną więcej kłopotów.

- Ile mi to razy mówiłaś? Chyba ze trzydzieści albo znacznie więcej.

- Ale teraz to już naprawdę.

- Daj ci Boże - Pawlina nie wierzyła w te zapewnienia.

Znała życie zarówno wielkiego świata, jak i półświatka. Wiedziała, że wycofują się z „zawodu” tylko nieliczne. Inne regularnie spadają szczebel po szczeblu. Najpierw lokale „Lux” czy „S”, takie jak „Wawelia”, by skończyć w najgorszych spelunkach, na rogu ulicy lub przed dworcem.

- Ja wyjeżdżam, pani kapitan. Już w przyszłym miesiącu. Do Wrocławia, do pracy. Z jedną krawcową zakładamy dom mody przy Stalingradzkiej.

- Też ci życzę powodzenia, chociaż obawiam się, że wkrótce obie znowu tu zobaczę. Ale cóż ja mogę na to poradzić?

Podeszła kelnerka i przyniosła zamówienie.

- Dzisiaj nie przyszedłam po to - milicjantka przystąpiła do rzeczy - aby wam przepowiadać marną przyszłość ani umoralniać. Prędzej czy później przekonacie się, że miałam rację. Oby nie było za późno... Chodzi mi o „Białą Panterę”.

- „Biała Pantera”? - zdziwiła się jedna z dziewcząt.

- Nie udawaj, że jej nie znasz. Co się z nią dzieje?

- Dzisiaj jej tu nie ma - odpowiedziała druga. - Widziałam ją wczoraj, a może ze trzy dni temu?

- Nie kłam, Elu. Radzę, nie próbujcie wyprowadzić mnie w pole. To się wam i tak nie uda.

- Ależ, pani Oleńko... Ja nigdy... Bardzo przepraszam, pomyliłam z „Gołą Mańką”. One są takie podobne.

- Jak pięść do nosa - mruknęła pani kapitan. - Więc co się dzieje z „Panterą”?

- Nie widziałam jej od dawna - przyznała dziewczyna. - Od paru miesięcy.

Może wyjechała? Ja ją ledwie znałam.

- Znowu kłamiesz. Komu ty chcesz zawracać głowę? Jakbym nie wiedziała, że zawsze dyżurowałyście przy jednym stoliku.

- No tak, ale ona mi się nie zwierzała. Była skryta.

- Lepiej byś zrobiła, abyś sobie jednak to i owo przypomniała. Pan major z Warszawy prowadzi poważne dochodzenie w sprawie, gdzie „Biała Pantera” jest mocno zamieszana. Tam chodzi o morderstwo. A wiecie, kto utrudnia śledztwo, sam może się do niego przykleić. Nawet jak się wyjaśni, że działał w dobrej wierze albo jedynie przez głupotę, upłynie kilka lub kilkanaście miesięcy. Spędzonych naturalnie nie w kawiarni „Wawelia”.

- Morderstwo! - przestraszyły się obydwie dziewczyny-

- Tak jest, morderstwo - przyświadczył major Kaczanowski. - Gdyby nie powaga sprawy, nie prosiłbym pani kapitan o pomoc i nie przyszlibyśmy tutaj. Woleliśmy jednak z paniami szczerze porozmawiać przy kawiarnianym stoliku, zamiast wzywać je do Komendy MO na oficjalne przesłuchania.

- Ale jeżeli nic nie wiecie, to trudno... - Paulina zrobiła gest, jak gdyby chciała wstać.

- Ależ, pani kapitan! - dziewczyna, nazwana przez milicjantkę Elą, złapała ją za rękę. - Proszę nie odchodzić. Postaram się coś sobie przypomnieć.

- Mnie „Biała Pantera” coś napomykała o swoich planach - przyznała się druga z „dewizówek”, ponieważ pragnęła uniknąć bliższego kontaktu z gmachem komendy milicji, którego dolne partie już poznała.

- Co wiesz, Elu? Tylko nie próbuj blagować.

- Pani kapitan - w głosie dziewczyny brzmiał taki wyrzut, jak gdyby spotkała ją największa krzywda. - Ja zawsze mówię prawdę. „Pantera” wyjechała z Krakowa w sierpniu.

- To i my wiemy. Dokąd wyjechała i dlaczego?

- Nie wiem. Ale mówiła, że tutaj nie wróci. Sprzedawała swoje rzeczy. Sama kupiłam od niej dwie sukienki. Sprzedała także futro.

- Likwidowała się z Krakowa i ust nie otworzyła, co zamierza robić? Niech panie nie wystawiają mojej cierpliwości na zbyt wielką próbę. A ty co wiesz, Haniu?

- Ona kupowała dolary - druga dziewczyna wreszcie uznała, że lepiej mówić prawdę.

- Dolary? Wy raczej sprzedajecie dolary, a nie kupujecie ich. Coś o tym wiemy.

- Kupowała dolary, bo wyjeżdżała za granicę.

- Dokąd?

Dziewczyna zawahała się.

- Nie wiem, nie pamiętam.

- Znowu kłamiesz. A ty, Elu?

- Ona wyjechała do Szwecji - wykrztusiła druga „gejsza”.

- No, nareszcie wraca wam pamięć. Jak to było?

- Lodzia mówiła, że ma Szweda, który przyjeżdża do niej do Krakowa i jest strasznie zakochany. Chciał się z nią żenić.

- Nie mógł tego zrobić w Polsce?

- Nie wiem. Dość, że „Biała Pantera” postanowiła pojechać do niego.

- Nie bujasz?

- Jak Bożię kocham, mówię prawdę. Widziałam tego Szweda. Wysoki, rudawy. Był tu ostatnio w początkach czerwca. Mieszkał w hotelu. To przecież można sprawdzić. Lodzia nazywała go Erykiem. Trochę mówił po polsku, ale bardzo śmiesznie. Później pisał do niej listy. Kiedyś pokazywała mi taki list i przekaz na pięćdziesiąt dolarów na PKO. Pani kapitan może poszukać w PKO tego przekazu.

- Interesujące informacje, jestem ogromnie pani wdzięczny - Kaczanowski z całą galanterią podziękował rozmówczyni. - Czy pani Dembał mówiła coś więcej o swojej przyszłości?

- Szwed miał zapłacić za przewiezienie Łodzi do Szwecji albo do jakiegoś innego portu w Skandynawii, a może w zachodniej Europie? Trzeba było tylko czekać na okazję. Dlatego też ona zlikwidowała wszystko w Krakowie i wyjechała nad morze, skąd miała prysnąć na statek.

- A dlaczego ten Szwed po prostu nie przysłał jej zaproszenia? Mogła wyjechać z kraju najzupełniej legalnie.

- Ona mówiła, że nie dałaby jej paszportu. Pani kapitan wie, siedziała za dolary.

- Szwed po nią przyjechał?

- W Krakowie go nie widziałam. Może czekał na nią gdzieś w porcie... W pierwszych dniach sierpnia Lodzia powiedziała nam: „Jutro wyjeżdżam. Już mnie tutaj nie zobaczycie. A jak będę w Szwecji panią, przyślę wam zaproszenie, Także was bogato wyswatam. Zobaczycie!”

- No i co?

- Do tej pory nie odezwała się. Pewnie tak gadała, żeby gadać, a kiedy już złapała tego Szwedziaka, nie chce znać zwykłych... z Krakowa. Tak to zawsze bywa. Syty głodnego nie rozumie ani mu nie pomoże.

- Już wy obie jesteście głodne - uśmiechnęła się pani Oleńka.

- Czy - zapytał Kaczanowski - pani Dembał nie wymieniała nigdy nazwiska: Krystyna Niemirowska?

- Nie. A kto to taki?

Oficer milicji wyjął fotografię, podał ją dziewczynom. Uważnie obejrzały podobiznę.

- Nigdy tej facetki nie widziałam - stwierdziła Ela.

- Po tej ostrej brodzie bym ją zapamiętała. Za przystojna nie jest - skrytykowała druga „dewizówka” - chociaż pewnego podobieństwa z „Białą Panterą” można jednak się doszukać.

- A może słyszały panie nazwisko „Klamówna” albo „Klama”?

Obydwie dziewczyny kategorycznie zaprzeczyły.

- Opowiadając o wyjeździe do Szwecji, „Biała Pantera” nie wspominała, z którego portu miała nastąpić ucieczka?

- Nie. Miała nad morzem czekać na wiadomość, bo wyjazd mógł nastąpić w każdej chwili. Podobno wszystko było zorganizowane.

- Czy ktoś z Polaków miał pomagać temu Szwedowi w organizacji ucieczki?

- Nie wiemy. Łodzianka nie była skłonna do zwierzeń. W ogóle o wyjeździe powiedziała dopiero w sierpniu, a w dwa dni później zniknęła z Krakowa.

Kapitan Oleńka dała znak kelnerce, major zapłacił za dwie „Cole” i podziękował obu paniom za informacje.

- Sądzę - stwierdziła Pawlina, kiedy wraz z Kaczanowskim opuszczali kawiarnię - że dziewczyny mówiły prawdę. Trochę się jednak mnie boją, chociaż tak mówiąc między nami, najwyżej mogę je postraszyć. Ale czy wyznały całą prawdę, tego nie wiem.

- Przypuszczam, że rzeczywiście niewiele więcej wiedzą. „Biała Pantera” i tak rozpaplała aż za dużo. Inna na jej miejscu zniknęłaby pewnego poranka bez słowa uprzedzenia. Nikt by nic nie wiedział, co się z nią dzieje.

- Nie byłaby kobietą, gdyby się nie chciała pochwalić.

- Trzeba sprawdzić, czy ten zakochany Szwed istniał naprawdę.

- Powie major pułkownikowi Jagodowiczowi i jego ludzie to załatwią.

W kilka godzin później major uzyskał wiadomość” że do Krakowa przyjeżdżał obywatel szwedzki Eryk Janson. Ostatnio był w początkach czerwca. Jest to przedstawiciel czy też współwłaściciel dużej firmy w Sztokholmie.

## **Rozdział XIV**

### **Ślady wiodą do Sztokholmu**

A tymczasem pułkownik Adam Niemirowicz także nie próżnował. Jego ekipa odwiedziła Myszyniec i wieś, gdzie mieszkali Kłamowie. Na podstawie informacji Kłamowej specjalista wykonał całkiem udany „portret z opisu” tajemniczej nieznajomej, która w lecie dopytywała się o Krystynę. Inni wywiadowcy starali się zasięgnąć dodatkowych danych o podróżnych, którzy taką drogą jechali na wczasy, na Mazury.

W tych poszukiwaniach pomogło im, że Kłamowie zapamiętali datę wizyty, która przypadła na dzień Świętego Jana, dwudziestego czwartego czerwca. Była to niedziela, a chociaż na wsi roboty nigdy nie brakuje, młodzież w przeddzień urządziła „Sobótki” i zdarzenie lepiej utrwaliło się w pamięci. Dlatego wywiadowcom udało się odnaleźć dwóch chłopców, jeden z nich był nawet bliskim sąsiadem Józefa Kłamy. Malcy potwierdzili, że na ulicy zatrzymała się czerwona Skoda, prowadzona przez mężczyznę. Z samochodu wysiadła kobieta i właśnie tych młodzieńców zapytała o dom „kowboja”.

- Pytała o „kowboja”?

- Nie. Pytała o Józefa Klame, który ma siostrę, a ta siostra złapała bandytów - tłumaczył chłopak. - To przecież mógł być tylko „kowboj”.

- A potem?

- Pokazaliśmy drogę i opisaliśmy, jak wygląda dom pana Kłamy. Ona poszła w tamtym kierunku.

- Sama?

- Tak. Ten pan, co kierował, nie wychodził z samochodu.

- Jak wyglądała ta pani?

- Zwyczajnie - chłopcy nie potrafili określić wyglądu nieznajomej. - Miała ciemne włosy.

- A ten pan?

- Miał okulary.

- Samochód był czerwony?

- Tak. Nowy. Ale już stuknięty. Prawy błotnik był trochę wgnieciony - młodzi ludzie zwracali większą uwagę na auto niż na przystojną kobietę. - Ale nie za mocne. Lakier nie zlazł, ale widać było wgłębienie na blasze. Pewnie się cofał i zawadził o zderzak stojącego za nim wozu.

- Jaką numerację miał samochód?

- Warszawską „WW”, ale na numer nie patrzyliśmy.

- Na pewno dwa „W”?

- Na pewno. To mnie zaciekawiło, że litera powtarza się dwa razy. Co to znaczy?

- „WW” oznacza, że samochód jest zarejestrowany w śródmieściu Warszawy. Każda dzielnica miasta ma inne litery - wyjaśnił wywiadowca.

Informacje prowadziły do stolicy. Ustalenie, kto w jej śródmieściu posiada nową, czerwoną Skodę, nie przedstawiało większych trudności. Sprawdzenie, który z tych wołów ma rzeczywiście lekkie uszkodzenie prawego błotnika, wymagało jedynie czasu. W ten sposób w trzy dni później pułkownik Niemiroch miał na biurku raport, że właściciel samochodu nazywa się Ludwik Popiołek, a jego żona ma na imię Marta. Jest urodzona w Siedlcach i ma trzydzieści jeden lat. Jej wygląd odpowiadał „portretowi z opisu”.

O omyłce nie mogło być mowy i pani Popiołek otrzymała wezwanie do milicji.

Żeby jej zbyt nie płoszyć, nie do Komendy Stołecznej, lecz do dzielnicy. Zjawiła się punktualnie, w towarzystwie męża. Jak najuczciwszy człowiek, nie mający absolutnie nic na sumieniu, dostaje wezwanie, że nazajutrz ma się zgłosić do komendy milicji, zaczyna grzebać w pamięci, kiedy i co mógł przeskrobać. Właściciele samochodów wiążą otrzymanie „powiestki” ze swoim wozem, zastanawiając się, kiedy to ostatni raz wymusili pierwszeństwo drogi... Dlatego też pani Marta uznała, że będzie się lepiej czuła, jeśli zjawi się w gmachu milicji w towarzystwie męża.

Przesłuchanie w zastępstwie Janusza Kaczanowskiego, bo major jeszcze nie wrócił z Krakowa, prowadził jeden z jego pomocników, porucznik Rogalski. Obecność obojga małżonków potraktował jako rzecz naturalną, spisał ich personalia i przystąpił do sedna sprawy:

- Dokąd państwo jeździli pod koniec czerwca? Macie czerwony samochód Skoda.

- Mamy - przytaknął pan Ludwik. - Byliśmy na wczasach, na Mazurach. W leśniczówce pod Giżyckiem.

- Jaką trasą państwo jechali?

- Normalnie, jak się jeździ na Mazury - Popiołek zaczął się denerwować tą indagacją.

- Najbliższą drogą? Na Mławę, Olsztynek, Olsztyn?

- A jak inaczej? - zdziwił się Ludwik Popiołek.

- Można na Przasnysz i Szczytno, a dalej Mrągowo z ominięciem Olsztyna.

- Zapomniałeś - wtrąciła żona - że pojechaliśmy przez Ostrołękę, aby wstąpić do Myszyńca.

- Racja! Zapomniałem. Z Myszyńca jechaliśmy krętymi drogami do Mrągora. Czy to takie ważne?

- Zboczyliście z głównych szos.

- Za Myszyńcem leży wieś Dąbrowa. Chciałam tam odnaleźć dawną koleżankę szkolną.

- Odnalazła ją pani?

- Nie. Tam nie mieszka. Ale dano mi jej adres. To śmieszne, od wielu lat mieszkamy w Warszawie i ani razu nie spotkałyśmy się.

- Można wiedzieć nazwisko tej pani?

- A co to was obchodzi? - wtrącił się Popiołek. - Nie wolno mieć znajomych?

- Od zadawania pytań jesteście my. A poza tym nie pan był wzywany, lecz pani.

- Nie denerwuj się, kochanie - żona uspokajała męża. - Przyjaciółka nazywa się Krystyna Klamówna, a teraz nosi nazwisko... ojej, zapomniałam, ale zapisałam jej adres w notesie. Razem z adresem i telefonem.

- Widziała się pani z nią?

- Nie. Kiedy wróciliśmy z Mazur tak jakoś zeszło, że zatelefonowałam dopiero w sierpniu. Jakiś pan, pewnie mąż, objaśnił, że Krystyna wyjechała nad morze do Międzyzdrojów i wróci dopiero pod koniec miesiąca. Ale ponownie do niej nie telefonowałam.

- Skąd pani zna Niemirowska?

- Właśnie! - ucieszyła się Popiołkowa. - Ona nazywa się Niemirowska: Chodziłyśmy razem do tej samej szkoły w Siedlcach i mieszkaliśmy w jednym domu. Potem ona pracowała w pobliżu, w Sokołowie Podlaskim, ale na każdą niedzielę i

święto przyjeżdżała do Siedlec, do ciotki.

Krystyna dokonała bohaterskiego czynu, walczyła z bandytami, którzy chcieli obrabować sklep. Potem w czasie procesu różni tacy grozili jej, więc wolała wyjechać z naszych stron. Dostała pracę we Wrocławiu. Początkowo pisała dosyć często. Później, jak to zwykle bywa, korespondencja zaczęła się rwać. W ostatnim liście zawiadomiła mnie o bliskim ślubie, ale nie podała nazwiska przyszłego męża ani jak zamierzają się urządzać. Więcej się nie odezwała. Szczęśliwi nie piszą listów. Znałam wiejski adres Krystyny, bo kiedyś spędzałam tam z nią wakacje. W tym roku postanowiliśmy wyjechać na urlop na Mazury, popatrzyłam na mapę i zauważyłam, że jadąc przez Myszyniec nadłożymy niezbyt wiele drogi. Namówiłam męża i w ten sposób otrzymałam adres dawnej przyjaciółki. Jeszcze dzisiaj do niej zatelefonuję...

Ponieważ sprawa była jasna i czysta, porucznik podziękował państwu Popiołek i jedynie zaznaczył:

- Niech się pani nie trudzi z tym telefonem. Pani Niemirowska zaginęła bez śladu. Właśnie z tego powodu wzywałem panią na przesłuchanie.

Po powrocie z Krakowa major zrelacjonował zwierzchnikowi efekty swojej podróży, a w zamian pułkownik poinformował Kaczanowskiego, że ślad wskazany przez mecenasa Ruszyńskiego okazał się kolejnym niewypałem.

- Niemniej sprawa posunęła się naprzód - stwierdził „stary”. - Dzięki adwokatowi i twoim krakowskim osiągnięciom ustaliliśmy, że dwie kobiety: Krystyna Niemirowska i Leokadia Dembal zniknęły w ciągu sierpnia. Niemirowska w dziwny sposób w drodze z Warszawy do Międzyzdrojów, zaś Dembal rzekomo utonęła w Bałtyku. Ta druga planowała ucieczkę za granicę. Co łączyło dwie panie, oto najważniejsze z pytań. Czyżby uciekły razem?

- Bardziej prawdopodobne jest to, że najpierw uciekła Niemirowska. Dojechała do Międzyzdrojów, a tam czekała na nią „Biała Pantera”. Otrzymała od dyrektorowej jej dokumenty i z nimi powędrowała do pensjonatu „Złocien”. A tymczasem Niemirowska albo wróciła do Szczecina, albo w jakiś sposób przemyciła się na jeden ze statków ładujących węgiel w Świnoujściu. Taka wersja jest do przyjęcia, bo najczęściej te węglowce pływają pod szwedzką banderą i wożą opał do Skandynawii. W parę tygodni później ten sam statek mógł zabrać Leokadię Dembai, która upozorowała śmierć w morzu. Świadkowie mówili, że wychodząc ze „Złocienia” miała mocno wypchaną torbę. Część rzeczy pozostawiła na dzikiej plaży, a przebrała się w drugą suknię i nałożyła płaszcz. Dlatego nie znaleźliśmy bielizny tej



kobiety. Zegarek i dowód osobisty Niemirowskiej zabrała ze sobą. Wtedy padał deszcz, więc po nałożeniu kaptura i przy szybkim marszu do stacji kolejowej czy na przystanek autobusu nawet nie ryzykowała, że ktoś znajomy może ją zobaczyć i rozpoznać.!

- Taką sztuczkę z utonięciem mogła i sama Niemirowska zainscenizować - rozumował pułkownik. - Wtedy można było zostawić dowód osobisty na plaży. Do czego Krystynie potrzebna była dublerka na dwa tygodnie?

- Sądzę, że ona naprawdę bardzo się obawiała zemsty, bandytów. Dlatego czekając na przerzut, wołała się skryć pod cudzymi dokumentami. Przypuszczam, że po prostu zamieniła się z panią Dembal papierami. Jedna odgrywała rolę Niemirowskiej, druga siedziała gdzieś w pobliżu jako Leokadia Dembal. Krystyna uciekając z Polski chciała za sobą spalić wszystkie mosty, stąd to upozorowanie wypadku na plaży.

- Twoja teoria pozornie trzyma się kupy - zgodził się Niemiroch. - Ale przecież są w niej wielkie luki.

- Sam o tym wiem, jak też i o tym, że nie jest poparta żadnymi dowodami. Dlaczego „dewizówka” z Krakowa zgodziła się grać rolę dublerki? Dlaczego do tej pory nie pochwaliła się przyjaciółkom udaną ucieczką? Dokąd uciekła Niemirowska?

- Pewnie do brata do USA.

- Nie tak łatwo tam się dostać. Stałej wizy amerykańskiej nie chcą dawać.

- Zaproszenie mogło na nią czekać w Szwecji. Niemirowska mówiła, że nie otrzyma paszportu i musi opuścić kraj nielegalnie. Może właśnie ta parotygodniowa zwłoka była jej potrzebna na nawiązanie kontaktu z bratem i oczekiwanie na zaproszenie? A czym się kierowała ta Dembal? Widocznie dostała za tę przysługę odpowiednią ilość pieniędzy.

- Musimy zbadać, co robił w Polsce pan Eryk Janson - powiedział Kaczanowski. - Niech nam władze paszportowe wyjaśnią, czy on często przyjeżdżał do Polski i w jakim charakterze? Wiadomości milicji krakowskiej, że to bogaty przemysławiec ze Sztokholmu czy też przedstawiciel jakichś firm handlowych, są niewystarczające. Zgadza się, że to on zorganizował ucieczkę Leokadii Dembal, bo mu dziewczyną wpadła w serce i chciał się z nią ożenić lub po prostu mieć ją bliżej siebie. Z jakiego jednak tytułu Szwed służył także pomocą Niemirowskiej? Dla mnie jest jasne, że dwie kobiety działały wspólnie i ktoś im obydwu pomagał w pryśnięciu za granicę.

- Dobrze - zgodził się pułkownik. - Zajmiemy się tym hadlowcem. Jutro spróbuję dowiedzieć się czegoś o nim w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Może tam coś o nim słyszeli?

Przypuszczenia pułkownika potwierdziły się. Eryk Janson był doskonale znany Ministerstwu. To poważny przemysłowiec. Bardzo zainteresowany kooperacją z polskimi wytwórniami sprzętu elektrycznego. Bywa w Polsce częstym gościem „Elektrimu”. Czy jest żonaty, czy miał jakieś projekty matrymonialne związane z panią Dembał, tego naturalnie w Ministerstwie nie wiadano. Pan Janson zapowiedział swój następny przyjazd do Polski na początku przyszłego roku dla sfinalizowania bardzo poważnej transakcji. Obecnie w tej sprawie toczą się rozmowy w Sztokholmie, w biurze radcy handlowego.

- Można - pułkownik dzielił się z Kaczanowskim uzyskanymi wiadomościami - przesłuchać tego pana przy pomocy prawnej. Tego rodzaju umowa pomiędzy Polską a Szwecją istnieje. Alt to sprawa skomplikowana. Nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych musiałyby się porozumiewać za pośrednictwem ambasady z odpowiednimi władzami szwedzkimi i potem przekazane przez nas pytania przedstawić Erykowi Jansonowi. Trwałoby to za długo. Prędzej Szwed przyjedzie do Warszawy, ale i na to nie możemy czekać.

- Może pułkownik mnie wysłać do Sztokholmu jako specjalnego wysłannika Komendy Stołecznej. Rozmówię się z Jansonem i wrócę.

- A ja za samowolę wylecę z posady i z milicji. Chciałbyś!

- Ten pan pracuje w branży elektrycznej. Niemirowski jest przecież dyrektorem tego rodzaju zakładu przemysłowego produkującego na eksport. Zapewne zna Szweda i mógłby nam coś o nim powiedzieć.

- Dobra myśl. A poza tym - dodał Niemirowich - trzeba dyrektora zawiadomić o naszych odkryciach i przesłuchać na tę okoliczność. Może uzupełni je czymś interesującym?

Stanisław Niemirowski był zaskoczony wiadomościami, które mu zakomunikował major. Przyjął je jednak z wielką ulgą.

- A więc jest nadzieja, że Krystyna nie utonęła, lecz żyje. Ale dlaczego uciekła? Dlaczego nie dała dotychczas znaku życia? Pisałem do jej brata w Kalifornii i przed dwoma dniami otrzymałem odpowiedź. Był wstrząśnięty śmiercią siostry. Gdyby Krystyna udała się do brata, nie oszukiwałby mnie tak podłe. To bardzo przyzwoity człowiek. Cenię go. Poznaliśmy się, bo przed dwoma laty odwiedził

Polskę. Nie rozumiem całej maskarady. Przecież ta Leokadia Dembal, podająca się za moją żonę, co dwa dni telefonowała z Międzyzdrojów.

- Nie poznał pan po głosie, że to ktoś inny?

- Słysząc było zwykle raczej podle. Stałe coś szumiało i strzelało w słuchawce. Poza tym zachowywała się tak, jak moja żona. Na odległość robiła mi sceny zazdrości. Ciągle powtarzała, że nie wierzy w moją wierność. Nie mogłem mieć żadnych podejrzeń. Wprawdzie Krystyna namawiała mnie do porzucenia Warszawy, a nawet wyjazdu za granicę, ale traktowałem to jako zwykłą histerię. Już mówiłem, że żona była trochę chora i zdarzały się jej różne wyskoki. Ale żeby aż do tego stopnia? Uciekać z domu, podstawiać kogoś na swoje miejsce i szmuglować się za granicę? To doprawdy nie do uwierzenia.

- Proponując wyjazd z Polski, jak pani Krystyna to sobie wyobrażała?

- Że dostanie zaproszenie od brata, a ja miałbym się starać o delegację. Albo o kontrakt przez "PolSERVICE".

- Przecież przygotowanie takiego wyjazdu zajęłoby sporo czasu. Parę lub kilka miesięcy. Jak to pogodzić z tym obłądnym strachem przed zemstą bandytów?

- Nigdy mnie nie dziwił brak konsekwencji u Krystyny. Gdybym zaakceptował jej szalone plany, już by uważała, że jej nic nie grozi i jest całkowicie bezpieczna.

- Czy pan zna Eryka Jansona?

- Znam - odpowiedział Niemirowski.

- Skąd?

- Poznałem go za pośrednictwem „Elektrimu”. Zwiedzał naszą fabrykę, były nawet plany kooperacji z nim, ale jak wszystko przekalkulowaliśmy, to się nam to nie opłacało, bo trzeba by zmienić profil i prawie całe oprzyrządowanie. Dlatego zawiozłem go do Krakowa, gdzie znajduje się fabryka bardziej nadająca się do takiej współpracy.

- Czy on tam poznał Leokadię Dembal?

- Nic na tematy damsko-męskie ze mną nie rozmawiał. Mieszkał w hotelu, ja się zatrzymałem u rodziny. Co robił wieczorami, nie interesowało mnie. Miałem z nim dosyć kłopotów w Warszawie, gdzie „holowałem” go na prośbę „Elektrimu”. Zorganizowałem na jego cześć małe przyjęcie we własnym domu, bo trudno ciągle gością prowadzić po knajpach. Jeszcze by tego nie wytrzymał i wyciągnął nogi albo widząc naszych gastronomików powziąłby mniemanie, że i przemysł elektryczny jest

takiej samej wartości. Szwed zaprzyjaźnił się z Krystyną. Wziął od niej kolekcję wycinanek i pisanek. Nie wiem, czy płacił, bo żona nie zwierzała mi się nigdy ze swoich interesów. Obiecywał jej złote góry, bo jego krewny ma w Sztokholmie sklep ze sztuką ludową i Janson zapewniał, że ten krewny będzie odbiorcą całej produkcji żony.

- Czy rzeczywiście doszło do jakichś transakcji?

- Nie wiem. Listy ze Sztokholmu przychodziły często. Nie interesowałem się, od kogo i jakiej treści. Żona także nic mi nie mówiła. Była bardzo skryta.

- No, a później, już po rzekomej śmierci pani Krystyny, znalazł pan te listy w domu?

- Nie. To dziwne, ale ani jednego. Co prawda dopiero teraz mogę to stwierdzić. Wtedy nie miałem głowy do tych spraw. Zbyt byłem ogłuszony moim nieszczęściem.

- Jak pan przypuszcza, żona i Leokadia Dembal znały się przed tym?

- Nie mam pojęcia.

- Podejrzewając, iż wypadek na plaży nie jest zwykłym utonięciem, lecz sprytnie ukrytym morderstwem, szukaliśmy byłych bandytów z Sokołowa Podlaskiego. Obecnie te dochodzenia straciły swój sens, bo przecież to Leokadia Dembal zginęła w tajemniczy sposób dwudziestego ósmego sierpnia. Jej na pewno nie zamordowali tamci ludzie, bo i po co?

- No tak - chętnie zgodził się z tym rozumowaniem Niemirowski. - Sądzę, że obie kobiety działały jako współniczki i zorganizowały razem ucieczkę za granicę. Może żonie pomagał ten Szwed?

- Badamy sprawę przede wszystkim pod tym kątem widzenia. Niestety, na razie do niczego nie doszliśmy.

- Służę Eanora każdą pomocą. Jeszcze dzisiaj nadam depezę do szwagra w Kalifornii. Mam także dobrego przyjaciela w Sztokholmie. Może poprosić go, aby nawiązał kontakt z Jansonem? „Elektrim” ma jego adres;

- To nam chyba nic nie da. Szwed może wszystkiemu zaprzeczyć. Nie przypuszczam, aby pana żona mieszkała u niego.

- A jeżeli jest tam ta pani Dembal? Gdyby udało się stwierdzić, że ona przebywa w Sztokholmie, można byłoby się od niej dowiedzieć, co dzieje się z moją żoną?

- Niezły pomysł, lecz w tej sprawie musiałbym porozumieć się z moim

zwierzchnikiem. Dam panu odpowiedź za parę dni.

- Dopiero za parę dni?

- Zasadniczo nie mogę panu zabronić napisania do Sztokholmu. Proszę jednak, aby pan tego nie robił, to nam utrudni dochodzenie. Być może, że nasze władze zechcą prosić szwedzką policję o pomoc. A tymczasem pan ostrzegłby Szweda swoim listem.

- No tak, to racja.

- Dlatego chciałbym, aby właściwą decyzję podjęły władze na znacznie wyższym szczeblu niż mój. Parę dni zwłoki nic nie zmieni. Ja tymczasem nie będę tracił czasu i pojedę do Wrocławia.

- Do Wrocławia, a po co?

- Pana żona pracowała tam przeszło dwa lata. Może właśnie wówczas zetknęła się z Leokadią Dembal?

- To wykluczone.

- Kto wie? W tak zagadkowej historii niczego przewidzieć nie można. A jeżeli pani Krystyna nie wyjechała z kraju, lecz gdzieś się ukrywa? Wrocław, jako duże miasto, doskonale nadaje się do tego celu. A jeśli jeszcze mieszkało się w nim i zachowało pewne kontakty...

- Pan, majorze, dodaje mi otuchy, ale wątpię w realność pańskich zamierzeń.

- Zobaczymy. Niech pan nie traci nadziei. Grunt, że dzisiaj już na pewno wiemy, że Krystyna Niemirowska nie utonęła w Bałtyku.

- Ale czy żyje? - załamującym się głosem zapytał dyrektor.

- Wszystko wskazuje na to.

- Oby tak było!

- Państwo macie działkę, prawda?

- Tak, mamy.

- Tam zapewne jest jakiś domek lub weranda?

- Tak. Coś w rodzaju werandy. Ja mało gospodarzyłem, ale Krystyna bardzo lubiła tę pracę, bo przecież pochodziła ze wsi.

- Czy na werandzie pana żona nie ukryła jakichś dokumentów? Choćby tych listów ze Sztokholmu?

- Tam są tylko wiklinowe mebelki.

- Ale musi być jakaś komórka z narzędziami.

- Jest takie małe pomieszczenie przylegające do jednej ze ścian werandy. Ale

niczego tam nie ma. Pracowałem na działce, bo trzeba było sprzątnąć plony, więc wiem, że leżą tam szpadle, grabie, konewka i worek ze sztucznym nawozem przygotowanym do rozsypania jesienią. Przyznaję, nie zrobiłem tego. Ostatnio nie miałem głowy do niczego. Także i w pracy trochę się zaniedbałem. Dopiero pan przyniósł pierwsze słowa pocieszenia.

- Będę z panem, dyrektorze, w stałym kontakcie - zapewnił Kaczanowski. - Natychmiast po powrocie z Wrocławia zawiadomię pana o rezultatach mojej podróży.

Jeszcze tego samego dnia majora odwiedził mecenas Ruszyński wiedziony ciekawością, co Janusz zwojował w Krakowie. A że obecnie stosunki obu panów ułożyły się znowu bardzo poprawnie, nie wiadomo co prawda na jak długo, Kaczanowski chętnie wtajemniczył adwokata w rezultaty dochodzenia.

- Winszuję, majorze - pochwalił Miecio. - Odwalił pan kawał dużej roboty. A jakie wnioski pan wysnuwa?

- Siady prowadzą do Sztokholmu.

- To racja, ale może właśnie dlatego należy szukać znacznie bliżej?

- Gdzie?

- Nie wiem - adwokat rozłożył ręce. - W tej skomplikowanej sprawie mamy teraz aż za dużo faktów. Ludzie tak działają, że nie rozumiemy ich postępowania. A jednak musi tu istnieć jakaś logika. Na razie jej nie widzimy. Stąd uważamy, że sprawcy są dziwakami lub ludźmi trochę nienormalnymi. Dlaczego Niemirowska ucieka z Polski? Po co była jej potrzebna dublerka w Międzyzdrojach? Albo ta „dewizówka”. Złapała bogatego narzeczonego czy choćby klienta. Zwiała do niego do Szwecji, ale nie chwali się swoim sukcesem. To nie leży w zwyczaju tych „panienek”. Co ją łączyło z Niemirowską, czy tylko osoba Szweda?

- Nie sędzę.

- Takich pytań mógłbym stawiać dużo. Uważam jednak, że trzeba znaleźć powód. Logiczny powód, którym się ci wszyscy ludzie kierowali. Ten Ciechanowiecki, Krystyna Niemirowska, Leokadia Dembał, Stanisław Niemirowski, Eryk Janson, tajemniczy autor pocztówki z Sokołowa Podlaskiego.

- Pan przypuszcza, że istnieją między nimi powiązania?

- Przeciwnie! Jedni wykluczają drugich. Jeśli Szwed wywiózł obie panie do Skandynawii, od razu odpada cała reszta. Jeśli Ciechanowiecki zamordował Krystynę, co w tej aferze robi panna Dembał? Dlaczego ten dobry, kochający mąż został tak wystrychnięty na dudka?

- Pan ma rację, mecenasie, to łamigłówka, której klocki nie pasują jeden do drugiego. Jakkolwiek by je układać.

- Nieprawda - żywo zaprzeczył adwokat. - Te klocki muszą stworzyć jeden logiczny obraz. Tylko my jeszcze nie znaleźliśmy do niego klucza.

- Najczęściej każdy zamek otwiera się złotym kluczem - uśmiechnął się major.

- Słusznie. Ale jest jeszcze i inny, który jednym ludziom daje ogromną władzę nad drugim, a w tych drugich budzi nienawiść. Czasami silniejszą niż życie i normy prawa.

- O jakim kluczu pan mówi? - zdziwił się Kaczanowski.

- Szantaż.

- To chyba wykluczone! Co za szantaż mógł łączyć te osoby?

- Nie wiem - szczerze przyznał adwokat. Buduję różne koncepcje, jak dziecko domki z kart. Jak u dziecka rozsypują się one w chwilę po powstaniu. Pan, majorze, ma znacznie większe możliwości rozwiązania zagadki.

- Znalezienia tych dwóch kobiet?

- Jeżeli pan znajdzie klucz, o którym mówiłem, znalezienie obu pań nie będzie dla majora przedstawiało najmniejszej trudności. Jedno jest pewne, że w życiu Krystyny Niemirowskiej jest jakaś zagadka. Incydent z Sokołowa Podlaskiego nie wyczerpuje wiedzy o jej postępowaniu. Niech pan się nie obrazi, że „amator” ciągle wtrąca się do spraw dochodzenia milicyjnego, ale tylko badaniem życiorysu tej „ludowej artystki” posunie pan sprawę naprzód.

- Jadę jutro do Wrocławia. O tej karcie życia Krystyny nic nie wiemy.

- Cieszę się, że jesteśmy jednej myśli i życzę powodzenia. Mam nadzieję, że po powrocie major zechce się podzielić ze mną swoimi spostrzeżeniami i osiągnięciami. Sądzę, że zbliżamy się do zwycięskiego końca.

- Oby tak było - Kaczanowski nie był tak wielkim optymistą jak adwokat.

Po wyjściu adwokata, oficer milicji przypomniał sobie, że w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki ma znajomego na dość wysokim stanowisku. Kiedyś Kaczanowski oddał temu panu pewną przysługę. Adam Leśniewski powinien znać Niemirowskiego, a może nawet jego żonę. Przecież obaj pochodzą z Kielc. Dobrze byłoby spróbować pociągnąć tego człowieka za język.

Wicedyrektor serdecznie powitał majora.

- Doskonale pan trafił - powiedział dowiedziawszy się o celu niespodziewanej wizyty. - Przecież Stasio Niemirowski to mój szkolny kolega i swego czasu najlepszy

przyjaciel. Znałem także tę biedną Krystynę. Bardzo współczuję Stachowi, chociaż zawsze się dziwiłem, jak doszło do tego małżeństwa.

- Dlaczego?

- Stach był chłopakiem wesołym, może nawet trochę lekkomyślnym. Miał ogromne powodzenie u dziewcząt. Mógł sobie wybrać inną żonę.

- Lubow nie kartoszka... - Kaczanowski przytoczył znane przysłowie rosyjskie.

- Czy to była miłość? To bardzo dziwne. Znałem Stacha od szczeniaka.

Potem, po maturze, obaj zdawaliśmy na politechnikę w Krakowie. Obu nas też nie przyjęto. Więc razem przez rok pracowaliśmy w jednej z kieleckich fabryk. Następnie ja zaczęłam się w Warszawie, on dostał się na politechnikę we Wrocławiu. Nasze drogi rozeszły się na wiele lat. Zetknąłem się z nim przypadkowo podczas jakiejś podróży służbowej do Gdańska. Daję panu słowo, że go nie poznałem. To był zupełnie inny człowiek.

- Tak się zmienił fizycznie?

- Fizycznie nie, ale psychicznie. Był jak butelka z wodą sodową, z której uciekł cały gaz. Kiedy poszliśmy do knajpy i tam dobrze sobie popiliśmy, jak to koledzy, którzy się spotkali po wielu latach i nagle spostrzegli, że nie mają o czym mówić, Niemirowski nawet napomknął o planach samobójstwa. Bodaj że powiedział wtedy „mam już tak wszystkiego dosyć, że nieraz mam ochotę rzucić się pod pociąg”.

- Ciekawe... - major coraz bardziej wieszował sobie pomysłu rozmowy z Leśniewskim.

- Myślałem, że to morze i klimat tak podziałały na tego kieleckiego chłopaka. Nieraz ludziom trudno bywa przystosować się do krańcowo różnych warunków życia. Więc dopomogłem im do przeniesienia się do Warszawy i urzędzenia się w stolicy. Ale i to nie dało rezultatu. To nie ten sam człowiek.

- W czym pan widzi różnicę?

- Przede wszystkim w tym, że tego chłopca nic nie bawi, nic nie cieszy. Jest zupełnie wyprany ze wszelkiej ambicji. To złamany człowiek, jak gdyby przeżył w życiu jakąś wielką tragedię.

- Ale jaką?

- Nie wiem. Parę razy próbowałem nawiązać na ten temat rozmowę, ale bez najmniejszego rezultatu.

- A żona?



- Pani Krystyna pozostała trochę wiejską dziewczyną.

Ale nabrała ogłady towarzyskiej, nauczyła się dobrych manier i elegancko się ubierała. Była doskonałą żoną, znakomitą, gościnną panią domu, jednakże stosunki towarzyskie jakoś Niemirowskim nie układały się. Może przez niego, bo nie próbował nawet ukrywać, że te kontakty nudzą go i drażnią. Może przez chorobliwą zazdrość tej kobiety? Trudno mi na to odpowiedzieć. Dość, że także i my ograniczyliśmy bywanie w willi na Okęciu do minimum. Jeśli chodzi o Niemirowską, to jeszcze jedną jej wadą, poza zazdrością, było popisywanie się przy gościach swoją władzą nad mężem.

- A on?

- Znosił to wszystko z uśmiechem rezygnacji.

- Czy Niemirowski nie ma jakichś kompleksów? Ubiera się i nosi trochę zbyt przesadnie jak na mężczyznę. Pan mnie rozumie?

Dyrektor wybuchnął śmiechem.

- Stach pederastą? Mogę pana zapewnić, że nie. To był pies na baby w naszych kieleckich czasach.

- A teraz? Może jednak zazdrość pani Krystyny miała konkretne przyczyny?

- Na pewno nie. To był zegar z pękniętą sprężyną, a nie żywy człowiek.

Jedno, co go jeszcze trzymało, to praca w fabryce. Pod tym względem nic mu nie można zarzucić. Znam ludzi, których tak zmienił obóz koncentracyjny czy też długi pobyt w więzieniu. Ale to przecież nie dotyczy Niemirowskiego.

Kaczanowski opuszczał gmach ministerstwa bardzo zamyślony. Do zagadki dwóch twarzy Krystyny doszła jeszcze tajemnica jej męża.

## **Rozdział XV**

### **Rozmowa, która się nie odbyła**

Major Janusz Kaczanowski obliczał, że jego pobyt we Wrocławiu potrwa najwyżej dwa dni. Był tam przecież cały tydzień. A właściwie nie tylko we Wrocławiu, musiał również powtórnie odwiedzić Kraków. Nie spodziewał się jednak, że po przyjeździe do Warszawy, dokąd powrócił z nową koncepcją, spotka się ze sceptycyzmem swojego szefa, Niemirowicza.

- Przyznaję - powiedział pułkownik - że ta teoria jest interesująca.

Rzeczywiście tłumaczy ona wszystkie sprzeczności, z jakimi zetknęliśmy się prowadząc tę sprawę. Obawiam się jednak, że bez dowodów twoje rozumowanie

niewiele jest warte.

- Przywiozłem dowód!

- Czego? Przepięstwa wcale nie związanego z wydarzeniami ostatnich miesięcy. W sprawie „dwóch twarzy Krystyny”, bo chyba takim kryptonimem można sygnować akta, nie ruszyłeś z miejsca. Żaden prokurator nie da ci sankcji na aresztowanie podejrzanego.

- Przepięstwo jest niewątpliwe.

- Naturalnie. Toteż prokuratura ograniczy się tylko do tych zarzutów, pomijając w ogóle zniknięcie obydwu kobiet. Wątpię nawet, czy zdecydują się na areszt. Ostatecznie sprawa dość błaha i obejmuje ją amnestia. Wyrok po uwzględnieniu zmniejszenia kary do połowy, byłby niewysoki. Tym bardziej że trudno byłoby oskarżać o fałszerstwo, a jedynie o posługiwanie się nieprawdziwym dokumentem. Państwo nie poniosło z tego tytułu żadnej szkody.

- Zawsze jesteś przeciwko mnie.

- Nie. Obiektywnie rozważam całą sytuację. Nie mówię, że się mylisz. Nawet jestem prawie przekonany, że w końcu trafiłeś na prawdziwy trop. Ale przestępcy należy dowieść jego winy. Każda wątpliwość przemawia na jego korzyść. A tutaj wątpliwości jest więcej niż dowodów. Postaw siebie w roli sędziego. Masz oskarżonego i masz takie dowody, jaki wydasz wyrok? Oskarżony nie przyznaje się do zbrodni, a jedynym świadkiem oskarżenia jest major Kaczanowski ze swoją teorią. Co zrobisz?

- W porządku. Masz rację. Ale skąd ta pewność, że podejrzanym nie przyzna się do winy?

- Weźmiesz go na tortury? - roześmiał się pułkownik. - A swoją drogą, ciekawy jestem, jak wpadłeś na to wszystko?

- Przyznaję, że dzięki adwokatowi Ruszyńskiemu.

- No proszę, „zarozumiały amator” na coś się przydał.

- On ma głowę, to prawda. Ale niech przychodzi do nas z dobrą radą, a nie pcha się do prowadzenia dochodzenia! Jego zasługi zawsze docenię, ale nie zniosę wtrącania się do nie swoich spraw.

Pułkownik Niemirowicz pominął milczeniem te słowa i nie przejął się wybuchem Kaczanowskiego. Doskonale się orientował, że wojna pomiędzy jego podwładnym a znakomitym prawnikiem zawsze wybuchała wtedy, kiedy tylko ci dwaj zetknęli się ze sobą przy okazji rozwiązywania jakiejś trudnej sprawy. A po

zakończeniu dochodzenia, względnie, kiedy dobiegało ono do zwycięskiego kresu, wówczas obydwaj mężczyźni stawali się najlepszymi przyjaciółmi.

- Poza zwróceniem nam uwagi na to - ciągnął Kaczanowski - że kobieta, która tajemniczo zniknęła z pensjonatu „Złocień”, nie jest Krystyną Niemirowską, Ruszyński także dał mi dobrą radę. Podsunał myśl szukania szantażu.

- Nie zapominaj, że mecenas doszedł do swoich wniosków dlatego, że na własną rękę prowadził dochodzenie.

- Nie musiał tego robić - major był upartym człowiekiem i nie lubił przyznawać innym racji, nawet kiedy tym „innym” był jego bezpośredni zwierzchnik.

- Znał przecież Krystynę Niemirowską i słysząc moje zachwyty nad jej urodą, powinien od razu zwrócić mi uwagę na pomyłkę lub kompletny brak gustu. Wtedy pokazałbym mu fotografię - i sytuacja stałaby się jasna już w czasie naszej pierwszej rozmowy. A on coś tam bąknął pod nosem...

- Rozumiesz jak małe dziecko, ale mów dalej.

- Dopiero później, kiedy dyskutowaliśmy na temat zniknięcia Niemirowskiej, Ruszyński zauważył, że często motorem postępowania ludzkiego jest szantaż. Przed szantażem właściwie nie ma obrony. Prawo wprowadzie karze szantażystę, ale on zawsze zdoła ujawnić to, co kompromituje jego ofiarę. To była bardzo mądra uwaga. W tym zespole ludzi, którzy znaleźli się w kręgu mojego dochodzenia, możliwe były najrozmaitsze Układy szantażowe. Wszyscy mogli szantażować wszystkich.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

- Zaraz ci udowodnię. Weźmy Krystynę Niemirowską. Pomijając już to, co ustaliliśmy, mogła ona szantażować Leokadię Dembał, że dziewczyna przygotowuje ucieczkę za granicę, Eryka Jansona, że nawiązał bliższą znajomość z „dewizówką” i pomaga jej w nielegalnym wyjeździe z kraju. Ofiarą szantażu mógł być także Ciechanowiecki. Może w rejestrze wyczynów bandy „Starego Macieja” było coś, co nigdy nie ujrzało światła dziennego, a co dodatkowo obciążało tego członka gangu? Niemirowska mogła się o tym dowiedzieć dopiero po procesie.

- Mało prawdopodobne - powtórzył pułkownik.

- Ale nie wykluczone. Idźmy dalej, z kolei sama Krystyna mogła paść ofiarą szantażu. Ktoś mógł coś znać z jej wrocławskiej przeszłości i to odpowiednio wykorzystać. Pani Dembał mogła od kochanka dowiedzieć się o nielegalnych transakcjach, jakie Niemirowska może przeprowadzała z krewnym Jansona, a to też atut do szantażu.

- Niezbyt wielki.

- Kara byłaby dotkliwa, a co gorsze, kompromitacja dyrektorowej i jej męża znacznie większa niż nawet samo przestępstwo, w gruncie rzeczy małe.

- No tak, to racja.

- Ciechanowiecki mógł zawsze szantażować Niemirowska zemstą za tamte zeznania na procesie bandy. Pocztówka z Sokołowa Podlaskiego mogła być przygotowaniem do tego rodzaju szantażu. Próbnym balonem, jak kobieta zareaguje na tego rodzaju groźbę. Sam więc widzisz, że możliwości wymuszania są ogromne. We Wrocławiu szukałem klucza od tych układów i... znalazłem go.

- Klucz pasuje, ale drzwi prowadzą do lasu.

- Niezupełnie. Teraz trzeba uzupełnić dochodzenie i zakończyć je.

- Jeżeli nie znajdziesz tych dwóch kobiet, nie zakończysz.

- Wiem o tym. Teraz znacznie więcej wiem i rozumiem, a jeszcze więcej przypuszczam. Mam więc znacznie łatwiejsze zadanie.

- A Niemirowski? Spróbujesz z nim rozmawiać?

- Obiecałem mu to. Jeszcze dzisiaj do niego zatelefonuję. Poza tym już przedsięwziąłem odpowiednie kroki. Zresztą nasza telefonistka poinformowała mnie, że w czasie mojej nieobecności dyrektor codziennie dzwonił do Pałacu Mostowskich i dowiadywał się, czy wróciłem.

- Sądysz, że i on ma ci coś ciekawego do powiedzenia?

- Na pewno. Wcale bym się nie dziwił, żeby miał dosyć sytuacji, w której się znalazł. Ostatecznie i on zdaje sobie sprawę, że wszystko przybrało inny obrót...

- Nie zazdroszczę mu samopoczucia w minionych latach i całej kariery. Płacił za nią aż nadto wysoką cenę. Ale, Janusz, bądź ostrożny - ostrzegł pułkownik. - Pamiętaj, że ta sprawa ma inne, nawet międzynarodowe aspekty. Trzeba z nią jak z jajkiem. Żadnych głupstw.

- Mówisz, jak gdybyś mnie nie znał - oburzył się Kaczanowski.

- Mówię, ponieważ cię znam.

- Rozkaz, obywatelu pułkowniku. Wszystko będzie, jak sobie pułkownik życzy.

Kiedy major wrócił do swojego pokoju, przypomniał sobie o jeszcze jednej informacji, jaką mu mimochodem udzielił nieoceniony mecenas. Oficer milicji wydał odpowiednie polecenie, żeby niczego nie zaniedbać przy akcji podejmowanej nazajutrz.

Potem Kaczanowski zatelefonował do fabryki, do dyrektora Stanisława Niemirowskiego. Odpowiedziano mu, że dyrektor od paru dni jest nieobecny w pracy.

- Co się stało, wyjechał? - Janusz wypytywał sekretarkę.

- Ostatnio pan dyrektor źle się czuł. Nie dziwię się. Po takich przejściach. A że wykańcza plan organizacji nowej produkcji, wziął całą robotę do domu. Na wszelki wypadek jest „pod telefonem”. Jeśli pan życzy, proszę podać nazwisko i swój numer, a ja zawiadomię pana dyrektora.

- Dziękuję. Mam numer jego prywatnego telefonu. Teraz major połączył się z mieszkaniem Niemirowskich. W słuchawce posłyszał głos dyrektora.

- Niemirowski, słucham.

- Mówi Kaczanowski. Zgodnie z obietnicą, zgłaszam się po powrocie z Wrocławia.

- Jak tam poszło, majorze?

- Dowiedziałem się sporo ciekawych rzeczy. Jeździłem także do Krakowa. W telefonie zapanowała cisza.

- Halo, halo! - zaniepokoił się Kaczanowski. - Tak, słucham - odpowiedział dyrektor.

- Obawiałem się, że nas rozłączyli.

- Przypuszczam, że chciałby się pan ze mną zobaczyć?

- Tak jest - potwierdził oficer milicji.

- Niestety, trochę źle się czuję i nie wychodzę z domu. Gdyby pan zechciał się do mnie pofatygować...

- O której godzinie panu wygodniej?

- Ponieważ siedzę w domu, dostosuję się do pana majora..

- Będę o dwunastej.

- Dobrze - zgodził się Niemirowski i położył słuchawkę.

Jadąc na Okęcie Kaczanowski wziął ze sobą swojego zastępcę, porucznika Rogalskiego, a także jeszcze dwóch ludzi. Milicyjna Warszawa zatrzymała się za rogiem ulicy. Dalej major poszedł już sam.

Furtka przed domem była otwarta. Natomiast pomimo kilkakrotnego dzwonienia nikt nie podszedł i nie otworzył drzwi wejściowych domku. Wreszcie oficer milicji nacisnął klamkę. Drzwi poddały się. Okazało się, że nie były zamknięte na klucz.

Major wszedł do małego przedpokoiku i otworzył z kolei drzwi prowadzące

do dużego pokoju.

Za biurkiem, z głową opartą o blat, siedział dyrektor Niemirowski. Kaczanowski nie potrzebował nawet sprawdzać. Wiedział, że ten człowiek nie śpi, lecz nie żyje. Janusz ostrożnie zbliżył się do zmarłego. Tuż przy jego głowie, na biurku, leżał arkusz papieru. Na nim tylko kilka skreślonych słów.

„Żałuję, że nie zrobiłem tego przed dziesięcioma laty”.

Kartka nie była podpisana, nie ulegało jednak wątpliwości, że te słowa były ostatnim pożegnaniem ze światem Stanisława Niemirowskiego.

## **Rozdział XVI**

### **Tajemnica ogródków działkowych**

Mieczysław Ruszyński długo czekał na wiadomość z Pałacu Mostowskich. Był nawet nieco urażony milczeniem majora Kaczanowskiego. Ale kiedy przeglądając „organ nieboszczyków”, znalazł w „Życiu Warszawy” nekrolog Stanisława Niemirowskiego, aż podskoczył na krześle. Zawiadomienie o śmierci dyrektora i dacie jego pogrzebu podpisane było przez zakłady przemysłowe, którymi zmarły z takim powodzeniem kierował. Inny nekrolog sygnowany był jedynie słowem „rodzina”.

Miecio zrzucił dumę z serca i zatelefonował do Kaczanowskiego.

- Czekałem na jakąś wiadomość od majora, a tymczasem znalazłem nekrolog w gazecie.

- Bardzo przepraszam - usprawiedliwiał się oficer milicji. - Naturalnie nie zapomnieliśmy o głównym bohaterze naszego dochodzenia, panu mecenasie, lecz tak byłem zajęty wieloma przykrymi sprawami, że nie miałem czasu na telefon. Zresztą aż do dzisiaj nie wszystko było wyjaśnione w tej sprawie. Daję słowo, że po południu zamierzałem zatelefonować do pana i umówić się na wieczór, jeśli mecenas rozporządza wolnym czasem...

- Dla majora zawsze!

- Dziękuję, stawię się przed szóstą.

- Proszę mi przedtem powiedzieć, czy Niemirowski popełnił samobójstwo?

- Tak - potwierdził Kaczanowski. - Nie zdołaliśmy temu przeszkodzić.

- To dobrze, że nie zdołaliście.

- Mnie jako oficerowi milicji nie wypada być tego samego zdania co mecenas, chociaż... - Kaczanowski urwał w pół zdania, aby najistotniejsze informacje

przekazać mecenasowi w bezpośredniej rozmowie.

Tym razem to był „Szanghaj”. Miecio chciał przekonać się, czy jego ulubiony sandacz a la rouge” powrócił w tym lokalu do dawnej chwały i dawnego smaku. Obaj panowie początkowo zbyt byli zajęci jedzeniem, aby rozmawiać na poważne tematy. Dopiero po nasyceniu pierwszego głodu, kiedy oczekiwali na drugie dnie, Janusz Kaczanowski zapytał:

- Pan mecenas naturalnie od dawna domyślał się, kto jest mordercą?.

- Szczerze mówiąc, nie od razu mogłem sprecyzować swój pogląd.

Początkowo Niemirowski stał poza wszelkimi podejrzeniami. Miał przecież żelazne alibi. Dopiero po naszej ostatniej rozmowie, tam w Pałacu Mostowskich, przed pana wyjazdem do Wrocławia, uprzytomniłem sobie, że w tej sprawie wszystkie alibi runęły. Uparcie wracała mi myśl o mężu mojej klientki, lecz odrzucałem tę teorię jako nieprawdopodobną. Musiał istnieć jakiś poważny powód, który by skłonił Niemirowskiego do tego kroku

- Sam mi pan podsunął ten powód, mecenasie. - = Ja? - zdziwił się adwokat.

- Właśnie pan.

- Czyżby?

- To mecenas wspomniał o szantażu jako ewentualnym motorze poczynań interesujących nas ludzi. Przemyślałem to i doszedłem do wniosku, że mogą tu istnieć najrozmaitsze układy. Każdy mógł szantażować każdego. Także Niemirowska Niemirowskiego. - Żona męża?

- Żona męża! - powtórzył major.

- Ależ pan mnie intryguje.

- Zupełnie niezamierzenie. Zaraz wyjaśnię. Sporządziłem układ graficzny i przy każdym nazwisku i strzałce prowadzącej do drugiej osoby wypisywałem ewentualne powody do szantażu. Kiedyś przy okazji pana bytności w Pałacu Mostowskich pokażę mecenasowi ten rysunek. Spostrzegłem jednak, że tylko dwie osoby nie są związane odpowiednimi strzałkami. Właśnie Niemirowska i jej mąż. Zastanawiałem się nad tym i właśnie wtedy przyszło mi pa myśl, że trzeba mój grafik poprawić, bo nie można wykluczyć i takiego układu.

- Zdrowie genialnego asa milicji - mecenas wznosił ten toast zupełnie szczerze. - Przyznaję, to duże osiągnięcie.

- Mój schemat zabrałem do Wrocławia. W mieście nad Odrą początkowo nic mi się nie udawało. Ustaliłem, gdzie mieszkała i gdzie pracowała Krystyna

Klamówna. Miejskowa komenda usiłowała przeprowadzić wywiad o niej. To nic nie dało. Upłynęło już tyle lat. Klamówna była we Wrocławiu zaledwie ponad dwie zimy. Prawie nikt jej nie pamiętał. Tylko pewien pracownik rektoratu mimochodem wspomniał, że dziewczyna miała piękny charakter pisma i dlatego często zlecano jej wypisywanie dyplomów magisterskich. To mnie naprowadziło na pewien pomysł.

- Błysk geniuszu - uśmiechnął się Miecio.

- Zrewanżował mi się mecenas, bo i ja identycznie oceniłem któryś z pańskich pomysłów - odpowiedział major. - Ale wracając do mojego pobytu we Wrocławiu, to miałem wspaniałą okazję przyrzeć się studiom pana Stanisława Niemirowskiego, który kończył tamtejszą politechnikę. To przecież łatwe do sprawdzenia, bo księgi immatrykulacyjne studentów zachowuje się na wieczność. Zacząłem więc w nich szukać rozwiązania zagadki.

- I nic pan nie znalazł.

- Przeciwnie! Znalazłem Stanisława Niemirowskiego, studenta pierwszego roku Wydziału Elektrotechnicznego.

- A dalej? - Miecio niecierpliwił się. Chciałby od razu dowiedzieć się wszystkiego od Janusza Kaczanowskiego, a nie otrzymywać wiadomości, wydzielane przez niego w aptekarskich dawkach.

- Dalej znajdowała się adnotacja, że student zabrał z uczelni dokumenty i przeniósł się na Politechnikę Krakowską. Pojechałem do Krakowa. Tutaj dowiedziałem się, że Stanisław Niemirowski został karnie skreślony z listy słuchaczy.

- Za co?

- Tego nie badałem. Nie interesowało mnie nawet, a trzeba byłoby stracić dalsze parę dni. Natomiast w biurze meldunkowym ustaliłem, że nasz znajomy po przerwaniu w ten sposób nauki powrócił do Wrocławia.

- Więc pan za nim z powrotem nad Odrę?

- Oczywiście. We Wrocławiu Niemirowski pracował przeszło trzy lata w pewnej spółdzielni budowlanej.

- W jakim czasie?

- Właśnie wtedy, kiedy w tym mieście zjawiała się Krystyna Klamówna.

- Rozumiem - domyślił się adwokat.

- Dla mnie także stało się jasne. Dla dziewczyny ze sławą bohaterki gromiącej bandytów i cieszącej się już choćby z tego powodu pełnym zaufaniem przełożonych, zdobycie jednego blankietu dyplomu nie było trudne. Wprawdzie są to druki ścisłego



zarachowania, ale zawsze można twierdzić, że przy wypełnianiu blankietu zdarzył się wypadek i jeden dyplom uległ zniszczeniu.

- A student, który przesłuchał zaledwie jeden rok został inżynierem magistrem elektrotechnikiem?

- Właśnie - przytaknął major. - Zapłacił za to jednak ogromną cenę. Musiał się ożenić z niekochaną dziewczyną, być jej wiernym i posłusznym do końca życia. Swojego albo Krystyny. Klamówna bez pamięci zakochała się w przystojnym młodym człowieku. Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że pracownik spółdzielni budowlanej nie zwróci na nią najmniejszej uwagi. Musiało zatem dojść do transakcji: ożenisz się ze mną, to zostaniesz inżynierem i będziesz miał otwartą drogę do kariery. Niemirowski lekkomyślnie zgodził się na taki układ.

Kelner przyniósł zamówione potrawy. Miecio chwilę kosztował sandacza i zauważył:

- Dużo lepszy niż przed kilkoma miesiącami, ale nowy kucharz jeszcze nie jest w pełnej formie. Zresztą, że tu się ostatnio żarcie poprawiło, widać po zapełnionej sali. Parę dni temu nawet dla mnie zabrakło stolika.

Wymieniając spostrzeżenia na temat ciągle kulejącej stołecznej gastronomii, obaj panowie uporali się z sandaczem i z ćwiarteczką. Dopiero kiedy kelner podał kawę i po kieliszeczku „gruziniaka”, Kaczanowski wrócił do przerwanej wątku.

- Tak więc Klamówna została panią inżynierową. Ziścił się sen brzydkiego kaczątka o królewiczu z bajki.

- Chyba nie trwał zbyt długo?

- Obie strony zapewne szybko się rozczarowały. Inżynier magister prędko doszedł do spóźnionego wniosku, że lepiej było zostać małym, ale wolnym urzędnikiem spółdzielni budowlanej niż robiącym karierę wybitnym specjalistą, ale za to znajdującym się pod ciężką ręką kobiety, do której nie żywił najmniejszego uczucia, a może nawet odczuwał fizyczny wstręt? Prawdopodobnie Krystyna także się przekonała, że miraż szczęścia z pięknym mężem pozostał nadal fatamorganą. Z tym więc większą energią ujęła rządy w swoje ręce. Wiedziała, że on nie może się z tych rąk wyśliznąć. Wystarczyło przecież powiedzieć o sposobie uzyskania przez niego dyplomu, a cały gmach kariery tego człowieka natychmiast by się zawalił.

- Narażała i siebie.

- Na niewielką karę więzienia. Zawsze mogła się tłumaczyć zaślepieniem miłosnym, presją, jaką na nią wywierał jej przyszły małżonek. Sąd w takich

przypadkach często skłania się do daleko posuniętej pobłażliwości dla biednej, nieszczęśliwej kobiety.

- To prawda. Już sobie wyobrażam, w jaki sposób prowadziłbym obronę. Właśnie bijąc na uczucia.

- Oceniając obiektywnie, Krystyna była dobrą żoną. Rosło bogactwo domu, jak umiała, pomagała mężowi w wspinaniu się na coraz wyższe szczeble. Zwykły inżynier z fabryki wielkich turbin w Elblągu awansuje na kierownika jednego z wydziałów stoczni gdańskiej, by stamtąd skoczyć na stanowisko dyrektora dużych zakładów przemysłowych w Warszawie. Jednorodzinny domek, prawie willa, samochód, to wszystko w dużej mierze było zasługą tej dziewczyny z kurpiowskiej wioski. Ale ona żądała uczucia, a mogła otrzymać wyłącznie nienawiść. Nie o takie uczucie jej chodziło.

- Rozumiem.

- Stanisławowi nic pozornie nie można zarzucić. Nie stwierdziliśmy najmniejszego śladu flirtu, chociaż dyrektorowi wielkiej fabryki, zatrudniającej parę tysięcy kobiet, na pewno okazji ku temu nie brakowało. Obawiam się nawet, że ten mężczyzna w ogóle obrzydził sobie całą płęć odmienną.

- Jego zewnętrzny wygląd, sposób ubierania się i bycia budziły podejrzenia o zupełnie inne zainteresowania - dorzucił Ruszyński.

- Tego także nie stwierdziliśmy.

- Aż wreszcie inżynier nie zdzierzył?

- Nie zdzierzył, mecenasie. Postanowił pozbyć się żony. Zaplanował zbrodnię doskonałą. Niewiele brakowało, aby to osiągnął. Zgubił go przypadek i głupia uwaga jednego z moich kolegów.

- Jakże często o losach całego świata decydował przypadek - filozoficznie stwierdził Miecio.

- Plan Niemirowskiego był prosty. Upozorować tragiczny zgon i mieć żelazne alibi, aby cień podejrzenia nie padł na męża. A jednocześnie na wszelki wypadek ten człowiek przedsięwziął dodatkowe ostrożności. Planował dokładnie, z precyzyjnością komputera trzeciej generacji

- Domyślam się tego.

- Los zetknął Niemirowskiego z bogatym cudzoziemcem.

- Erykiem Jansonem? Nie przypuszczałem, że jest on jednak zamieszany w tę sprawę?

- Zamieszany nie jest. Ale odegrał w niej dużą rolę, chociaż zapewne nic o tym nie wiedział. Przemysłowcowi wpadła w oko w czasie pobytu w Krakowie przystojna dziewczyna. Jej nieszczęściem stało się, że była nieco podobna do Niemirowskiej. Może chciał mieć towarzyszkę zabaw w obcym, mieście, może „Biała Pantera” obudziła w nim głębsze uczucia? Tego się nigdy nie dowiemy. Dość, że Niemirowski „patronował” temu związkowi i dobrze poznał - była pływaczkę. Dziewczyna chciała wyjechać za granicę. Może sądziła, że zostanie tam kurtyzaną w wielkim stylu, a może rzeczywiście Janson coś jej obiecywał? Jeśli nie małżeństwo, to z całą pewnością duże pieniądze. Szweda stać było na to. To bardzo zamożny człowiek. Może zresztą Niemirowski umówił się z Jansonem, że mu dostarczy Łodzie do Sztokholmu?

- Razem ze swoją żoną?

- Jansona łączyły stosunki handlowe z Niemirowską. Nie tyle Jansona, dla niego to za mały business, co jednego z jego krewnych, który był zainteresowany obiektami sztuki ludowej wyrabianymi przez Krystynę. Czy jednak była mowa o jej wyjeździe? Raczej wątpię. Dość, że po opuszczeniu przez Szweda Krakowa, Niemirowski nawiązał kontakt z panną Dembal i przedstawił jej następujący plan: Niemirowska wyjedzie pierwsza i przygotuje grunt dla ucieczki męża. Ale dyrektor ucieknie z Polski na samym końcu. Ostatecznie często jeździ za granicę i po prostu odmówi powrotu z delegacji służbowej. Natomiast Krystyna i Leokadia muszą opuścić kraj drogą nielegalną. Miały zatargi z prawem i nie otrzymają paszportów zagranicznych.

- Czy to prawda?

- To twierdzenie w stosunku do Leokadii Dembal miało pewne podstawy słuszności. Dziewczyna zaledwie przed półtora rokiem zaplątała się w aferę z dolarami. Poza tym, niech pan się nie dziwi, mecenasie, tego rodzaju towaru raczej staramy się nie eksportować...

Ruszyński wybuchnął śmiechem.

- A szkoda, mamy się czym pochwalić.

- Dyrektor przekonał dziewczynę, że musi ona przez parę tygodni odgrywać w Międzyzdrojach rolę Krystyny Niemirowskiej, aby ta miała czas opuścić Polskę, a jednocześnie żadne podejrzenie nie padło na jej męża. Zaproponował Dembalównie zaaranżowanie wypadku w kąpielni w czasie sztormowej pogody. „Biała Pantera” była sprytną, inteligentną kobietą, ufała inżynierowi, to był przecież przyjaciel jej Szweda

i działał rzekomo w jego imieniu. Dała się namówić i doskonale odegrała swoją rolę.

- A tymczasem?

- A tymczasem, kiedy Lodzia zjawiała się w Warszawie, w mieszkaniu inżyniera, jego żona już nie żyła. Niemirowski wręczył dziewczynie skierowanie na wczasy i dowód osobisty żony, a nawet pouczył pannę Dembał, aby z Międzyzdrojów, ze „Złocienia” telefonowała do niego, do Warszawy i robiła mu sceny zazdrości. Chodziło mu o to, aby słyszeli te awantury współmieszkańcy pensjonatu i w razie czego mogli poświadczyć. „Biała Pantera” ściśle zastosowała się do tych poleceń. Inżynier odprowadził „żonę” na dworzec, ulokował w wagonie sypialnym i chusteczką powiewał na jej pożegnanie, kiedy express ruszał. Jak przystało na kochającego małżonka.

- Wszystko rozumiem, ale co się stało dalej z „Białą Panterą”? Naprawdę wyjechała?

- Kiedy nadszedł umówiony termin, a na Bałtyku rozszalała się burza, Lodzia przystąpiła do wykonania drugiej połowy planu. Podrzuciła na wydmach swoje ubranie i kwit z czytelnicy, aby można było zidentyfikować osobę, która rzekomo utopiła się w morzu. Sama zaś w innym ubraniu wróciła do Warszawy. Nie wiemy, czy zjawiała się w domu Niemirowskiego, czy też od razu inżynier wyznaczył jej spotkanie na działce.

- Prawda! Krystyna miała działkę.

- Dużo w tej sprawie zawdzięczam mecenasowi. Między innymi także i to, że w czasie jednej z rozmów wspomniał pan o tej działce. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi, później, kiedy już wróciłem z Wrocławia i miałem „klucz” do rozszyfrowania całej historii, zrozumiałem, że najprędzej znajdziemy Niemirowska właśnie na terenie działki. Chciałem, aby dyrektor był obecny przy tym. Teraz nie mógłby sfingować zemdenia, jak w Kołobrzegu. On także był przewidujący aż do końca. Dowiedział się, że wyjeżdżam do Wrocławia, i wówczas pojął, że przegrał. Zdążył mi uciec tam, skąd się nie wraca.

- Więc „Biała Pantera”?...

- Tak - potwierdził major. - Znaleźliśmy je obie. W niewielkiej odległości od siebie. Sekcja zwłok stwierdziła, że zmarły otrute gwałtownie działającą trucizną. Tą samą, która w końcu taką usługę oddała samemu Niemirowskiemu. Muszę jeszcze dodać, że śmierć dziewczyny przyniosła dyrektorowi niezły profit. Ona, szykując się do ucieczki za granicę, sprzedała wszystko, co miała, podjęła z książeczki PKO swoje

oszczędności i w sumie rozporządzała kilkoma tysiącami dolarów. Znaleźliśmy je w skrytce, w mieszkaniu na Okęciu.

- Nie mordował dla tych pieniędzy.

- Naturalnie - przytoczył oficer milicji - ale nie pogardził tym groszem, który wpadł mu w ręce.

- To wszystko było piekielnie sprytne.

- Tak. To była prawie zbrodnia doskonała. Na dzień śmierci Krystyny Niemirowski miał alibi nie do podważenia. Dwudziestego ósmego sierpnia wygłaszał referat na kolegium w ministerstwie, w obecności wielu fachowców. Nie przypuszczał, że ktoś będzie poszukiwał „Białej Pantery”. Kto by się przejmował zniknięciem z terenu Krakowa jednej prostytutki? I to takiej, która opowiadała, że wyjeżdża do Szwecji. Przecież do tej pory nikt nie złożył zameldowania o zniknięciu bez śladu tej dziewczyny. Sprawa może by wyszła przy okazji jakiegoś sprawdzania meldunków, ale i wtedy lokalne władze zadowolilyby się wersją o ucieczce za granicę.

- Musieli jednak istnieć ludzie, których dziwiło, jeśli już nie zniknięcie Dembał, to jej milczenie.

- Na pewno istnieli. Ale oni nigdy by nie przyszli do nas. Nawet gdyby wiedzieli, że „Biała Pantera” leży półtora metra pod przyzmą kompostu. Półświatek nie powierza nam swoich trosk i kłopotów. To my mamy kłopoty z półświatkiem.

- Racja!

- Ale przebiegły plan Niemirowskiego nie kończył się na tym. Postarał się on stworzyć sobie na wszelki wypadek dodatkową klapę bezpieczeństwa. Ten człowiek znał dobrze swoją żonę. Jej chimeryczne nastroje, jej napady zazdrości i stany lękowe. Dzieje bandy „Starego Macieja” i rola, jaką Krystyna odegrała przy jej likwidacji, nie były mu obce. Postanowił i to wykorzystać.

- Ten list, a właściwie pocztówka z Sokołowa Podlaskiego? - zapytał adwokat.

- Tak jest. Nietrudno było domyślić się, że po upływie przeszło dwunastu lat od chwili napadu wszyscy, a przynajmniej ogromna większość bandy, jest na wolności. Zresztą może Niemirowski miał jakieś możliwości lub okazje, aby to sprawdzić. Dość, że w połowie lipca wybrał się do Sokołowa Podlaskiego i stamtąd wysłał do żony tę pocztówkę.

- Która wywołała zamierzony skutek.

- Na pewno dyrektor umiejętnie podsycił przerażenie Krystyny, a także nie

krył jej strachu, bo mówił o nim znajomym i przyjaciółom. Opowiadał, że Krystyna chce nawet uciekać za granicę. Chwalił się, iż dla uspokojenia jej nerwów wysłał ją nad morze.

- Przecież na ten wyjazd Niemirowska musiała wyrazić zgodę. Trzeba dopełnić pewnych formalności.

- Żona potężnego dyrektora mogła się wyręczyć jego sekretarką. Niemirowska wiedziała o staraniach związanych z wyjazdem na wczasy i zaakceptowała je. Może mąż posłużył się tymi samymi argumentami: „Wyjedziesz na parę tygodni, odpoczniesz, a ja tymczasem wyjaśnię sprawę tej pocztówki”. Sekretarka zeznała, że osobiście doręczyła skierowanie na wczasy „pani dyrektorowej”. To także było zręcznym pociągnięciem. Przybył jeszcze jeden wiarygodny świadek przygotowywanego wyjazdu.

- Co za machiawelizm? - w słowach adwokata brzmiała jednak nutka podziwu dla mordercy.

- Naprawdę szatański - powtórzył major. - Ale kiedy zacząłem wątpić w nieszczęśliwy wypadek, a podejrzewać zbrodnię, nie kto inny, tylko właśnie mecenas podsunął mi tę wersję, którą następnie Niemirowski potwierdził, a potem umiejętnie rozbudowywał. Zresztą ja sam utrudniłem sobie robotę.

- Czym?

- Swoim długim językiem. Na początku Niemirowski był dla mnie człowiekiem poza wszelkimi podejrzeniami. Toteż nie kryłem przed nim, że widziałem jego żonę w Międzyzdrojach i zachwycąłem się jej urodą oraz piękną platinowoblond włosów. W ten sposób sam ostrzegłem dyrektora, aby miał się na baczności.

- Tego nie rozumiem?

- Chodzi mi o oględziny zwłok w Kołobrzegu.

- Aha! Pan przecież znał podstawioną żonę.

- Właśnie. Gdyby dyrektor niczego się nie spodziewał, rozpoznałby w topielicy zwłoki swojej żony. Pochowałby ją z należnymi honorami i postawił na grobie marmurową tablicę. Otrzymałby świadectwo zgonu, co regulowałoby sprawy spadkowe. Pewnie by je prowadził mój znajomy, adwokat Ruszyński.

- Kto wie? - przyznał mecenas.

- Tymczasem Niemirowski miał się na baczności. W tej sytuacji wolał nie mówić ani „tak”, ani „nie”. Wygodniej mu było poczekać na moją opinię. Poznam w

topielicy Niemirowska, czy też nie poznam. Przyczał się. Już przed odlotem udawał zdenerwowanego.

- Może i nie udawał. Była to przecież dla niego ciężka próba. W każdej chwili groziła mu wsypa. Dobrze o tym wiedział.

- Ostatecznie dyrektor wyszedł z tej próby zwycięsko. Coraz to sięgał do piersiówki. Tęgo popijając, w decydującym momencie sfingował zemdlenie. Nikt się temu nie dziwił, bo widok zwłok, które przeleżały przeszło trzy miesiące w morzu, jest naprawdę przerażający. Ja sam z trudem panowałem nad sobą, a przecież co nieco widziałem w swoim życiu i w zawodzie milicjanta. Ale dopiero kiedy ja stwierdziłem, że to nie Krystyna, bo ma inne włosy, Niemirowski skwapliwie przyłączył się do mojej opinii. Gdybym się nie śpieszył, już wtedy bym go miał.

- Dlaczego?

- Bo poznałby w krótkowłosej brunetce swoją żonę, którą ja znałem jako blondynkę z włosami opadającymi na ramiona. Jego jedno słowo „poznaję” wzbudziłoby moją czujność i podejrzenie. A tak musiałem czekać, aż mecenas otworzy mi oczy. Ale dał mi pan wtenczas szkołę!

- Sam pan przyzna, że mieliśmy małe rachunki do wyrównania.

- Pan je zapłacił z lichwiarskim procentem. Tylko poczucie humoru uratowało mnie przed wpadnięciem w kompleksy.

- Major mi zaimponował wejściem pod stół i szczekaniem.

- To było później, ale wtedy wolałbym, aby się podłoga przede mną rozstała.

- Całą zasługę należy jednak przypisać majorowi. To pan doprowadził sprawę do końca. A że pewien mały „najmimorda” zebrał trochę informacji i starał się pomóc, proszę się na niego nie gniewać.

Panowie uścisnęli sobie ręce. Szczerze. Przyjaźń została odnowiona. Na jak długo? Czy do następnej świętej wojny?

- Wzięła mnie ta sprawa - przyznał Ruszyński.

- A cóż dopiero mnie? Czuję się jak przepuszczony przez maszynkę do mięsa.

- Przydałby się jakiś wyjazd - westchnął mecenas. - Ale dokąd można wyjechać pod koniec listopada? Nawet w Zakopanem nie znajdzie się żadnego kota godnego tej nazwy.

- A Nałęczów? - uśmiechnął się Kaczanowski.

- Nie wspominaj mi pan o tej dziurze. Nigdy tam nie pojedę.

Oficer milicji pokiwał głową. Doskonale wiedział, że adwokat tylko się odgraża, ale nigdzie indziej nie spędza swoich wakacji. Pojedzie tam także i w przyszłym roku i zamieszka jak zwykle w pokoju „pod wieżą”.

- A pan? - zapytał Ruszyński.

- Niestety, urlop wykorzystałem do ostatniej godziny. A szkoda. Jednak pułkownik Niemirowicz, niejako w nagrodę, pozwolił mi się urwać z pracy na trzy dni. Z niedzielą mam więc cztery dni wolnego. Chyba pojedę do Szczecina odwiedzić ciotkę staruszkę. To jedyna osoba, którą naprawdę ucieszy mój widok.

Miecio skinął na kelnera:

- Jeszcze dwa razy to samo.

A zwracając się do Janusza Kaczanowskiego dodał:

- No to teraz wypijemy zdrowie tej miłej i ładnej dziewczyny ze Szczecina.

Idę o zakład, że na imię jej Krystyna? Prawda?

- Z jasnowidzami nie zakładam się - Janusz z podziwem spojrzął na wszechwiedzącego adwokata.

„KB”